



Hilde Kliche
Ruchome piaski

Ludzie pośród burz Historii
Enklawa Policka 1945/46



Tom wspomnień, które Czytelnik bierze do ręki obejmuje lata 30., II wojnę światową oraz okres tuż po jej zakończeniu. Miejscem, w którym dzieją się opisywane wydarzenia są Police, Jasienica i inne miejscowości, w których przebywali bohaterowie tej książki. To świadkowie przedwojennego rozkwitu i wojennej katastrofy tego miejsca oraz kolejnych ciosów, które na nie spadały.

Nie są to wspomnienia pogodne, jest to poruszające świadectwo osób, które przeżyły piekło wojny. Dramatis personae tamtych wydarzeń znikły, ludzie rozjechali się po świecie, ich wojenne przeżycia pozostały w cieniu. Zebrane wspomnienia służą choćby częściowemu

rozproszaniu tego cienia. W pamięci bohaterów książki „Ruchome piaski” pozostały dawne nazwy miejscowości i ulic, lokalne imiona lasów, łąk, rzek czy pagórków. Gdy opowiadają wspomnienia z dzieciństwa i młodości, czują się znów u siebie. Próbuje wskrzesić pozostawiony świat, bo dziś mieszkają pod całkiem innym niebem.

Wspomnienia byłych mieszkańców tych ziem wydajemy w przeddzień obchodów 750-lecia Polic. Nieco rocznicowy charakter tej publikacji przypomina, jak ważne dzieje ciążyą na tej okolicy. Książka ta pokazuje również różne oblicza wojny, że nie jest czarno-białe, gdy los jednostki zderza się z okrutnymi wyrokami historii.

Hildegard Kliche próbuje wskrzesić wiele opowieści o minionych, trudnych czasach i utrwalić obraz Polic z początków XX wieku, portretując siebie i czasy, w których przyszło jej żyć. Ta książka zaskakuje swoją prostotą (nie epatuje wstrząsającymi opisami), a mimo to sprawia, że przeżywamy perypetie autorki i jej przyjaciół, jakbyśmy byli tuż obok i odczuwali ich emocje.

Od opisanych wydarzeń dzieli nas nie jedna, ale kilka epok. Integracja europejska wymaga zaakceptowania przez społeczeństwa Polski i Niemiec wspólnej historii, której najtrudniejszy okres przypada na lata 1933–1949.

Fragmety dokumentów i relacje świadków wydarzeń - takie materiały znalazły się w wydanej po polsku i po niemiecku książce. Niniejsza publikacja z całą pewnością przyczyni się do wzajemnego zrozumienia historii mieszkańców tego regionu.

Burmistrz Polic
Władysław Diakun

Hilde Kliche
Ruchome piaski

Police 2009

Pozycja została wydana nakładem Gminy Police w ramach projektu „Treibsand - koniec wojny w oczach byłych mieszkańców Jasenitz (Jasienicy)” dofinansowanego ze środków Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Niemiecki partner polskiego wniosku: Geschichtswissenschaftliches Institut Eberswalde.

Tytuł oryginału
TREIBSAND
Menschen im Sturm der Geschichte
Enklave Pölitz 1945/46

Tłumaczenie z języka niemieckiego
Justyna Polcyn

Adiustacja merytoryczna i językowa, korekta,
projekt typograficzny, opracowanie techniczne, skład
Wydawnictwo “REDAKTOR” s.c.

Projekt okładki
Maciej Usewicz (fotografia: Tomasz Gębuś/krajobrazy.pl)

Wydawca
Urząd Miejski w Policach
ul. Stefana Batorego 3
72-010 Police
www.police.pl

ISBN 973-83-927057-1-0

Hilde Kliche

Ruchome piaski

Ludzie pośród burz Historii

Enklawa Policka 1945/46

Police 2009

Spis treści

PROLOG	5
ROZDZIAŁ 1. Jak w zawierusze zostaliśmy zamieszani w wydarzenia wojenne?	
Front ojczyźniany Zielone Świątki 1944 w deszczu bomb	7
- <i>Przeżycia osobiste</i> - <i>Robotnicy przymusowi</i>	
Fabryka benzyny syntetycznej	10
- <i>Jakie zmiany były widoczne dla nas?</i>	
Uczeń w fabryce benzyny	12
ROZDZIAŁ 2. Silny wiatr ze wschodu przepędził ludność na zachód	
Ostatnie dni wojny w Jasenitz i czas ucieczki	14
- <i>Jak żołnierze Własowa uznali niemieckie dzieci za rosyjskich partyzantów</i> - <i>Zaraz po 20.04.1945 r. rosyjscy parlamentarzyści spotkali się z członkami niemieckich sił zbrojnych w majątku Hertzera</i> - <i>Dzieci przeszukiwały stanowiska dział przeciwlotniczych</i> - <i>Osobliwa podróż barką pomorskiego gauleitera</i>	
ROZDZIAŁ 3. Wiatr zmienił się i przepędził część uchodźców z powrotem do domu	
Koniec wojny i transport powrotny Setki ofiar śmiertelnych wskutek wybuchu miny	26
ROZDZIAŁ 4. Złudna cisza przed burzą	
Niepewne życie w rosyjskiej Enklawie Police	32
- <i>Mieszkańcy Jasenitz opowiadają</i>	
Zawalenie się mostu kolejowego	68
Pożegnanie z ojczyzną	71
EPILOG Pół wieku później	77
ZAŁĄCZNIKI	80
BIBLIOGRAFIA	104

Prolog

Poprzez moją książkę chciałabym uchronić od zapomnienia nieznanne wydarzenia z niemieckiej przeszłości.

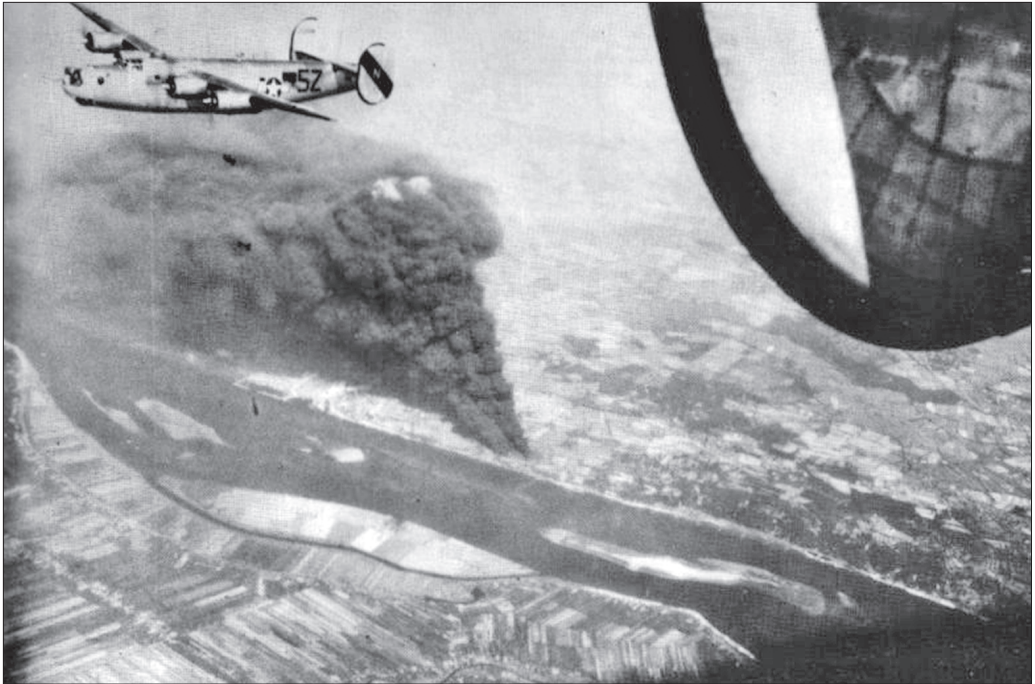
W centrum wydarzeń znajdują się położone na północ od Szczecina moje rodzinne miejscowości: Jasenitz i Pölitz (Jasienica i Police). W tej okolicy zbudowano w roku 1938 Fabrykę Benzyny Syntetycznej Police SA¹, która do końca II wojny światowej produkowała syntetyczne paliwa. To niewiarygodne, jak powiązany z pozostałą częścią Niemiec i zaangażowany w wydarzenia wojenne na terenie Europy był ten kawałek ziemi.

W latach wojny, jako mieszkańcy żyjący w bezpośrednim otoczeniu, nie byliśmy świadomi nadzwyczajnego znaczenia tego zakładu. Obecnie, kiedy wiele zdarzeń nie jest już objętych tajemnicą i istnieje dostęp do archiwów, można rozpoznać wszechstronne powiązania.

Chcę przyczynić się do tego, aby dramat naszej epoki pozostał w pamięci i przedstawiam tragiczne wydarzenia, które współmieszkańcy mojej wsi przeżyli w ostatnich dniach wojny, po jej zakończeniu i w rosyjskiej Enklawie Police. Opowiadają oni jak wyglądało ich życie w Enklawie i w jaki sposób starali się przetrwać. Są to ostatni jeszcze żyjący świadkowie, których niebawem zabraknie. Poprzez autentyczny obraz ich życia przedstawiam czasy, które są historią.

Część „Załączniki“ dokumentuje tamte czasy za pomocą pism urzędowych, obwieszczeń i osobistych wypowiedzi. Również historycy i wymieniona literatura pozwalają nam jaśniej poznać tło tamtej epoki i przybliżyć prawdę.

¹ Hydrierwerke Stettin-Pölitz AG



Bombardowanie Pölitz (Polic)

Rozdział 1

Jak w zawierusze zostaliśmy zamieszani w wydarzenia wojenne?

Front ojczyźniany Zielone Świątki 1944 w deszczu bomb

29 maja 1944. Pogoda podarowała nam drugi dzień Zielonych Świąt jak z obrazka. Lazurowe niebo i wyraźne słońce prawie pozwalały nam zapomnieć, że żyjemy w czasach wojny. Miałam wolne i przed południem pojechałam pociągiem z Pölitz do Jasenitz (z Polic do Jasienicy) z wizytą do rodziców.

W międzyczasie dotarłam już do domu. Na drzwiach wejściowych jako ozdoba zielonoświątkowa zatknięte były zielone gałązki brzożowe. Wnosiły one powiew dzieciństwa i poczucie bezpieczeństwa. Otworzyłam drzwi, zostawiając wojnę i niepokój na zewnątrz. Mama Hanni i siostra Marianne już na mnie czekały. Miało to oznaczać: „Nareszcie!”. Kiedy opowiadałam o przebiegu ubiegłego tygodnia, mama biegła w tę i z powrotem i jeszcze raz smakowała skwierczącą świąteczną pieczeń. Jakże pachniało! Nagle przyjemne brzękanie talerzy zagłuszył ostry i przenikliwy dźwięk syreny.

Wojna znów tu była, nie dała się odizolować. Znowu musieliśmy się nastawić na pochwytnie w pazury wojny. Matka szarpnęła jedzenie z paleniska, przykryła buchające płomienie fajerkami i nakazała pośpiech. Dostałam polecenie, aby przyprowadzić do domu przywiązane przy nasypie kolejowym barana. On jednak sprzeciwiał się gwałtownie, zapierając się przednimi nogami w ziemię. Głupia owca, pomyślałam i pobiegłam bez zwierzaka do domu. Z kolei Marianne musiała przyprowadzić bydło. Potulnie jak baranek powędrowało za nią. Matka wzięła zawsze spakowaną torbę z najważniejszymi papierami i już goniliśmy do pobliskiego schronu w tartaku Huberta Schulza.

Tymczasem było już przed dwunastą. Alarm lotniczy!!!

Patrząc w górę widziałyśmy, jak po niebie ciągną się z pozoru bezszelcnie niezliczone bombowce. Wszystko wydawało się nierzeczywiste. Przystanęłyśmy nawet, aby śledzić to przedstawienie. Oczy bolały nas od ostrego światła. Można było usłyszeć daleki, dźwięcznie brzmiący odgłos silników. Potem wszystko sprawiało wrażenie przygody. Jeszcze nawet wtedy, kiedy z nieba spadały paski cynfolii, które eliminowały z walki stacje radiolokacyjne. Ale nasze odczucie uległo przemianie, gdy nagle działo przeciwlotnicze wystrzeliło obok nas ze wszystkich luf. Przestraszyłyśmy się. W całkowitej panice pchałyśmy się do schronu, który był w połowie wkopany w ziemię i zakryty grubymi balami. Mocne drewno służyło za dach, na niego nasypano ziemię, która ponownie porosła trawą i chwastami. Kilka rur wentylacyjnych wystawało nieopstrzeżenie w górę. We wnętrzu stały surowo ciosane stoły i ławy. W pobliżu, widoczny dla każdego, sterczał w niebo wysoki komin tartaku. Działo przeciwlotnicze strzelało ze wszystkich luf,

bomby spadały, ziemia drżała. Matka, Marianne i ja rozdzieliliśmy się. Hubert Schulz, właściciel tartaku i robotnicy, którzy byli zobowiązani do służby tam, wyglądali ponownie na zewnątrz, jednak szybko wracali ze schowanymi głowami do bunkra. Jakaś kobieta z Frankenstraße¹ modliła się na głos o pomoc Boga. Inna wyzywała: „Przekłęci Amerykanie!“. Z wściekłości na alianckie samoloty podniosła grożąco pięść. Uderzenia bomb przybliżały się. Mężczyźni uważali, że teraz chyba trafiło w Jasenitz (Jasienicę). Ledwo to powiedziano, bardzo blisko nastąpiła potężna detonacja. Z ramionami podniesionymi dla ochrony nad głowy wstrzymaliśmy oddech. Każdy myślał: teraz trafi w nas. Rozpętało się piekło, koszmar wokół i nad nami nie słabł. Wydawało się, że czas się zatrzymał.

Po około dwóch godzinach zagrożenie minęło. Dom naprzeciwno zamienił się w kupę gruzu. Trzy osoby z rodziny Eichel nie żyły. Oniemieliśmy, nie mogąc tego pojąć. Nie mogę sobie przypomnieć, czy jadłyśmy tego dnia obiad.

Naloty bombowców wzbudziły w ludności cywilnej gniew i wściekłość na samoloty alianckie, ale nie na sprawców wojny. Wykorzystała to niemiecka propaganda, aby wzmocnić chęć przetrwania wśród ludności.

Wewnętrzny niepokój pogał mnie nagle do Pölitz (Polic). Mieszkałam tam przy Zedlitzfelderstraße (ul. Siedlecka) w umeblowanym pokoju, pracowałam na dworcu. Ponieważ założyłam, że teraz nie jeździ żaden pociąg, chciałam przejść odcinek około pięciu kilometrów pieszo. Podążałam więc drogą polną wzdłuż pasa torów aż do budki dróżnika i górą wąwozu w kierunku Hagen (Tatyni), przecinając - z braku wyboru - pola, które leżały na zachód od fabryki benzyny. Chciałam dojść do szosy Falkenwalde - Pölitz (Tanowo - Police), aby okrążyć w ten sposób płonąca fabrykę. Nie zdając sobie sprawy, że znajdowałam się w niebezpiecznej bliskości obozów pracy przymusowej, w których stacjonowali także strażnicy SS, dalej błądziłam między lejami po bombach, niewybuchami i słupami dymu. Nie miałam pojęcia o istnieniu tamtych straszliwych miejsc. Znajdowałam się w stanie, który wyłączył myślenie. Jeszcze nie mogłam pojąć i przetworzyć zniszczenia bombardowania, ani określić jego zasięgu. Nie myślałam o tym, by chronić życie, które już nosiłam w sobie. Ogłuszona zataczałam się przez pola. Nie zauważałam wcale niebezpieczeństwa niewypałów.

Później okazało się, że zrzucono około tysiąca 250-kilogramowych bomb burzących, wśród których były 22 niewybuchy.

Następnego dnia dowiedziałam się, że w Jasenitz (Jasienicy) ucierpiał także młyn Steffena i okoliczne domy. Przy Breite Straße (ul. Szeroka, dziś Piastów) od hotelu „Deutsches Haus” („Niemiecki Dom”) aż do Alte Schulstraße (ulica Staroszkolna, dziś św. Anny) wszystkie domy leżały w gruzach. Pośród nich było także dawne mieszkanie babci. Ileż wspomnień się z nim wiąże! Na szczęście ona nie musiała już tego przeżywać. Osobliwe, teraz odczułam śmierć jako szczęście. Co za czasy! Rozbita Jasenitz (Jasienica), rozbite życie.

Z innej perspektywy opisał ten dzień 29 maja ocalały z obozu jenieckiego.

Michał K. opowiada: „Tego dnia pomiędzy siódmą a ósmą, na dużej wysokości nad Policami pokazał się samolot zwiadowczy. Krążył około pół godziny nad fabryką i pozostawił na niebie białe smugi spalin. Po godzinie dwunastej, kiedy właśnie zaczęła się przerwa obiadowa, samolot pojawił się ponownie. Zatoczył wielkie koło i znowu zostawił smugę spalin. Dopiero

¹ Nazwy ulic w polskim tłumaczeniu książki pozostawiono w oryginalnej wersji niemieckiej dodając, tam gdzie to było możliwe, obecną nazwę polską. Podobne rozwiązanie przyjęto w odniesieniu do nazw miejscowości i innych nazw miejscowych, w celu zachowania kolorytu historycznego.

teraz syreny zawyły na alarm. W kilku falach nadleciały nad Pölitz (Police) pierwsze skoncentrowane eskadry bombowców od strony Alt-Damm (Dąbia) i zrzuciły bomby, celując w okrąg, który wcześniej wyznaczył zwiadowca. Obrona mgłowa nie dała rady odpalić beczek, które miały utworzyć obłok ochronny. Również silny ostrzał artyleryjski i zaciągnięte balony zaporo-we nie mogły udaremnić ataku. Akcja trwała krótko.

Morze czerwono-żółtych płomieni i brązowo-czarnego dymu pokryło cały obszar 15 kilometrów kwadratowych. Całe części fabryki były zburzone i spalone. Rurociągi leżały tam jak rozplątany kłębek przędzy. Gruz rozproszył się, a budynki się dopalały. Biura administracji także były zniszczone, wagony i samochody, tory i drogi wewnętrzne - uszkodzone. Wielu ludzi, obsługujących maszyny i urządzenia, którzy nie zdążyli do schronów ratunkowych, poległo. Dodatkowo zginęli robotnicy zakładu, gdy jedna z bomb przebiła strop schronu.

Pośród ofiar tego ataku było również wielu mieszkańców Pölitz (Police). Tak samo w gruz i pył rozpadły się ratusz i liczne inne budynki (patrz także załącznik).

W nalocie także alianci ponieśli straty, ponieważ nie wszystkie maszyny wróciły do brytyjskiej bazy. Jeden samolot musiał przymusowo lądować na obrzeżach lasu polickiego. Natychmiast został otoczony przez esesmanów. Załoga bombowca musiała oddać broń osobistą. Kopniakami zostali wypłoszeni z samolotu. Trzymali ręce w górze i zostali zapędzeni do lasu. Po chwili usłyszeliśmy strzały. Nie było to spełnienie Konwencji Genewskiej.

Pilot miał na szyi skórzany mapnik z mapami. Mimo zamieszania udało mu się wyszarpać jedną mapę, podrzeć ją i wyrzucić. Niezauważony pośpiesznie zbierałem kawałki papieru. Wieczorem z dużym wysiłkiem skleiłem mapę. Na mapie pilota zaznaczone były z najwyższą dokładnością wszystkie obiekty fabryki i pozycje moździerzy chemicznych oraz inne znaczące punkty. Nasze obozy były otoczone grubym czarnym kołem.“

Załącznik 1: Nalot bombowców 8 Floty Stanów Zjednoczonych

Załącznik 2: Typy samolotów. Dane techniczne

Załącznik 3: Trasa przelotu Air Force nad Niemcami

Załącznik 4: Nalot bombowy w dniu 29 maja 1944 r.

Załącznik 5: Czy w trakcie nalotów alianci oszczędzali niektóre obiekty?

Fabryka benzyny syntetycznej

Ktoś zapyta, dlaczego akurat fabryka benzyny syntetycznej była przedmiotem zainteresowania aliantów. Co było takiego szczególnego w tej fabryce, dlaczego ją zbudowano i jak działała, można doczytać w Załącznikach od 6 do 9.

Jakie zmiany zauważyli ludzie niezatrudnieni w tym zakładzie?

Budowę fabryki rozpoczęto w roku 1938 przy szosie Pölitz - Falkenwalde (Police - Tanowo) w kierunku północnym. Wiele firm budowlanych wystawiło tłumy robotników. W okolicznych miejscowościach potrzebny był każdy wolny kąt i każde miejsce noclegowe. Powstał obóz mieszkalny. Trzeba było wyżywić tysiące robotników. Wkrótce zaczęła kursować kolej, powstały nowe linie autobusowe do Szczecina. Zrodziła się mobilizacja, jakiej nie było nigdy przedtem w tej okolicy.

Do tej pory duża część mieszkańców okolicznych miejscowości pracowała w rolnictwie. W Jasenitz-Wenkendorf (Jasienica-Wieńkowo) istniał większy zakład rolny, majątek Hardemoor, w którym zatrudnieni byli także pracownicy do hodowli bydła i uprawy roli. W gospodarstwach rolnych członkowie rodzin sami wykonywali przypadające prace. Przy żniwach pomagali mieszkańcy wsi. Właściciele domów, do których należało jeszcze kilka mórg pola (stara jednostka miary pola, jest to tyle ziemi, ile zaprzęg może zaorać w jeden dzień) trzymali często jedną krowę, świnie i kurczęta. Rodzina nie mogła jednak żyć jedynie z tego. Mężczyźni szukali sobie dodatkowo innego zajęcia w papierni w Odermünde (Skolwin) lub przy wielkim piecu w hucie „Kraft“ w Stolzenhagen-Kratzwick (Stołczyn-Kraśnica). Do miejsc pracy dojeżdżali koleją.

Przed wybudowaniem fabryki benzyny w Pölitz (Policach) popularna była uprawa chmielu i szparagów. A na tych obszarach powstał teraz potężny gigant przemysłowy! Po wybuchu wojny nie istniały tu niedobory kadrowe. Przeciwnie, liczba zatrudnionych stale się zwiększała. Mimo nieobecności niemieckich mężczyzn, którzy byli na wojnie, obraz ulicy stał się bardziej kolorowy i różnorodny.

Z powodu znaczenia fabryki benzyny ochrona przeciwlotnicza była naprawdę imponująca, rozpanoszyło się wojsko. Żołnierze artylerii przeciwlotniczej, a także pomocnicy artylerii w wieku 15 i 16 lat, którzy byli jeszcze jednocześnie uczniami, przybyli tu na służbę. Pojmani Rosjanie wspierali pracę na pozycjach. Polacy, którzy byli oznaczeni wielkim „P“ na plecach ubrań, nie byli rzadkością.

Pojmani Serbowie rzucali się nam szczególnie w oczy z powodu drewniaków, które nosili. Niektórzy byli zakwaterowani w zamku jasienickim i mogli swobodnie poruszać się po miejscowości. Naprzeciw naszego domu swoje pole miał rolnik Thrömmeler. Codziennie przychodził tam Serb, który pracował u chłopca, aby podlewać warzywa. Konewką i wiadrem nosił wodę z pompy na naszym podwórku. Ukryta za firanką, często go obserwowałam. Ci obcokrajowcy byli dla nas egzotyczni, ponieważ wcześniej nie widywaliśmy obcych w tej okolicy. Włosi, jeńcy belgijscy i francuscy należeli także do Europejczyków, którzy ożywiali ulice w Pölitz i Jasenitz (w Policach i Jasienicy).

Im dłużej trwała wojna, tym bardziej powiększała się liczba robotników przymusowych i ludzi, którzy musieli nosić pasiaki. Szli kolumnami do fabryki benzyny w zbrojnej eskorcie SS. Ci współcześni niewolnicy poruszali się powoli, z opuszczonymi głowami.

Pochodzący z południa Niemiec fachowcy nie wyzbyli się brzmienia swojej mowy ojczystej. Chociaż nie było to babilońskie pomieszanie języków, to nasz piękny pomorski platt został jednak wyparty.²

Poza widocznymi dla każdego instalacjami fabryki zmieniły się teraz rytm i sposób życia tego regionu.

Załącznik 6: Fabryka benzyny: budowa, znaczenie, produkcja

Załącznik 7: Uwagi na temat wojny powietrznej sił alianckich

Załącznik 8: Albert Speer wkracza do akcji

² Język dolnosaksoński (Neddersassisch; w języku niderlandzkim: Nedersaksisch; w języku niemieckim: Niedersächsisch), dawniej “język dolnoniemiecki” (w języku niemieckim: Plattdeutsch, Niederdeutsch; w języku niderlandzkim: Platduits, Nederduits, w języku dolnosaksońskim: Plattdüütsch, Nedderdüütsch). Wywodzi się z języka starosaksońskiego. Kod ISO 639-2 nds.

Uczeń w fabryce benzyny

Nie było chyba rodziny w Jasenitz (Jasienicy) i okolicznych miejscowościach, które nie byłyby związane z fabryką benzyny. Dotyczyło to także rodziny Elli Seegers z Duchow. Mąż Elli pracował już w tym zakładzie, kiedy był on jeszcze w fazie rozruchu. Potem nadszedł ten dzień, którego Ella nigdy nie zapomni. W południe Gustav pojechał na swoją zmianę. Kiedy dwie godziny później otworzyła drzwi na pukanie i stanął przed nią jej bratanek, zwietrzyła coś złego i głośno krzyczała. Jej bratanek był kierowcą dyrektora fabryki. Jej przeczucie potwierdziło się, gdy z samochodu wysiadł sam dyrektor. Poinformował ją o śmierci męża. Kiedy omówiono kwestie pogrzebu, zapewnił ją, że syn może otrzymać posadę ucznia zawodu w zakładzie, jeśli będzie chciał. I zwrócił się do Arno, który właśnie odrabiał zadania domowe, z pytaniem, kim chciałby być. Niewiele myśląc, chłopak odpowiedział: „Chcę być ślusarzem maszynowym, jak mój brat Günter.“

Dyrektor dotrzymał słowa. Tego zawodu wyuczyci się w tamtym roku tylko dwaj uczniowie, byli to Arno i Hans Modrow. Obok nauki obaj chłopcy podjęli służbę w ochotniczej straży pożarnej. Paul Rutzen przejął nad nimi opiekę. Równoległe zostali oni przeszkoleni w fabryce benzyny do zadań zakładowej straży pożarnej. Od roku 1943 uczniowie pełnili także w zakładzie nocne wachty.

Chłopcy brali udział w wielu akcjach zwalczania ognia, ratując ludzi i rzeczy, także kiedy przy nalocie na fabrykę całe Langenstücken (Kołpin), dzielnica Jasenitz (Jasienicy), zostało starte w proch i pył. Byli jeszcze dziećmi, kiedy z oskardem i szpadlem szukali przysypanych w gruzach. Matka Arno, Ella, przypomina sobie, że syn był całkiem zbity z tropu, kiedy uwolnił z gruzów swoją koleżankę z klasy Ruth Haak, przysypaną zwałami kamieni. Jednakże nie mógł już uratować jej życia.

Co ci chłopcy muszą wycierpieć, myślała Ella. Mimo to była dumna ze swojego syna, kiedy ten, tak jak jego przyjaciel Hans, zostali odznaczeni przez burmistrza orderem za swoje bezinteresowne zaangażowanie.

Pierworodny Elli był już żołnierzem. Teraz martwiła się o młodszego Arno. On także został, jako uczeń rocznika 1928, zaciągnięty do służby wojskowej jesienią 1943 roku. Otrzymał powołanie na dwumiesięczny kurs na lotnika szybowcowego, ponieważ chciał zostać pilotem.

Po przygotowaniu do egzaminu na czeladnika i jego pozytywnym zdaniu uczestniczył w budowie wału wschodniego w rejonie bazy szkolenia jednostek Großborn. Pośród wezwanych w tym celu młodych ludzi byli także Günter Müller, Hans Modrow, Gisela Lamprecht i Horst Kroll.

Na początku stycznia 1945 r. Arno przyszedł zdenerwowany do domu: „Dzisiaj nasz dyrektor praktyk, pan Cornelius, poinformował nas, że wszyscy uczniowie zawodu od zaraz są zobowiązani na rozkaz dowództwa okręgu zbrojnego w Stettin (Szczecinie) do służby w Volkssturm³. Musieliśmy zdać wszystkie narzędzia w ciągu następnych czterech godzin. Po obiedzie przemarszerowaliśmy do czerwonej szkoły w pobliżu dworca w Pölitz (Policach). Tu czekał na nas dowódca artylerii, starszy sierżant, dwaj podoficerowie i starszy strzelec. Utworzono jednostkę z trzema plutonami dla wszystkich mężczyzn od 15 do 55 lat, którzy pozostali jeszcze w naszej okolicy. Pierwszą grupę objął starszy strzelec, drugą ma objąć Hans Modrow, a trzecią – ja, mamo!“ Chłopak płonął z podniecenia i Ella pomyślała: tylko nie mój najmłodszy, przecież nawet nie wiem, czy Günter jeszcze żyje.

³ Volkssturm (niem.) – formacja obronna o charakterze pospolitego ruszenia, użyta przez Niemców w ostatniej fazie II wojny światowej, mobilizacji do niej podlegali mężczyźni zdolni do walki od 16 do 60 lat. Została powołana do życia dekretem Adolfa Hitlera z dnia 25 września 1944 roku.

Ella przypomniała sobie, że Arno po kilku dniach nauki został powołany na przywódcę kompanii. Jakiś oficer przekazał posiadaczom prawa jazdy pismo mniej więcej takiej treści:

Pan/Pani . . . zamieszkały/a w . . . ulica . . . nr: ...

W imię Führera jest Pan/Pani zobowiązany/a bezzwłocznie przekazać osobie dostarczającej niniejsze pismo.

Pański/Pani samochód ciężarowy/osobowy/motocykl o nr rej. . . .

Po ostatecznym zwycięstwie otrzyma Pan/Pani pojazd tej samej jakości.

Heil Hitler!

Dowódca okręgu zbrojnego

Arno musiał teraz w imię Führera zarekwirować motocykl pana Alberta Lau z Hagen (Tatyni). Miał przy tym jeszcze szczęście, że nie został poszczuty ostrym psem z podwórka, ponieważ pan Lau otrzymał już kilka dni wcześniej wezwanie do przekazania motoru i wściekał się z powodu ponownego pisma.

Więc Arno był motocyklistą dowódcy kompanii i jednocześnie przywódcą grupy. W związku z tym matce Elli przyszło do głowy, że na strzelnicy u leśniczego Rose zaczęły się też ćwiczenia chłopców w strzelaniu. Arno dostał karabin K-43, półsamoczynny z dziesięcioma nabojami. Matka pocieszała się tym, że Arno stacjonował jeszcze na rodzinnym terenie. Droga na front i tak się mocno skróciła, linia frontu przebiegała – powiedzmy – już przed drzwiami domu. Teraz wszyscy odliczali godziny do nastąpienia volkssturmu. Jednak wcześniej jej chłopak był jeszcze potrzebny w dniu 6 lutego 1945 w fabryce benzyny. Fabryka w Pölitz (Policach) została znowu ciężko zbombardowana. 800 żołnierzy i duża liczba więźniów obozu koncentracyjnego musiały wspólnie usuwać najcięższe szkody, aby ten tak ważny dla produkcji benzyny zakład mógł dalej pracować.

Kompania Arno dostała polecenie wyszukiwania niewybuchów. Obszar jego poszukiwań leżał na północ od obozu Tobruk na pasie ziemi o szerokości stu metrów. W ciągu czterech godzin jego grupa znalazła sto niewybuchów. Miejsca znalezisk oznaczono kijkiem i wiązkami słomy. Około dwustu metrów za chłopakami więźniowie karni rozpoczęli rozbijanie.

Tydzień później zaprzysiężono początkujących mężczyzn z volkssturmu na boisku szkolnym polickiej szkoły ponadpodstawowej. Nazajutrz najmłodszy członek kompanii zachorował i zmarł. Przyczyna: zatrucie jadem trupim. Jak do tego doszło? Miejsce zakwaterowania było teraz ogrzewane tylko umiarkowanie, a ponieważ chłopcy mieli zaledwie po jednym kocu, uczeń ten zorganizował sobie z sali gimnastycznej dodatkowy koc i spał na nim. Koce te kładziono przedtem na zwłokach, które przechowywano w sali gimnastycznej. Myśli Elli długo krążyły wokół tego zdarzenia.

Pod koniec lutego jej najmłodszy został przeniesiony rozkazem do Ziegenort (Trzebieży) nad Zalewem Szczecińskim (Stettiner Haff), aby nie dopuścić do lądowania Armii Czerwonej. Ten pas ochronny miał długość dwóch kilometrów. Dywizja SS „Fruntsberg“ uzbroiła chłopców, którzy otrzymali stare francuskie karabiny z I wojny światowej, jednak bez dostosowanej amunicji. „Pukawki“ te były nieporęczne. „Są takie długie, możemy nimi strzelać zza rogu“ - komentował jakiś chłopak z volkssturmu.

Była to ostatecznie „cudowna broń“, która miała przynieść zwycięstwo! Wojna była niedościgniona w swym szaleństwie!

W marcu Arno został przeniesiony do Torgelow i kontakt między matką a synem urwał się.

Załącznik 9: Umowa ucznia zawodu

Rozdział 2

Silny wiatr ze wschodu przepędził ludność na zachód

Ostatnie dni wojny w Jasenitz (Jasienicy) i czas ucieczki

Jak żołnierze Własowa uznali nas za rosyjskich partyzantów

Günter Schmidt (*1931) - Neubrandenburg

“Tego dnia mojego życia nigdy nie zapomnę” - twierdzi Günter Schmidt z Königsfelde.

„Był 11 marca 1945, dzień mojej konfirmacji.

Zasadnicze błogosławieństwo w naszej wsi Königsfelde (Niekłoczycza) już się odbyło. Ponieważ tego dnia byłem chory na anginę i musiałem zostać w łóżku, to powinienem dzisiaj nadrobić zaległości. Naturalnie byłem podenerwowany. Czy byłem w stanie wykonać wszystko prawidłowo? Czy nie potknę się, kiedy będę sam musiał podejść do ołtarza? Ludzie będą przecież na mnie patrzeć. Ale nic złego nie mogło mi się stać!

Moi kumple pocieszali mnie, chcieliśmy się spotkać po południu.

W moim nowym garniturze do konfirmacji czułem się sztywno i niezbyt miło. Z wielkim trudem mama wystarała się, aby kupić mi to ubranie. Tekstylia były reglamentowane, musiałem oddać punkty z mojej kartki na ubrania. Ponieważ byłem trochę wyższy niż moi koledzy, moją kartkę z punktami, która była przeznaczona dla dzieci burmistrz ostemplował z adnotacją „większy rozmiar”. W ten sposób otrzymałem ubranie dla dorosłych na kartkę dla dzieci. Głupi krawat, który musiałem zawiązać po raz pierwszy w życiu, odbierał mi powietrze do oddychania.

Ceremonia w kościele przebiegała bardzo uroczyście i otrzymałem kościelne błogosławieństwo. W pewnym sensie właśnie minęło moje dzieciństwo. Aby naprawdę stać się dorosłym, życie wymagało jednak jeszcze wielu egzaminów. Nie miałem pojęcia w kościele, że życie już teraz ma postawić przede mną wysokie wymagania.

Po południu zaproszeni do nas byli pastor i goście z rodziny. Goście radzili sobie dobrze przy suto zastawionym stole. W szóstym roku wojny ciągle jeszcze byliśmy przy życiu, a wróg stał przed drzwiami, dokładniej mówiąc przed Odrą, czyli sześć kilometrów dalej. Tymczasem goście wznosili sporo toastów za zdrowie, za pomyślność i za długie życie konfirmowanego, czyli za mnie.

Kiedy moi koledzy ze szkoły i podwórka przyszli po mnie, byłem szczęśliwy, że skończył się centralny punkt obchodów, czyli siedzenie przy stole. Wcale nie podpadłem, ponieważ dla dorosłych był teraz tylko jeden priorytetowy temat: Czy musimy opuścić naszą wieś?

Co teraz będzie? Armia Czerwona stała na wschodnim brzegu Odry. Była to dla nas płonna nadzieja, że prąd rzeki będzie dla Rosjan nie do przejścia, a wojna się zakończy. Dokąd właściwie mielibyśmy się udać?

Razem ze mną i moim jedenastoletnim kuzynem, który przybył także na obchody konfirmacji, tworzyliśmy grupę dziesięciu chłopców. Poszliśmy na łąki, chcieliśmy być w swoim towarzystwie. Nikt nie miał nas słyszeć, ponieważ wiązała nas ekscytująca tajemnica.

W ostatnich dniach znajdowaliśmy na obrzeżach dróg i w dołach karabiny i naboje. Teraz odkryliśmy także porzuconą amunicję, której naturalnie nie mogliśmy pozostawić. Nasze kieszenie były wypchane nabojami, tak samo kieszenie mojego płaszcza od konfirmacji. Płaszcz ze swoim wzorem w jodełkę wyglądał szykownie, jednakże jego kieszenie były teraz poddane próbie na rozsadzanie, tak mocno były wypchane. Nasze rozmowy załamywały się. Różne opinie o użyciu broni stawiały nam wyzwanie do zaprezentowania własnych poglądów. No jasne!

Chcieliśmy udowodnić nasze teorie w praktyce, strzelając tu, teraz i natychmiast! Byliśmy pełni zapału.

Poczyniliśmy już trochę doświadczeń w obchodzeniu się z bronią. Mniejsze znalezione granaty ręczne wrzucaliśmy do małych bajorek, które tworzyły się na łące.

Było to bardzo ekscytujące, kiedy rzucaliśmy granaty do wody i następowała eksplozja. Wystarczyło potem pozbierać tylko ryby. Nasze mamy cieszyły się bardzo z dodatkowego zaopatrzenia. Gdyby wiedziały, że ryby zostały złapane poprzez użycie granatów ręcznych, to zamiast pochwały dostalibyśmy kijem.

Oddaliliśmy się już wystarczająco od wsi. Niektórzy chcieli już ładować karabiny. Wydawało nam się, że robimy to profesjonalnie. Ale do czego mieliśmy strzelać na całkiem płaskiej łące? Zobaczyliśmy stożek siana, a kopic siana posłużył nam jako tarcza. No i już strzelaliśmy.

Gdy także w końcu mój kuzyn Rudi załadował i wystrzelił ze swojej broni, został uderzony z odrzutu. Ale śmiało się z tego serdecznie i wyliszył, ponieważ nikt nie mógł nas słyszeć. Całkiem dobrze szło nam teraz również strzelanie do celu, a jak się snopek siana zapalał, to mieliśmy ubaw. Dalej chcieliśmy podpalić kopic. Od naszych pocisków zapalały się tu i tam małe płomienie. Unosił się dym. Bezkarnie – sądziliśmy. Zapominając o całym świecie zajmowaliśmy się tylko sobą. Każdy chciał być lepszy i szybszy niż inni.

Po chwili zdziwiliśmy się i zaczęliśmy obserwować. Co to było?

Nad naszymi głowami przeleciał strzał. Oczekiwanie w napięciu – przysłuchiwaliśmy się – przeszyło nas nieprzyjemne uczucie. Strzały uderzały przez łąki. Teraz kule przelatowały nam koło uszu. Pojęliśmy, że teraz my staliśmy się tarczą. O Boże, jeszcze jeden! Następowały długie wiązki amunicji smugowej. Chwilowo sparaliżował nas strach.

Kiedy widzieliśmy z tyłu, że biegną do nas niemieccy żołnierze, raptownie upadł nasz zachwyt z powodu strzelaniny i powoli ruszyliśmy do biegu. Ponieważ mój kuzyn nie mógł robić takich długich kroków, wzięliśmy go z lewej i prawej za ręce. Przez dłuższą chwilę się udawało, potem potknął się, upadł i puściliśmy go. Za nami trwała strzelanina i huk. Przestrzeń pomiędzy nami a żołnierzami zmniejszała się. Biegliśmy tak szybko, jak tylko mogły unieść nas nogi. Ciężko było oddychać. Mógł nas uratować tylko nasz dom. Każdy szukał schronienia w domu rodziców, tutaj mogliśmy odetchnąć. Ale gdzie został Rudi? Wszystko jedno!

Ścigany, wpadłem do naszego mieszkania. Tutaj nadal przebywali rozluźnieni goście imprezy z okazji konfirmacji. Wszyscy przerwali rozmowy i patrzyli na mnie. Ojciec zapytał przerażony: „Jak ty wyglądasz?” Wyjąkałem: „M...m...my bawiliśmy się w berka!” Ze względu na gości, ojciec nie chciał robić zamieszania ze mną i kiwając głową pominął pytania.

Czas na kawę. Po tym prześladowczym polowaniu na nas odczułem morderczy głód. Połykałem łakomie kawałki świątecznego tortu bez przeżuwania ich. Uciekliśmy od tego! Stopniowo mogłem znowu oddychać. Ale wtedy zaczęła się następna część katastrofy.

Przez okno naszego pokoju z przodu domu mogliśmy ujrzeć następujący obrazek: Około dziesięciu żołnierzy zebrało się przed naszą furtką ogrodową. Czego oni chcą od nas? - zapytał jeden z gości. - Oni są przecież w pełnym bojowym rynsztunku - uzupełnił drugi. Wszyscy z ciekawości skoczyli do okna. Teraz widziałem także: wszyscy żołnierze mieli na głowach stalowe hełmy, trzymali karabiny i maski gazowe, przy pasie wisiły chlebaki i manierki.

Nie przeczuwałem niczego dobrego. I słusznie, teraz odkryłem także pośród żołnierzy innych chłopców z popołudnia. Jak to było możliwe? Przecież nam wszystkim udało się ucieczka. Nie, nie wszystkim. Mój kuzyn Rudi, najmniejszy, został pojmany przez niemieckich żołnierzy. Od niego dowiedzieli się naszych nazwisk i teraz mogli nas wszystkich zabrać pojedynczo z naszych domów. Żołnierze nazwali to „aresztować”.

Dwóch żołnierzy zapukało do drzwi i jednocześnie weszło. Powiedzieli, że chcą zabrać Günтера Schmidta na przesłuchanie. Moja matka wystąpiła i powiedziała: „Jestem matką, a to jest mój mąż. Czy możemy się dowiedzieć, dlaczego chcą panowie zabrać naszego syna?” „Tego może się pani dowiedzieć po przesłuchaniu” – otrzymała szorstką odpowiedź.

Teraz poszliśmy pieszo z eskortą dziesięciu mężczyzn do sztabu, który znajdował się w baraku w Damuster (Dębostrowie) w pobliżu gospodarstwa Steinbrinków.

Byliśmy przesłuchiwani pojedynczo, przy czym zrobiło się nam już trochę przykro. Teraz poznaliśmy skutki, które wywiązała nasza strzelanina. A było to tak:

Na łąkach nad Roztoką Odrzańską przy pompowni stacjonowali rosyjscy żołnierze byłego generała Własowa, którzy teraz walczyli po niemieckiej stronie przeciwko Armii Czerwonej. Odkąd łąki stały się niepewne z powodu naszych ćwiczeń strzeleckich, jeden z żołnierzy Własowa zameldował do niemieckiego sztabu: rosyjscy partyzanci przedostali się na pontonach i otworzyli ogień! Teraz Wehrmacht wysłał marszem jedną grupę zbrojną, aby pojmać partyzantów.

Partyzantami byliśmy my. A to dobre - uznaliśmy. Początkowy śmiech z tego powodu minął, kiedy zarządzone przekazanie nas do komendantury, która miała swoją siedzibę w jasienickiej szkole. I znowu my - dziesięciu uczniów musieliśmy maszerować z szczęcioma uzbrojonymi żołnierzami, dwóch z przodu, po prawej i po lewej – po jednym i dwóch na końcu.

Tutaj w jasienickiej szkole, w której znajdował się sztab, zostaliśmy najpierw po jednym rozdzieleni do różnych pomieszczeń, pojedynczo wzywani do pokoju przesłuchań i przesłuchiwani. Pytania zadawali oficerowie, którzy obchodzili się z nami bez patyczkowania. Niektórzy z uczniów zostali przez nich brutalnie wyzwani. Obwieszczeniem: „Jutro zostaniecie postawieni przed sądem wojennym w Stettin” zostaliśmy wtrąceni do więzienia w Jasenitz (Jasienicy).

Więzienie znajdowało się w pobliżu szkoły i było budynkiem, który nie rzuca się w oczy. Wyglądało jak chlew dla kóz i składało się tylko z jednego pomieszczenia na prywatnym terenie u Dittmanów przy dawnej Alten Schulstraße (dziś: ul. św. Anny). Zostaliśmy wepchnięci do tego małego pomieszczenia i drzwi zatrzasnęły się za nami. Z chrzęstem przekręcono klucz, ale od zewnątrz. Cela miała wymiary dwa metry na pięć, wąska klitka. W niej stała tylko jedna drewniana prycza. Odkryłem jeszcze kilka przedmiotów do higieny, które składały się z wiadra, miski i szufelki. To wszystko! Nie, stop!

Odkryłem jeszcze coś osobliwego w tym pomieszczeniu. Na ścianach znalazłem wydrapane nazwiska, które wydawały mi się obce. Nazwiska trudno było odczytać, a nikt z nas nie nazywał się Kazimierz ani Grzegorz. Co to mogli być za ludzie?

Usiedliśmy gęsto jeden przy drugim na łysych deskach pryczy. Ponieważ leżanka nie była szeroka, mogliśmy oprzeć się plecami o ścianę. Na desce nie starczyło miejsca dla wszystkich chłopców. Pozostali musieli usiąść na zimnej, kamiennej posadzce. Nie zazналиśmy spokoju. Już po krótkim czasie zeszytniały nam szyje, a ciało ciążyło, wtedy zmienialiśmy miejsca.

Odczuliśmy satysfakcję, kiedy Erwin Schlei powiedział o swoim przesłuchaniu w szkole w Jasenitz (Jasienicy). Ponieważ Erwin nie zrozumiał od razu, co oficer do niego mówił, tamten chciał mu przyłożyć. Oficer zamachnął się mocno, Erwin pochylił się i ręka oficera wyśladowała na murze od pieca, która z łomotem gruchnęła na podłogę. Potem Erwina bezczelnie okrzyczano. Wewnątrz radowaliśmy się z powodu tej historii i odczuliśmy radość z cudzej krzywdy. Ale dopiero kilka lat później mogliśmy się głośno z tego śmiać.

Wszyscy się zamyslili.

Byłem skrzępowany zarzutem, że strzelaliśmy na obszarze wojny. Właściwie jak? Myśleliśmy, że front znajduje się po wschodniej stronie Odry. Mogłem się o tym przecież osobiście przekonać, ponieważ od jakiegoś czasu z moją kuzynką Grete Krüger mogliśmy z mojego górnego pokoju oglądać przez lunetę żołnierzy Armii Czerwonej. Widzieliśmy wyraźnie, jak wsiadali do swoich czołgów i jak pojazdy bojowe się poruszały. Kiedy pojedynczo przepływał statek z Stettin (Szczecina) w kierunku Stettiner Haff (Zalewu), był ostrzeliwany przez żołnierzy rosyjskich z lądu. Było to bardzo ekscytujące, kiedy pociski nie trafiały i rozpryskiwały wodę w wysokie fontanny. Znalczona przez nas bezpieczna luneta wydawała się nam niczym czarodziejska różdżeczka, ponieważ mogliśmy widzieć na odległość kilku kilometrów.

Po naszej stronie, na zachodnim brzegu Odry, nie było jeszcze żadnych działań wojennych. A ponieważ na łakach ćwiczyliśmy tylko strzelanie, to czy powinniśmy być postawieni przed sądem wojennym? Nie ukradliśmy broni, leżała po prostu bezpiecznie wokół! Nie przebieraliśmy się także umyślnie za „partyzantów”. Cóż mogliśmy poradzić na to, że żołnierze Własowa uznali nas za takich i zarządzili najwyższy poziom gotowości alarmowej?

Od czasu do czasu drzemaliśmy. Nasze ciało jednak domagało się swoich praw. Nasze żołądki burzały, byliśmy głodni. Niewielkie okno nad drzwiami wychylało się do wewnątrz. Poprzez tę szparę ciągle głośno krzyczeliśmy: „Jesteśmy głodni! Przynieście nam coś do jedzenia!”.

Po pewnym czasie okno otworzyło się, dawało się ono otworzyć tylko z zewnątrz. Ukazała się pani Dittmann, właścicielka więzienia i zapytała, kim jesteśmy i dlaczego zostaliśmy zamknięci i czy jej syn jest wśród nas? “Nie” - odpowiedzieliśmy. “Nie ma go tutaj”.

Ponownie zniknęła, a głód pozostał. Byliśmy pełni wewnętrznego wzburzenia.

Ciało znowu domagało się swoich praw. Cisnęły nas pęcherze. Co teraz? Wiadro musiało wytrzymać. Rozszerzał się jednak świrdujący zapach. Jednak strach był silniejszy niż smród. Dopadł nas sen, zimno i ciągle pytanie: co się z nami stanie?

Nie mogliśmy wiedzieć, że pani Dittmann mimo późnej pory odszukała pracowników urzędu gminy i poinformowała ich, że w więzieniu są zamknięci chłopcy. Potem do sztabu w jasienickej szkole zwrócił się pan M. Zażądał uwolnienia dzieci. Z jakiegoś powodu wyrażono na to zgodę. Również nasi rodzice z Königsfelde (Niekłończycy) zebrali się, ponieważ nie wiedzieli, gdzie nas pozostawiono. Domagali się od niemieckiego urzędu wojskowego uwolnienia swoich dzieci.

Kiedy nasze matki odebrały nas po tej nocy w więzieniu, jedna z matek wyśladowała swoją troskę, chwytając za miotłę w celi i wymierzając swojemu chłopakowi jednego kuksańca. Reakcje innych matek były różne: powstrzymywały łzy, były wściekłe, pełne miłości, zagniewane, ale wszystkim ulżyło.

A co dopiero my! Wpadliśmy w wir emocji. Czuliśmy się upokorzeni, strach prawie nas zjadł, byliśmy skruszeni, ale także wdzięczni, no i trochę też czuliśmy się jak bohaterowie!

Co to był za dzień! Przed południem otrzymałem kościelne błogosławieństwo, po południu nastąpił chrzest bojowy, a wieczorem cierpiałem w mękach piekielnych, jednakże sąd najwyższy został mi jeszcze oszczędzony.”

Parę tygodni wcześniej rozpoczęła się ewakuacja ludności - matek, dzieci i starszych osób z Jasenitz (Jasienicy). W myśli każdy miał nadzieję, że front zatrzyma się przed Odrą. Przede wszystkim gospodarze obawiali się o swoje bydło, przecież trzeba je karmić regularnie. Z ciężkim sercem wypędzili swoje zwierzęta z obór na wolną przestrzeń, żeby mogły sobie same znaleźć pożywienie.

Załącznik 10: Żołnierze Własowa

Spotkanie rosyjskich parlamentarzystów z członkami niemieckich sił zbrojnych

Prof. dr Karl-Heinrich Hertzner (*1932 22002) - Wolfenbüttel

Jak przetrwała te dni w swoim majątku rodzina Hertzner - opowiada syn Karl-Heinrich:

„Oczywiście sytuacja była o wiele bardziej poważna niż sądziliśmy, ponieważ w niedzielę, 8 kwietnia 1945 r., otrzymaliśmy nakaz bezzwłocznego opuszczenia Jasenitz (Jasienicy).

Mój ojciec i inni mężczyźni, którzy jeszcze niedawno zostali odkomenderowani do volkssturmu, mieli nadal zostać w miejscowości. Bez mężczyzn ucieczka wozem konnym wydawała się jednak niemożliwa. Poza tym baliśmy się, że nie odnajdziemy się ponownie po rozdzieleniu. W ostatniej minucie jednakże volks Sturm został rozwiązany. Mężczyźni musieli oddać broń i na szczęście mogli przyłączyć się do ucieczki. Jakże się cieszyliśmy, kiedy mój ojciec znowu był z nami.

Okolo godziny 14 byliśmy gotowi do odjazdu. Nasza kolumna składała się z trzech wozów, sześciu koni, jednej krowy na świeże mleko i kilku kurczaków. Było nas dziewięć osób. Okolo wieczora dotarliśmy do Neu Jasenitz (Nowej Jasienicy). Zaraz po śniadaniu chcieliśmy kontynuować jazdę. Ponieważ jednak dalekie grzmoty ostrzału prawie ucichły, zyskaliśmy nową nadzieję i sądziliśmy, że już jest po wszystkim. Przywódca kolumny z Jasenitz (Jasienicy) zarządził postój tego dnia, aby oczekiwać dalszych wiadomości.

Następnego dnia, czyli 10 kwietnia, nadeszło niespodziewanie odwołanie rozkazu ucieczki. Powiedziano nam, że Rosjanie po ciężkich bojach zostali pokonani na południe od nas nad Odrą, w pobliżu Gartz. Tym samym niebezpieczeństwo zostało zażegnane i wszyscy mogli wrócić do domu.

Podczas naszej krótkiej nieobecności niemieckie wojsko zajęło nasze gospodarstwo. Na podwórku stały wszędzie pojazdy militarne, żołnierze spali w szopie i na sianie. W budynku mieszkalnym, komendant regimentu von Bülow urządził kwaterę swojego sztabu. Był bardzo zdziwiony, że odesłano nas z powrotem. Po co cywile mieliby przebywać na terenie objętym wojną i dlaczego mieliby się pakować niepotrzebnie w tarapaty.

Mimo to powtórnie urządziliśmy się w następnych dniach, na ile się dało. Także praca przebiegała dalej jak zazwyczaj. Należało oporządzić bydło, a na polu i w ogrodzie czekały nas wiosenne roboty związane z wysiewem zboża jarego, a także trzeba było otworzyć kopce kartofli. Składowaliśmy 300 centnarów kartofli i wiele centnarów zboża w szopie, które teraz trzeba było sprzedać. W międzyczasie zakwitły także niektóre wiosenne kwiaty i mogliśmy podcinać pierwsze szparagi. Także gęsi, kaczki, indyki i perliczki wysiadywały jaja. 19 i 21 kwietnia trzy krowy zaprowadzono do byka i sprzedano kilka świń tucznych. Wierzyliśmy jeszcze w to, że nie będziemy musieli opuszczać naszego gospodarstwa.

Jednakże wojna trwała dalej w sposób nieograniczony. Na zachodzie nacierali alianci, koło nas stacjonowali Rosjanie - już dwa miesiące prawie przed naszymi drzwiami, oddzieleni jedy-

nie Odrą i rozległymi zalanymi terenami łąk odrzańskich. Doszło tam do kilku starć, ponieważ rosyjskie patrole zwiadowcze ciągle próbowały przedostać się małymi łodziami przez Odrę. Nasz teren ciągle był obserwowany przez rosyjskie samoloty zwiadowcze i kto robił coś na zewnątrz, musiał liczyć się z lotami koszącymi. Samoloty ostrzeliwano z ukrytego działła przeciwlotniczego jedynie kilkoma pociskami albo wcale, aby nie zdradzić swojej pozycji i siły. Odgłos pocisków i tępe huki częstych eksplozji należały już do porządku dziennego.

Nasze gospodarstwo stało się prawdziwym obozem wojskowym. Było strzeżone dzień i noc z powodu stacjonującego u nas sztabu. Oficerowie urządzili się w naszych pokojach mieszkalnych i sypialniach, a w korytarzu rozłożyli dużą mapę sztabu generalnego na stole. Tak więc dolne pomieszczenia były zajęte, musieliśmy się przeprowadzić do górnych. Jedynie w kuchni gotowaliśmy wspólnie z żołnierzami.

Krótko po załamaniu się ucieczki i naszym powrocie z Neu Jasenitz (Nowej Jasienicy) przybył do nas na podwórze sierżant. Chciał zarekwirować cztery z naszych sześciu koni. Miały one posłużyć do transportu materiałów wojskowych nad Odrą. Jeżeli nie oddalibyśmy naszych koni dobrowolnie, to miał je zabrać siłą. Moja matka, którą zaczepił na podwórku, była bardzo oburzona tym przymuszeniem i broniła się głośno. Na szczęście kłótnię zauważył komendant. To nas uratowało. Sierżant musiał zaniechać swoich zamiarów na rozkaz komendanta i oddalił się wściekły. Uratowaliśmy tym nasze konie, ponieważ bez nich nie byłibyśmy w stanie odejść stąd z naszym dobytkiem.

W urodziny Adolfa Hitlera - 20 kwietnia - żołnierze, pośród których byli także siedemnastolatki, na naszym podwórku urządzili wielki apel. Przy tej okazji niektórzy oficerowie, podoficerowie i zwykli żołnierze zostali wyróżnieni za swoją odwagę względem wroga lub awansowali. Nadane swastyki mogli od tego dnia nosić na opasce.

Następnego, czy jeszcze kolejnego dnia, dwaj oficerowie w obcych mundurach z wieloma orderami siedzieli przed naszym domem na ławce. Ich odzież była przemoczona. Chodziło o rosyjskich oficerów, parlamentarzystów, którzy na rozkaz dowództwa przepławili się na łodzi przez Odrę o porannym brzasku. Zostali przyjacielsko powitani przez komendanta von Bülow i otrzymali dobre śniadanie. Potem pojechali powozem, który był zaprzężony w dwa piękne konie komendanta, do sąsiedniej miejscowości - Falkenwalde (Tanowo), gdzie swój majątek miał generał-feldmarszałek von Mackensen. Tam prawdopodobnie prowadzono z niemieckim dowódcą ważne rokowania z powodu przekazania Stettin Rosjanom. Ponieważ natychmiast potem zarządzono, że ludność cywilna ma 25 kwietnia od godz. 16 opuszczać Stettin (Szczecin).

24 kwietnia: komendant von Bülow przyjechał ze swojej narady z Falkenwalde (Tanowa). Opowiedział nam, że Rosjanie 16 kwietnia przekroczyli Odrę koło Frankfurtu i walki trwają już w Berlinie. Dalej Rosjanie pomiędzy Stettin a Berlinem są w natarciu w kierunku na zachód i będą się przesuwać także z południa na Stettin. Należy się liczyć z tym, że w najbliższych dniach zdobędą Stettin, dlatego jest dla nas najwyższy czas, aby uciekać.

Jak poważna była ta sytuacja, zauważyliśmy także po zachowaniu wojska. Oczywiście stacjonujący na naszym terenie żołnierze mieli polecenie wycofać się po pierwszym szturmie Rosjan. Zamontowane na stałe działła przeciwlotnicze strzelały teraz ze wszystkich luf, aby zużyć ostatnią amunicję. W międzyczasie słychać było wysadzenia. Powietrze pachniało siarką i nawet słońce przygasło od pyłu. Piekło na ziemi. Byliśmy ogłuszeni od tego huku i myśleliśmy tylko o tym, aby jak najszybciej uciec z tego straszego miejsca.

25 kwietnia: załadowaliśmy nasz prowiant i pozostałe bagaże na wóz i opuściliśmy wieczorem, około godziny 20, nasz dom, gospodarstwo i naszą ojczyznę, czując się nieswojo. Pozostali tam żołnierze, którym powierzyliśmy z mieszanymi uczuciami dalszą troskę o zwierzęta.

W nocy z 25 na 26 kwietnia niemieckie wojsko wycofało się z obszaru miasta. Nieskończony ciąg żołnierzy i uchodźców poruszał się Falkenwalderstraße (ul. Wojska Polskiego) ze Stettin. Kiedy Rosjanie weszli do Stettin (Szczecina) 26 kwietnia 1945 r., mogli bez walki zająć miasto.”

Dzieci przeszukiwały stanowiska dział przeciwlotniczych

Wspomnienia Rudolfa Schrödera (*1934 22004) - Loitz

Rudi mieszkał przy Hardemoorstraße, trzy domy od majątku Hertzner. Gospodarstwo należało do jego ojca Ernsta i jego mamy Anny.

Rudi opowiada: „Mój ojciec i moja mama byli, mimo dużej ilości pracy, zawsze zajęci nami, sześciorgiem swoich dzieci. W ostatnich tygodniach ciągle zatrzymywali się u nas jacyś krewni lub znajomi. Kiedy jedni uchodźcy się wyprowadzali, następni szukali u nas schronienia. Mama miała serce dla wszystkich.

Z powodu bliskości frontu otrzymaliśmy 9 kwietnia wezwanie do opuszczenia Jasenitz (Jasienicy). Przygotowany przez mamę bagaż czekał już spakowany na ucieczkę. W ostatniej minucie pojawił się na czas także nasz ojciec zwolniony z volkssturmu. Dwoma zaprzęgami opuściliśmy nasze gospodarstwo. Wcześniej pozostawione przez nas bydło zostało obficie nakarmione. Następnie chcieliśmy skierować się do Pasewalk. W tym celu musieliśmy pokonać wielokilometrowy obszar leśny Ueckermünder Heide (Puszcza Wkrzańska). Wiele rodzin z Jasenitz (Jasienicy) opuściło już swoje miejsca, podążając w kierunku zachodnim i wykorzystało gęsty las jodłowy jako kryjówkę. W lesie dotarł do nas rozkaz: Wszyscy z powrotem do domu! Po dwóch dniach byliśmy na naszym podwórku.

Przybywszy do naszego starego otoczenia, my dzieci stwierdziliśmy, że wiele domów stało pustych. Drzwi nie były zamknięte. „Biada, idźcie do domów!” - pogroził ojciec. Staliśmy się ciekawi, chcieliśmy jako dzieci odkryć, jak to wyglądało u innych ludzi. Zygżakiem przekradaliśmy się na tereny mieszkalne. Opuszczone stanowisko po dziale przeciwlotniczym w lesie i resztki wielkiego obozu poznaliśmy już tak dobrze, jakbyśmy byli tam w domu. Obóz był przewidywalnie wkopany w ziemię i przykryty pniakami i ziemią. Znaleźliśmy długie podziemne przejścia, w których stały regały wypełnione plandekami, nowymi butami, artykułami sportowymi i pościelą. Kiedy pojawiliśmy się tam po kilku dniach ponownie, wszystkie regały były prawie puste. Teraz także i my zabraliśmy kilka chlebaków, z których mamy uszyły dzieciom krótkie spodnie. Spodnie były solidne, jednakże nie na nasze pośladki, na które szorstka tkanina działała jak tarka.

Jak to dzieci, zawsze odkrywaliśmy coś nowego. Najniebezpieczniejsza była amunicja, która bez nadzoru leżała dookoła. Raz chcieliśmy rozebrać granatnik panzerfaust. Na szczęście nam się nie udało.

Przy najeździe na zakład-widmo, który znajdował się na położonym nieopodal terenie, odkryliśmy około 80 cm długości laski z prochem o średnicy 5 mm. Były to wsady do pocisków dział przeciwlotniczego 12,8 cm. Pełni zapalu, my chłopcy, zanieśliśmy te wsady do pobliskiego lasu. Na małej polanie w schronieniu zrzucaliśmy wszystko pod świerk i czekaliśmy, aż się ściemni. Potem każdy brał sobie taką laskę, zapalał ją i biegał z nią wkoło. Śpiewaliśmy przy tym pieśni. Te pochodnie świeciły jaśniej niż świeczki bożonarodzeniowe. Potrząsaliśmy nimi w ciemności, śmiało się, ryczeliśmy, byliśmy szczęśliwi. Kiedy jedna pochodnia się wypaliła, przynosiliśmy sobie następną. Przecież było ich wystarczająco dużo. Sycząc i strzelając laski wylatywały jak strzała w powietrze. Osobliwe, że niektóre pochodnie wyrывało nam z ręki, jakby ręką ducha i latały tu i tam. Rozwijały taką prędkość, że tylko z trudem zdążyliśmy odchylić nasze głowy. To odkrycie zachęciło nas do tego, aby puszczać z błyskiem przez ciemność więcej płonących wsadów. Startowały jak rakietki i zygżakiem wzbijały się w nieprzewidywalny

sposób w powietrzu. Cieszyliśmy się, śmialiśmy i piszczeliśmy. Nagle jedna iskra poleciała na kupkę tych laszek i zapaliła go. Wszystko eksplodowało w postaci niewidzianych nigdy wcześniej fajerków. Teraz kilka drobinek złapało ogień, trzaskało i paliło się pełnym płomieniem. Niektórzy chłopcy ze strachu byli jak sparaliżowani, inni szukali schronienia za drzewami lub rzucili się na piaszczystą ziemię. Potem, kiedy grad świec ustał i tylko kilka drzew paliło się w naszym schronieniu, nastąpiło poruszenie w naszej grupie. Gołymi rękami zasypywaliśmy piaskiem palące się drzewka i ugasiiliśmy w ten sposób ogień. Wyrzuty sumienia przepędziły nas przez pola do domu. Ale jak wyglądaliśmy, tego nie można sobie wyobrazić! Wszystko, co się potem wydarzyło w domu, opowiadaliśmy w swoim towarzystwie następnego dnia. Te laski z prochem były dobrymi zapalnikami ognia. Rozbite i rozdrobnione miały tygodniami zastosowanie w kuchni dzięki naszym siostram. Trzeba było tylko ostrożnie się z tym obchodzić!

Pożar w lesie doszedł także do uszu naszej matki. Nie wiedziała, czy jej chłopcy brali w tym udział i zakazała nam jakiegokolwiek kontaktu z takimi rzeczami. „I zabierzcie w końcu wszystko z domu, jeżeli jeszcze coś ukryliście” - powiedziała! „Nie chcę tego więcej widzieć! Ostatnio dzieci rozniosły to po połowie lasu!”. Naprawdę się rozpędziła i nabrała powietrza. Mieliśmy właśnie jeść kolację, kiedy Siegfried odnalazł swą kryjówkę pod schodami, żeby zutilizować małą wiązkę zapalnika, jak zarządziła mama. Nasza mama była tak wkurzona, że nie zauważyła, że tylko mały wykonał jej polecenie. „Czy jesteście wszyscy głusi, że nie słyszycie co się do was mówi? Chcecie się wzajemnie pozabijać?” Poszła do kuchni, odstawiła garnek na bok, wrzuciła kostkę, którą zabrała wcześniej Siegfriedowi, do ognia i postawiła na tym znowu garnek. Siegfried krzychał: „Nie, mam! nie rób tego!”. Ale było już za późno

Siegfried uciekł w strachu na zewnątrz. Günter i ja, którzy obserwowaliśmy to zdarzenie, skoczyliśmy ze strachu z ławki pod stół i patrzyliśmy między nogami jeden na drugiego, jak się wszystko ruszało na piecu kuchennym. Zaczęło gwizdać i syczeć. Poszczególne kółka fajerki się podnosiły. Garnki stukotały i z każdej małej szpary wydobywał się dym. Matka stała przed piecem i nie mogła tego pojąć, aż w końcu z hukiem drzwi piecyka zostały wysadzone, żar i popiół zostały wyrzucone. Była biała jak ściana ze strachu i oświadczyła sucho: „To było już trochę za dużo”. Dopiero teraz pojęła, co zrobiła. Wszyscy doskoczyli, sprzatali, aby cała skrzynka drewniana nie wyleciała w powietrze. Powoli otworzyły się drzwi kuchenne. Siegfried wetknął głowę przez uchylone drzwi i zapytał ze strachem: „Czy będzie jeszcze dziś kolacja?” Wszyscy musieli się roześmiać. To był oczyszczający śmiech. Ale strach myśleć, co mogło się zdarzyć...

Osobliwa podróż barką pomorskiego gauleitera

Christel Bethmann z d. Marlow (*1921) - Stralsund

Mniej więcej w tym samym czasie inna mieszkanka Jasenitz (Jasienicy) przeżyła pełną wrzeń ucieczkę na barce ojca. Jednakże pozwólmy, niech Christel opowie sama:

„Matka i ja znajdowałyśmy się już u babci w Hagen (Tatyni). Razem z nią chciałyśmy udać się na uchodźstwo. Całkowicie nieoczekiwanie przyjechała nagle na swoim rozpadającym się rowerze podniecona Gisela Baum z Jasenitz (Jasienicy). Już z daleka machała ręką i wołała: Wasz ojciec przyjechał parowcem i chce was odebrać!”

Parobek babci zaprzął wóz i zawiózł nas razem z bagażem z powrotem do Jasenitz (Jasienicy). Nasze uczucia były dwojakie: Pożegnanie z babcią z jednej strony, radość z powodu ojca z drugiej strony. Tymczasem on przycumował swój parowiec „Gerda” na Aalbach (Gunicy). Jak dobrze, że rzeczka była aż do młyna żeglowna, oczywiście nie dla kolosów oceanicznych.

Ponieważ było już słyhać ostrzał z frontu, chcieliśmy jeszcze tego samego wieczora wypłynąć. Było już późno, dnia 9 marca 1945 r. Wzdłuż brzegu rzeki stacjonowało na łakach aż do

„Róży wiatrów” wielu żołnierzy volkssturmu. Wołali do nas, że teraz nie możemy płynąć z powodu ciemności. Deszcz iskier z komina zdradziłby nas i Rosjanie by nas ostrzeliwali. Jednakże ojciec jakby wkalkulował taki ostrzał i zapobiegał mu poprzez umocowanie szkuty na sterburcie łodzi. Szkuta miała wyłapywać dziury po ostrzale. Matka i ja dostałyśmy polecenie aby położyć się na dno łodzi. Ponieważ parowiec miał około 2,5 m zanurzenia, to byliśmy względnie bezpieczni.

Po tym jak wypłynęliśmy z Aalbach (Gunicy) i dostaliśmy się do Papenwasser (Roztoki Odrzańskiej), zwiększyła się odległość od frontu. Jednak strach pozostał. Z południowej części Stettiner Haff (Zalewu Szczecińskiego), do którego się zbliżaliśmy, nadciągała burza. Ojciec wolał dopłynąć do portu w Ziegenort (Trzebieży), ponieważ sztucznie usypana wyspa Leitholm (Chełminek) służyła tam jako falochron. Wieś wydawała się wymarła. Znaleźliśmy warunkową kwaterę wśród niemieckich żołnierzy, którzy stacjonowali w sali tanecznej.

Mechanik, który pozostał na łodzi parowej, obudził nas około godziny drugiej w nocy, słowami: „Burza osłabła!” Niewyspani wdrapaliśmy się z powrotem na nasz statek. Po dotarciu do Ueckermünde otrzymaliśmy od tamtejszego urzędu morskiego dalsze instrukcje. Z zaczepionymi barkami transportowaliśmy zboże, cukier, krajankę z buraków i inne towary. Przez sześć tygodni płynęliśmy do Anklam aż do Loitz rzeką Peene w górę i znowu w dół do Malchin i Demmin i tam, i w innych portach pozbywaliśmy się naszego ładunku.

W przeciwieństwie do tego, co działo się na drogach, na naszym parowcu było dosyć spokojnie. Kiedy 20 kwietnia zatrzymaliśmy się w Ueckermünde, usłyszeliśmy w radiu mowę ministra propagandy Goebbelsa, który składał życzenia Hitlerowi z okazji 58 urodzin. Wojna była już od dawna przegrana, jednakże jego umysł jeszcze ciągle był utwierdzony w dążeniu do wygranej. Od swoich towarzyszy wymagał zgodnie z dewizą „ty jesteś niczym, twój naród jest wszystkim” totalnej gotowości do przetrzymania. Nikt nie ważył się wyrazić głośno swojej opinii, ale spoglądaliśmy na siebie wymownie. Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko, a meldunki były sprzeczne. Front niepowstrzymanie przybliżał się. Jak małe stały się Niemcy!

W końcu kwietnia zatrzymaliśmy się w Anklam. Front nadal zbliżał się do nas i wszystko zbliżało się do rozwiązania. Moi rodzice próbowali dostać trochę chleba w mieście. Na darmo! Piekarze zostali przeniesieni już w kierunku zachodnim, sklepy były zamknięte.

W całym tym pośpiechu ojciec dawał ostatnie instrukcje. Spokój, który z niego wypływał, dobrze na nas działał. Do małej załogi parowca należał, oprócz mechanika, jeszcze jeden majtek. Zgodnie z instrukcjami urzędu morskiego mieliśmy holować jeszcze jeden przepelniony żołnierzami i uciekinierami duży statek, który cumował na przystani. Pasażerowie niektórych prywatnych łodzi sportowych prosili także, aby ich zabrać.

Dyskutowali z ojcem, kiedy w szybkim tempie nadjechało auto, wzniosło kurz i z hałasem się zatrzymało. Wsiadł jeden człowiek, podszedł pewnie do ojca, popukał go w ramię i przedstawił się: „Panie Marlow, jestem gauleiter¹ Schwede-Coburg i rozkazuję panu zabierać ze sobą każdą barkę czy każdą jednostkę, jeżeli będzie ona załadowana. Dwaj żołnierze udadzą się z panem jako straż. Oni mają dojechać do portu w Lauterbach na wyspie Rügen. Będę tam pana oczekiwał!”

Mężczyzna, który udzielił tego zlecenia ojcu, był swego czasu gauleiterem Pomorza. Na swoim stanowisku, jako Komisarz Obrony Rzeszy ponosił odpowiedzialność za całą biedę, którą teraz ludzie musieli cierpieć. W jego władzy było pozwolić kobietom i dzieciom na zimową

¹ Gauleiter (niem.) – przywódca jednostki administracyjnej (gau), tytuł nadawany przywódcy NSDAP na danym terenie, również na terenach zaanektowanych przez III Rzeszę. Gauleiter podlegał wyłącznie nadrzędnym władzom partii.

ucieczkę z Pomorza już wcześniej. Dzięki temu wielu ludzi nie musiałoby zamarznąć. Na własną ucieczkę przysługiwał mu do dyspozycji samochód i niezbędna ilość benzyny. Natomiast zabranie swoich rzeczy zlecił nam. Ładowanie jego skrzyń i pudełek przeciągnęło się od rana do godzin południowych. Na naszym statku uciekinierów nastał niepokój, ponieważ odbój statku opóźniał się przez gaulcitera

Na wale brzegowym rozpowszechniła się plotka, którą ojciec słyszał już w Stettin (Szczecinie), a mianowicie, że wszystkie pojazdy wodne mają być wysadzone. Podeszliśmy do tego spokojnie, ponieważ zakładaliśmy, że Schwede-Coburg nie pozwoli przecież wysadzić swoich własnych skrzyń w powietrze. Plotka, że Rosjanie stoją już prawie pod miastem, bardziej nas jednak przerażała. Czyli w pośpiechu naprzód! Nowy powód do przerażenia: nie mieliśmy wystarczająco dużo paliwa na pokładzie. Musieliśmy załadować jeszcze węgiel, na który nasz statek był zdany w celu wytwarzania pary, w położonej w pobliżu fabryce cukru. Do niewielkiego basenu portowego fabryki cukru mógł wpłynąć jedynie nasz parowiec, podczas kiedy wszystkie ciągnięte barki zostały odczepione i musiały zacumować na rzece Peene. Na terenie fabryki czekało nas następne zaskoczenie: wszystkie budynki zostały opuszczone przez personel. Przeszliśmy sami do działania. Każdy, kto mógł pomóc ładował węgiel, ponieważ wszyscy byli w takim samym stopniu zainteresowani tym, aby możliwie szybko opuścić to niebezpieczne miejsce. Węgiel był przrzuwany łopatami na platformy i siłą mięśni wsypany na parowiec. Załadowaliśmy sporo materiału opałowego, aby odpłynąć możliwie daleko. Żołnierze na nowo przywiązali barki i w tej samej chwili nastąpiła eksplozja, huk i łomot w naszym otoczeniu. Atak na Anklam! Chaos idealny! Właśnie przed chwilą rozciągał się jeszcze w powietrzu typowy zapach wodorostów, ryb i morza, a tu nagle wszystko przebił zapach ognia. Śmierć zbliżyła się do nas!

W marszowym tempie nasz parowiec ciągnął się dalej przez rzekę Peene. O wiele za wolno, uważaliśmy, ale z każdym metrem, którym oddalaliśmy się od obszaru walk, strach nieco się zmniejszał. Jednakże nasze myśli ciągle jeszcze krążyły wokół działań wojennych w Anklam, z których ledwie uszliśmy.

Zmieniły się także nasze wyobrażenia związane z barką gaulcitera. Każdy miał swoje przemyślenia na temat zawartości skrzynek Schwede-Coburga. Co mogą zawierać? Akta? Rzeczy osobiste? Rzeczy pochodzące z kradzieży? Skarby? Żywność? Czy może amunicję?

Po południu dotarliśmy do Wolgast. Naprzeciwko ujścia rzeki Peene leży port Kröslin. Tutaj znaleźliśmy schronienie na jedną noc.

W zatoce Greifswalder Bodden czekało na nas ponownie wzburzone morze. W sterówce stałam koło ojca. Rozłożył przed nami mapę nawigacyjną. Rozważał, czy przeczekać burzę. „Morze jest niespokojne” - powiedział. Z balastem istniało ryzyko rozbicia się. „Dalszy rejs jest zbyt niebezpieczny.” Chociaż szerzyła się choroba morska, pasażerowie nalegali, aby kontynuować rejs. Po prostu jak najdalej stąd. Wszyscy czuli diabła na karku. Ojciec próbował w ostrożny sposób skrócić całym tym pływającym zespołem jednostek pływających. Manewrował bardzo delikatnie i udało mu się dokonać cudu, aby kontynuować rejs do Stralsundu. Przed miastem dowiedzieliśmy się od załogi okrętu wojskowego, że Stralsund jest już zajęty przez Rosjan. Skręciliśmy więc ponownie w kierunku Lauterbach. Na szczęście wiatr zmienił się i osłabł.

W porcie nie było mowy o wejściu do niego z powodu przepełnienia. Tu cumowała cała masa łodzi wojskowych i prywatnych jolek. Chyba zebrali się tu pasażerowie z całego Stettin (Szczecina). Nasz balast musiał zakotwiczyć, a my posuwaliśmy się obok wielu łodzi, ponieważ chcieliśmy zameldować się u gaulcitera Pomorza.

Ojciec, ja i dwóch żołnierzy ochrony przeskakiwaliśmy ze statku na statek, aby dotrzeć do wału nabrzeżnego. Między statkami wisały jedynie pokrowce od samochodów osobowych. Nie było widać żadnych trapów. Mając dwadzieścia lat nic sobie z tego nie robiłam. Jeden mundurowy

udzielał na wale nabręcznym informacji o nowościach dnia. W dalszym ciągu ucieleśniał on siłę i majestat swojej partii. Od niego dowiedzieliśmy się, że Schwede-Coburg czekał na nas, ale w międzyczasie opuścił ponownie Lauderbach.

Wszyscy posiadacze pojazdów wodnych chcieli odbić na zachód. Mieliśmy udać się tam razem z nimi, ale nie widzieliśmy sensu w dalszej ucieczce, zwłaszcza że obszary wodne były także zaminowane. Między Lauderbach a wyspą Vilms zrzuciliśmy kotwicę. Następnego ranka byliśmy zdziwieni, kiedy odkryliśmy, że nie ma żadnych okrętów w porcie. Przeżyliśmy zwariowane dni, w których nie byliśmy w stanie właściwie oszacować czasu. Dla nas nie był on istotny. Teraz, myśląc wstecz, zakładam, że mógł być to 5 lub 6 maja.

Z Lauderbach w szalupie dotarli do nas pierwsi Rosjanie. Zostawili w spokoju kobiety i dzieci na łodzi z uciekinierami. O dziwo nasi dwaj żołnierze zamienili się w cywilów. Ich uwagę przykuła łódź Schwede-Coburga. Z dużym zainteresowaniem badali jej zawartość. Nasza ciekawość była jeszcze większa, przecież znaliśmy osobę ich posiadacza. A nam wylażyły aż oczy. Uratowaliśmy kielbasę, wino, szampan i inne artykuły spożywcze.

Rosjanie dali nam dwóch swoich strażników na łódź gauleitera. Codziennie rosyjski komendant przysyłał kilku swoich ludzi, aby pobierali artykuły spożywcze z łodzi. Także jego dwaj strażnicy byli bogato zaopatrywani w żywność. Co kilka dni otrzymywali wiadro pełne jajek i świeże mięso. Dwaj rosyjscy strażnicy dawali z kolei część tych artykułów nam. Generalnie z Rosjanami wyszło nam na dobre. Jeden z nich był naprawdę inteligentny, mówił płynnie po niemiecku i miał dobre maniery. Drugi był raczej powściągliwy. Jedna z uciekinierek, już nie taka młoda, 45-letnia, trochę się o nich troszczyła. To chyba się im podobało, ponieważ nie okazywali żadnego grubiaństwa. Wieczorem świętowaliśmy wspólnie koniec wojny. Na zdrowie, gauleiterze!

Aby zapewnić sobie trochę ruchu, graliśmy często w berka na wyspie Vilm. Były także godziny, w których gapiliśmy się na spienione fale i pozwalaliśmy naszym myślom unosić się nad wodą. Czasami przeszywał nas strach. Niepewność dręczyła nasze dusze. Co teraz będzie? W międzyczasie nastąpił sierpień 1945 r. To był dziwny czas. Często dopadała nas panika, ale czasami to wszystko jawiło się nam jak urlop.

Dwaj byli niemieccy żołnierze zniknęli nam z pola widzenia. Także inni uciekinierzy poszukiwali swoich krewnych, którzy mieszkali na północy Niemiec. W ten sposób zmniejszyło się nam przypadkowe towarzystwo. Na szczęście nie przez przypadki śmiertelne.

Pewnego razu ojciec miał zawieźć kilku Rosjan do Stralsundu. Zaczął zastanawiać się, czy morze nie jest zbyt wzburzone. Rosjanie nastawali jednak na swój rozkaz. Burza grzmiała niemiłosiernie, a na pokładzie wybuchła radykalna kłótnia. I wtedy nadszedł rozkaz do powrotu. Kiedy morze ponownie się uspokoiło, powtórzono rejs.

W porcie Stabrode usłyszeliśmy: „tutaj was rozkradną”, ale nic się nam nie stało. W porcie tym zostaliśmy kilka dni, gdyż jeden z Rosjan musiał sobie załatwić dokument w Greifswaldzie. Ponieważ nie było żadnych regularnych połączeń komunikacyjnych, użył naszego roweru, który zawsze mieliśmy na pokładzie. Pierwszy dzień minął, a on nie wracał, nie było go także drugiego dnia, trzeciego dnia pojawił się ze swoim dowodem w ręce, ku wielkiej radości swoich krajan. Rosjanie cieszyli się, że ujrzeli ponownie swojego ziomka, my zaś byliśmy wściekli, ponieważ utraciliśmy rower, z którym tamten nie umiał się obchodzić. Zostawił go po prostu na skraju drogi i pokonał odcinek pieszo. Pocięliśmy się, że przecież mogło być gorzej i to znowu był powód do świętowania. Dzięki, gauleiterze, za twoje zapasy!

Z zamiarem uzyskania kartek na żywność popłynęliśmy do Stralsund. Niemieckie władze odmówiły nam ich wydania. Jako uzasadnienie podano nam, że wszyscy uciekinierzy mają wrócić

do swojej wschodniej ojczyzny i znowu nasza mała rodzina musiała się podzielić. Ojciec z parowcem pozostał u Rosjan, a ja popłynęłam z matką innym statkiem w kierunku domu.

W Wolgast spotkaliśmy przypadkowo naszego wujka, który został oddelegowany ze swoim parowcem do Stettin (Szczecina). Zabrał nas przez Stettiner Haff i Papenwasser (Zalew i Roztokę Odrzańską). Wysadził nas na Aalbach (Gunicy).”

Rozdział 3

Wiatr zmienił się i przepędził część uchodźców z powrotem do domu

Koniec wojny i transport powrotny Setki ofiar śmiertelnych wskutek wybuchu miny

8 maja 1945. Koniec wojny. Koniec świata dla ludzi, którzy pochodzą z Prus Wschodnich i Hinterpommern (Pomorza Tylnego).¹ Są oni u schyłku sił i marzeń. Dobytek przepadł i nikt sobie nie wyobraża, jak dalej potoczyć się życie. Czy w ogóle może toczyć się dalej?

Przepadła około jedna czwarta terytorium niemieckiego.

Drogi pełne są taborów uchodźców, prowizoryczne kwatery - zajęte. Ludzie są zadowoleni, jeśli znajdą kryjówkę w stajniach i szopach. Byle tylko zejść z drogi! Gminy borykają się nie tylko z problemem zakwaterowania, lecz także zaopatrzenia. Skąd wziąć artykuły spożywcze dla wielu dodatkowych osób, przecież nie starcza ich nawet dla własnej ludności?!

W Bergen na wyspie Rügen, w Zingst i gdzie indziej pojawiły się ogłoszenia i plakaty nowych władarzy, w których ogłoszono, że kartki na żywność otrzymają jedynie osoby, które mogą okazać pozwolenie na pobyt. Uchodźców wezwano, aby wracali do swoich miejsc zamieszkania. Kto sprzeciwi się tej odezwie, temu grożą kary więzienia zgodnie z prawem wojennym.

Również w Zingst odsyła się uchodźców. Ponieważ byli oni zniechęceni i nie czynili sami z siebie żadnych przygotowań do powrotu w rodzinne strony, sowiecki sztab wojskowy przekazał do dyspozycji pociąg holowniczy. Był to holownik, dwie barki i mały statek, powiązane ze sobą balastami. Pociąg holowniczy czekał na transport powrotny uchodźców do Stettin (Szczecina). Po drodze miał zacumować w Jasenitz (Jasienicy).

Ludzie w gotowości setkami stali w porcie Zingst z wózkami ręcznymi, plecakami i pakunkami obwiązanymi sznurkiem. Pchali się na barki, a ciągle dochodzili nowi uchodźcy. Anneliese H. i jej przyjaciółka z Labes (Łobza) miały problem, aby się nie zgubić. W zamieszaniu przy wsiadaniu pozostawiły jednak walizkę z zawartością niezbędną do życia.

Pośród wsiadających znajdował się także dwunastoletni Hans-Günter. Do Stettin miała go zabrać ciocia. Żywili nadzieję, że odnajdą jego rodziców i cieszyli się ze sposobności transportu do domu pociągiem holowniczym. Nie było innych regularnych połączeń komunikacyjnych. Wskutek nieszczęśliwych wypadków Hansa-Güntera oddzielono w zawirowaniach ostatnich tygodni wojny od rodziny. Przeżył on wkroczenie Armii Czerwonej w Prerow na Darß u swojej ciotki.

¹ Pomorze Tylnie – Hinterpommern – niemiecka nazwa geograficzna terenów pomorskich leżących na wschód od biegu Odry i na południe od linii brzegowej Bałtyku. Współcześnie terenom tym odpowiada mniej więcej polskie Pomorze Środkowe, z centrami w Koszalinie i Słupsku.

Oczekujący otrzymali wiadomość: koniec, barki są przepełnione! Jednak niektórzy nadal zamierzali stworzyć sobie dojscie. Jeden z mężczyzn zobaczył swoją sąsiadkę, stojącą pośród innych. Rzucił jej wiadro i zawołał: "Napełnij je wodą i powiedz, że byłaś już na barce." I patrzcie, udało się, straż dała się nabrać.

Spśród mieszkańców Jasenitz (Jasienicy) płynęły między innymi następujące osoby: Gisela Siebert, Hugo Heruth, Ilsa Schauer ze swoją matką Gertrud i bratem Wernerem, Ella Seeger, Ella Lieck z córką Ilse, Gerda Nackert, pani Röbnack z córką Edith, pani Glasenapp z córkami Rosemarie i Waltraud, pan Gaede, stare małżeństwo Dehnel, Lisa Tehl, Albert Gentz i pani Martha Mende, Willi Tews. Wielu uchodźców z Prus Wschodnich i Zachodnich oraz Hinterpommern (Pomorza Tylnego) pchało się także na barki jako pasażerowie. Chcieli być trochę już bliżej swoich rodzinnych stron i ta obecność na barce znaczyła, że mogą wrócić całkiem do domu.

Bagaż załadowano na tylną część jednostek pływających. Wielu ludzi zajęło miejsce na górnym pokładzie statków. Ale setki wsiadły schodząc po drabinie do wnętrza barek. Ładownie te przewidziane były dla materiałów sypkich, jak zboże, węgiel, piasek i tym podobne. Mimo przepełnienia tłoczyły się coraz to nowe tłumy.

21 maja 1945 r. wyczekiwanie dobiegło końca! Pociąg holowniczy został wprawiony w ruch. Od trzynastu dni był pokój. Jednak nie można go było zauważyć, przynajmniej nie zauważyli go ci, których zawierucha historii przeganiała w tę i z powrotem jak wędrowny piasek.

Podenerwowanie stopniowo słabło, zrobiło się spokojniej. Matki zgromadziły wokół siebie dzieci i stworzyły małe gniazda rodzinne. Myśli kobiet wybiegały do ich stron. Sądziły, że w domu łatwiej odnajdą je ojcowie i synowie, którzy byli gdzieś w Wehrmachcie. Kawalkada płynęła na spotkanie horyzontu. Kołyszący ruch wody uspokajał powoli ludzi. Mimo krótkiego snu myśli matek krążyły wokół pytania: Co teraz z nami będzie?

Minęły dzień i noc. Ciasnota prawie uniemożliwiała położenie się. Członki zeszywniały, a zimno przenikało ciało i duszę. Głód był wszechobecny, warunki sanitarne katastrofalne.

W czasie rejsu często się zatrzymywano, ale nikt nie mógł schodzić na ląd. Wodę pitną przywożono w tym czasie łodzią w kanistrach. Raz było widać pas ziemi, potem znowu tylko woda. I znowu minęły dzień i noc. Dni i godziny mieszały się. Raz zamieniono barki między sobą. Druga barka płynęła teraz za holownikiem. Zmiana miała coś wspólnego z ładownością, ponieważ pociąg holowniczy zaczynał się huścić, kiedy najbardziej załadowana barka płynęła z tyłu.

Na Zalewie Greifswaldzkim nastąpiły turbulencje. Morze było niespokojne, pociąg holowniczy musiał rzucić kotwicę. Kilka osób wykorzystało to i przeszło na drugą barkę, aby porozmawiać ze znajomymi o swoich losach lub zabić czas.

Tam i z powrotem latały za kawalkadą mewy, znak, że znajdują się w pobliżu lądu. Barki wolno posuwały się do przodu, ponieważ były beznadziejnie przeładowane, a siła uciągu musiała walczyć z prądem.

Czwartego dnia podróży zbliżyli się do Ziegenort (Trzebieży), miejscowości położonej na południowym brzegu Stettiner Haff (Zalewu Szczecińskiego). Gisela wskazała podekscytowana na ląd i wyjaśniała kobiecie z Hinterpommern (Pomorza Tylnego):

„Tam z tyłu jest plaża trzebieska. Często jeździliśmy tam rowerami, ponieważ kąpiel w Zalewie była szczególnie przyjemnym doznaniem. Fale biły o brzeg, nierzadko z białymi koronami z piany. Na białym piasku mogliśmy się wylegiwać. W plażowej muszli grała w weekend kapela. Podziwialiśmy pary tańczących, które przyjeżdżały nawet ze Stettin i były bardziej elegancko ubrane niż my.“ Policzki Giseli płonęły. Wskazała na wyspę, która leży przed portem Ziegenort (Trzebież). „A tam jest Leitholm (Chelminek). Kiedy poprawiono kanał portowy ze Stettin do Swinemünde

(ze Szczecina do Świnoujścia), sztucznie nadsypano tę wyspę. Prawie nie do wiary, ponieważ teraz wyspa jest zazieleniona, rosną na niej drzewa, a światło nawigacyjne daje statkom poczucie bezpieczeństwa. Wkrótce skręcimy do Papenwasser (Roztoki Odrzańskiej). Prąd Odry rozszerzył się przez dopływ Iny i Aalbach (Gunicy). Wcześniej Papenwasser (Roztokę Odrzańską) określano jako Pfaffenwasser. Nazwa kojarzy się trochę z mnichami klasztoru w Jasenitz (Jasienicy), którzy otrzymali przyręczone prawo do łowienia ryb w tym akwenie.“

Oczy jasieniczan rozbłysły. Znajdowali się w pełnym oczekiwania pobudzeniu. Widoczny teraz ląd należał już do ich małej ojczyzny. Jeszcze tylko kawałek przez Papenwasser (Roztokę Odrzańską), kilkaset metrów Aalbach (Gunicą) i cel jasieniczan byłby osiągnięty. Serca były daleko, jak gdyby wszyscy wracali z podróży dookoła świata do domu. Czy wróciło już dużo mieszkańców wsi? Kogo spotkamy w domu? Już widzieli wieżę kościoła w Jasenitz (Jasienicy).

Udało się! Udało się!

Nagle do uszu pasażerów pierwszej barki dotarł nieznany hałas. To było szuranie, szuranie, które paraliżowało. Ludzie oniemieli. - Wpłynęliśmy na mieliznę? - bojaźliwie pytała siebie Ella Seeger. Hałas pozwolił im uwierzyć, że wpłynęli na dno zbiornika wodnego. Ogłuszający wystrzał przerwał ciszę. Z oczami wielkimi ze strachu ludzie na pierwszej barce przypinali się do siebie i trzymali, widzieli w miejscu następnej barki potężną fontannę wody. Wyrzuciła ona kawałki drewna, części metalowe, strzępy materiału, pakunki i części ciał ludzkich w niebo. Jednocześnie fala uderzeniowa zrzuciła wiele osób, które znajdowały się na nadbudówce pierwszej barki, na ludzi siedzących pod nimi. Panika opanowała wszystkich. Strach malował się na twarzach.

Hugo, który siedział przy sterze, został zraniony w łokieć oderwaną damską nogą, wyrzucaną w powietrze. Gisela chwyciła się zupełnie obcych ludzi. Gerda Nackert wrzeszczała z przerażenia, ponieważ chciała się czegoś złapać i chwyciła się oderwanego, jeszcze ciepłego ciała. Jakaś kobieta modliła się niewzruszona: „Dobry Boże, spraw, aby kielich nas ominął, zmiłuj się nad nami! Dobry Boże, pomóż nam!“

Tylna część pierwszej barki była głęboko zanurzona, dziób wystawał w niebo. Następnie barką wstrząsnęło drugie szarpnięcie i ponownie krzyk przeszedł przez tłum. Barka wróciła teraz do normalnej pozycji. Pan Gaede wyjaśnił to. Powiedział, że lina, którą były związane obie barki, zerwała się, kiedy najechano na mieliznę. Dno pierwszej barki było wykonane z drewna, a drugiej z metalu i magnetycznie przyciągnęło mieliznę, która eksplodowała przy przejeździe.

Dookoła w wodzie pływały części rozerwanej barki i resztki dobytku uchodźców, których ciała były porozrywane i unosiły się w wodzie. Głośne zawodzenie matek, które pozwoliły dzieciom płynąć na tylnej barce. Szerzyła się panika.

Ursel z Odermünde (Skolwina) była przerażona, kiedy dwa rozkawałkowane ciała kobiece uderzyły w tylny pokład pierwszej barki. Jej ojciec i inny pasażer wrzucili martwe ciała z powrotem do wody.

Inga, szczecinianka, znalazła się pośród wielu ludzi w grodziach pierwszej barki. Dwie grodzie miały tylko jedną drabinę, którą wymieniono do wychodzenia na pokład. W czasie detonacji, która wszystkich gwałtownie rozrzuciła, drabina znalazła się w sąsiedniej grodzi. Siedemnaście Inga, wysportowana, uczepliła się jej i zobaczyła obraz rozpaczliwy: wielki okrąg, na jego peryferiach złom na złomie i dwie ocalałe grodzie drugiej barki. Między nimi unosili się ludzie i fragmenty ciał. Wszyscy potwornie się bali.

Dla dwunastoletniego Hansa-Güntera nieszczęście przybrało inny obrót. Chłopak schronił się z ciotką na drugiej barce. Przednia część statku została wysadzona przez eksplozję, tylna

część, w której się znajdował, utrzymywała się jeszcze przez chwilę na wodzie. Ciotka, która w chwili eksplozji przebywała z przodu, zginęła, a on ocalał.

Anneliese i jej przyjaciółka, które znalazły schronienie na pechowej barce, miały miejsce w części kajutowej. Było to dla nich najbardziej komfortowe miejsce. Eksplozja wyniosła tę część, która wylądowała w wodzie i ponownie podskoczyła. Dzięki żelaznej ścianie, która znajdowała się za częścią kajutową. Bez tej ściany dziewczyny zostałyby całkowicie rozerwane przez falę uderzeniową. Przyjaciółka Anneliese tak przedstawia to zdarzenie:

„Na naszej barce, która płynęła za holownikiem na drugim miejscu, przebywało 830 osób. Było to w moje 25 urodziny, 24 maja 1945. Padał deszcz. Płynęliśmy już od czterech dni. Anneliese, moja nowa koleżanka i ja wiernie trzymałyśmy się razem. Przesiadwałyśmy we dwie za dnia i w nocy pod gołym niebem. Czasami rozciągałyśmy nad nami koc. Miejsca we wnętrzu barki były przeznaczone dla kobiet i dzieci. Detonacja zaskoczyła nas koło Ziegenort (Trzebieży), krótko przed dotarciem do linii żeglugi Stettin-Swinemünde. Nasza barka rozpadła się na tysiąc części. Dziób, na którym siedziałyśmy, zatonął. Myślałam tak: Teraz nie dotrzemy z powrotem do domu, mam nadzieję, że pod wodą umiera się szybko. Kiedy czubek wraku ponownie uniósł się nad wodę, siedziałam jeszcze w tym samym miejscu. Miejsce obok mnie było puste. Później Anneliese pomachała mi z holownika. Uchwyciła się jakiegoś bala i uratowała się. Tego dnia, 24 maja 1945 roku, dostałam w prezencie życie po raz drugi. Powoli wschodziło słońce nad masowym mokrym grobem.“

Jakaś kobieta też trzymała się żelaznej ściany. Naprzeciwko niej znajdowała się jej matka, trzymająca na ramieniu dziecko innej młodej kobiety. Matka zginęła, dziecko żyło.

Młoda kobieta Edith, ewakuowana ze Stettin do Köslin (Koszalina) i uciekająca przed Rosjanami, wylądowała w Zingst. Najpierw wzbierała się, aby na rozkaz nr 1 wrócić ponownie do swojego rodzinnego miasta. Chciała się dostać do rodziców, którzy zatrzymali się w Schwerinie. Ponieważ nie zwykła była przeciwstawiać się władzy, nie miała wyboru, jak tylko w ten dzień Zielonych Świąt powierzyć się z pięciorgiem dzieci kawalkadzie holownika.

Pechowego dnia młoda pani Edith przebywała w pomieszczeniu sanitarnym, kiedy jej jedenaastoletni syn opalał się na pokrywie luku, a piętnastoletnia córka stała w nadbudówce kuchni, gdy kadłub barki rozpękl się w ogłuszającej eksplozji. Nadbudówki zostały wysadzone, przez co Edith i jej starsze dzieci miały możliwość się uratować. Ciała trojga młodszych dzieci, które znajdowały się na dolnym pokładzie, zostały rozerwane, jak ciała wielu innych ludzi. Podczas gdy większe dzieci uratowano, Edith walczyła o życie. Wir wytworzony przez tonącą barkę wciągał ją w dół. Myślała o dzieciach, nie złapała powietrza, myślała, że rozerwie jej płuca i z utęsknieniem wyczekiwała szybkiego końca. Ale wynurzyła się ponownie w lodowatej wodzie pomiędzy wieloma częściami wraku. Przypięła się do jakiejś belki i w końcu na pokład wyciągnęła ją żona maszynisty holownika. Tam straciła przytomność.

29-letnia siostra Czerwonego Krzyża Margarete z Sydowsaue znajdowała się na małym statku, przypiętym na trzecim miejscu w pociągu holowniczym. Po eksplozji także ten statek oddzielił się od tonącej części głównej. Liny były zerwane. Wszyscy krzyczeli, bo sądzili, że ich statek też zatonie. Margarete upadła na pokład, aby zobaczyć, co się stało. Ocaleni przypinali się do części wraku, wokół pływały zwłoki. Potworny widok! Jakaś kobieta, którą wyciągnięto z wody, wołała swoje dzieci. Pierwsza barka oddaliła się teraz znacznie od miejsca zajścia. Wszyscy strasznie się bali, ponieważ bezradnie dryfowali po wodzie.

Ludzie na pierwszej barce byli jak oniemiały, kiedy po godzinach mogli wreszcie kontynuować podróż. Barka nie mogła skręcić z Papenwasser (Roztoki Odrzańskie) na Aalbach (Guni-

cę), aby wysadzić mieszkańców Jasenitz (Jasienicy) w ich miejscowości. Odmówiło im sowieckie wojsko. Mogli zejść na ląd dopiero w Pölitz (Policach) po spędzeniu na pokładzie jeszcze jednej nocy. W tym czasie ponownie przstraszyły ich eksplozje min. Detonacje spowodowały krowy, które weszły na miny.

W końcu nadeszła chwila, kiedy również Ella mogła zejść z pokładu w Pölitz (Policach). Była dziwnie poruszona, gdy żołnierze Armii Czerwonej zdjęli czapki, aby w ten sposób wyrazić współczucie. Inni przebiegali obok, prawie nie zauważali otoczenia i tych gestów. Wszyscy pchali się wyłącznie do domu! Małymi grupami ludzie udawali się powozami i innymi pojazdami do rodzinnych miejscowości. Wcześniej musieli pokonać kilometrową drogę na grobli przez łąki.

Co stało się z innymi, którzy przeżyli eksplozję min?

Kiedy Inga poczuła grunt pod stopami na szczecińskich Hakenterrasse (Wałach Chrobrego), przysięgła sobie, że nigdy więcej nie wejdzie na statek. Jednak w marcu 1946, w związku z wypędzeniem niemieckiej ludności, musiała jednak ponownie opuścić Szczecin (Stettin) statkiem. Port w Świnoujściu (Swinemünde) przedstawiał obraz nędzy i rozpacz, widok totalnego zniszczenia. Wraki statków były wypalone i leżały stępką do góry. Podróż przebiegała prawie do wysokości Bornholmu, więc kiedy w nocy ujrzała światła Warnemünde, odczuła ulgę.

Cały bagaż Anneliese i jej przyjaciółki został zniszczony w wyniku eksplozji. Po przybyciu do Stettin nie miały nic poza własnym życiem. Ale czy to nie jest nieskończenie dużo? Anneliese przedostała się ze Stettin (Szczecina) do Labes (Łobza) i przeszła tam straszne rzeczy, aby potem znowu uciekać na zachód.

Młody Hans-Günter przebywał do października 1945 roku w Stettin u swojego ojca chrzestnego, który wraz z żoną też był na odrzańskiej barce i został wyratowany z wody. Pod koniec stycznia 1946 r. połączył się ponownie ze swoją rodziną żyjącą w Kiel (Kilonii).

Edith pozostała z dwójką ocalałych dzieci przez cztery tygodnie w szczecińskim szpitalu. Była całkowicie załamana nerwowo i musiała na nowo uczyć się chodzić. Potem oskarżała: „To był mord. Każdy wiedział, że Stettiner Haff (Zalew Szczeciński) celowo był zaminowany przez Royal Air Force. Moje dzieci po prostu „zniknęły”, nikt się tym nie zmartwił, żadna władza się tym nie zainteresowała.“

Zaminowanie Stettiner Haff miało ograniczyć możliwości manewrowe krążowników przeciwlotniczych i innych jednostek morskich Kriegsmarine. Wiele min magnetycznych, pływających i dennych unieszkodliwiono w następnych latach. Wraki niektórych statków, które także eksplodowały, leżały w Papenwasser (Roztoce Odrzańskiej) jeszcze w roku 1966.

Kilka dni po tym zdarzeniu z minami zwłoki i części ciał dryfowały z prądem Odry wzdłuż południowego wybrzeża Stettiner Haff na zachód. Niedaleko Klein Ziegenort (Mała Trzebież) pozostałości ciał ludzkich złapały się w sitowie. Matki zabraniały dzieciom oglądać te potworne widoki. Części zwłok zebrano na furgon. Ludzie, którzy musieli wykonać tę pracę, cierpieli chyba długi czas koszmary. Zwłoki pogrzebano na starym cmentarzu przy wzgórzu Schanzberg (Mała Trzebież).

Załącznik 11: Rozkaz nr 1 Komendanta Wojskowego Miasta Bergen

Załącznik 12: Odezwa administracji niemieckiej

Załącznik 13: Fragmenty listów

Załącznik 14: Zmiana ustalenia zachodniej granicy Polski

Załącznik 15: Tłumaczenie tzw. Traktatu Granicznego



Zalew Szczeciński, okolice Trzebieży, 24 VI 2006 r. Dawni mieszkańcy Jasenitz składają hołd pamięci rodaków, którzy zginęli w r. 1945 w wyniku wybuchu miny. Na górnym zdjęciu, z lewej - autorka książki.

Rozdział 4

Złudna cisza przed burzą

Niepewne życie w rosyjskiej Enklawie Police

Mieszkańcy Jasenitz opowiadają...

Gisela Heruth z d. Siebert (*1922 22002) - Kiel

Hugo Heruth (*1901 21993) - Kiel

Gisela i Hugo opuścili barkę i znajdowali się w drodze do domu, do swoich mieszkań w Pölitz i Jasenitz (Policach i Jasienicy). Od nieszczęśliwego wydarzenia z minami byli oboje jeszcze ogłuszeni. Uszkodzone ramię i przedramię Hugona bolały, a zraniona dusza Giseli nie mogła się uspokoić. Straszne obrazy nie dały się odsunąć. I to ma być pokój? - myślała. W ciszy pytała się, czy ci martwi ludzie, którzy byli unoszeni przez wodę, umarli śmiercią bohaterów? Miny mają przecież coś wspólnego z wojną. Czyż nie? Śmierć bohatera? Jednakże nie mogła sobie tego wyobrazić. Ich ciała nie wyglądały jak bohaterowie, raczej jak odpady. Dotychczas miała inne wyobrażenie o śmierci. Nie czuła się nagabywana przez codzienne nekrologi podczas wojny w codziennych gazetach. To dotyczyło tylko innych ludzi. Kiedy otrzymała wiadomość, że jej wielka miłość poległa na „polu chwały”, brzmiało to jeszcze czysto i godnie, ponieważ śmierć była tylko na papierze, nie widziała jej w rzeczywistości. Po strasznych przeżyciach ostatnich godzin mogła sobie wyobrazić brzydotę i okrucieństwo wojny w sposób bardziej konkretny.

Nierzeczywiste wydawały się jej także zaoczne zaślubiny po wiadomości o śmierci. Jej ukochany już nie żył. Kiedy została z nim zaręczona, państwo oferowało taką możliwość. Na miejscu pana młodego leżał stalowy hełm. O małżeństwie ksiądz przy ślubie kościelnym mówi... dopóki śmierć was nie rozłączy! Czyli to małżeństwo było już zakończone zanim zostało zawarte! Mój Boże, co to się ze wszystkim porobiło. Czy Gisela decyzją o formalnym zawarciu związku chciała przysłonić swoją wielką troskę? Gisela nie myślała jasno. Rozglądała się za Hugonem. Hugo był teraz człowiekiem, który ją chronił. Gisela chciała wprowadzić się ponownie do małego domku na skraju wsi Jasenitz (Jasienica), aby otrzymać go na własność dla rodziny. Jej matka Erna i siostra Lieselotte zostały jeszcze u ojca w Lubece, który przez wiele lat pływał we flocie handlowej przez wszystkie morza świata i którego, mimo zawirowań wojny, ponownie odnalazły. Serce Giseli zabiło szybciej, kiedy z daleka zobaczyła swój domek. Wydało jej się dziwne, że drzwi domu nie były zamknięte. Kiedy weszła i naprzeciwko niej wystąpił jakiś Rosjanin, zakrzyczała. Uspokoił ją i powiedział, że nie powinna się bać, że nic się jej nie stanie. Miał żonę z Litwy u siebie. Mieszkali w pokoju w domku Giseli. Aby Gisela nie umarła ze strachu, wprowadził się do niej kuzyn Erhard. Później pracowała w ogrodnictwie Quade.

Hugo poszedł do swojego mieszkania, które znajdowało się na nowo wybudowanym osiedlu w Pölitz (Policach). Był przez wiele lat zatrudniony w fabryce benzyny syntetycznej jako inżynier, znał jej strukturę i produkcję.

Ella Seeger

Skręciła w Langestraße. Jej dom na szczęście nie był zniszczony. Meble stały nienaruszone pod grubą warstwą kurzu. W piwnicy jednakże odkryła, że wiele butelek palonego spirytusu leżało pustych na podłodze. „Rosjanie wypili” - powiedział sąsiad. Wzięła się za rozbieranie kopców drewna, pod którymi były ukryte w skrzynkach i koszach ubrania, bielizna i łóżka. To był kawał dobrej roboty! Pomagała jej przy tym przyjaciółka. Obie cieszyły się ze skarbów, ponieważ były przekonane, że nigdy nie będą mogły sobie kupić niczego nowego, dopóki będą żyły. Na początku były jeszcze własne zapasy, jak np.: marynaty czy przeczimowane kartofle. Teraz musiały przemyśleć, skąd mają wziąć artykuły spożywcze. Głód był wszechobecny. W dalszym ciągu sprawa żywności stała się zasadniczą kwestią przeżycia.

Jesień – czas żniw. Więc Ella z innymi kobietami poszła na obce pole przy wzgórzu Sandberg, aby zorganizować coś jadalnego. W normalnych czasach nazywano by to kradzieżą. Jednak co tu nazywa się „normalne”? Wojna wprowadziła się skończyła, ale pokój był jeszcze daleko, daleko stąd.

W czasie tych żniw „kartoflanych” przypomniała jej się nawet przypowieść z Biblii o ludziach, którzy nie sieją, a zbierają. Wdzięczność wypełniła ją względem tych, którzy wiosną przed opuszczeniem swej ojczyzny, obsiali swoje pola, zakładając, że ich ucieczka będzie trwała tylko kilka dni.

Z gracami, koszami i workami stały teraz na obcym polu. Każda z kobiet kopała jeden rząd kartofli, jednakże pozostawały w grupie. Rozmawiały między sobą, ale trwały przy swoich własnych myślach. Znowu pojawiały się troski o bliskich. Wspomnienie o ich ukochanych zawierało także szczęśliwe momenty, z których czerpały siłę i nadzieję. Gdyby tylko ta niepewność nie przesłaniała przyszłego życia. Tak długo jak na polach było jeszcze coś do zebrania, kobiety ciągle na nich przebywały.

Nad okolicą powiał zimny wiatr. Był 22 października 1945 r. Brudne fartuchy z worków chroniły ich żalose odzienie i chroniły je przed chłodem z ziemi, kiedy na kolanach pełzały po gruncie. Myśli Elli znowu podążyły do jej syna. Gdzie tkwił Arno? Chory, w obozie jenieckim, czy może... - nie tego najstraszniejszego nie chciała sobie nawet wyobrażać. Ona sama musiała opuścić miejscowość z ostatnimi mieszkańcami Jasenitz (Jasienicy), błędziła dalej na zachód i nie mogła nigdzie pozostać. Władze wysłały ją ponownie do domu. Przeżyła okrutny rejs śmierci pociągiem holowniczym wzdłuż południowego brzegu Stettiner Haff (Zalewu Szczecińskiego). Jeszcze ciągle przychodziły jej na myśl pływające części zwłok.

Ella musiała ponownie mocniej zawiązać chustkę na głowie podwiewaną przez wiatr. Przy tym wyprostowała się i mogła rozciągnąć swój krzyż. Bolały ją plecy. Strzępy chmur szybowwały po niebie. Od czasu do czasu można było ujrzeć też słońce.

„Popatrz, ktoś idzie do nas” - zawołała sąsiadka. Zaciekawione kobiety patrzyły na zbliżającą się z trudem postać. Można było rozpoznać, że postać szła do nich. Nieporozumienie. Kto to może być? Czego ten ktoś może chcieć od nas? Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ella wzięła swojego Arno w ramiona. Tego zdarzenia nie zapomną oboje do końca życia i zaliczają do najszczęśliwszych momentów. Wezbrało w niej głębokie uczucie wdzięczności. Wszystkie życzenia stały się nagle małe i nieistotne. Teraz nic nie może się nam stać, obojętnie czego czasy będą od nas wymagać. Wspólnie przetrwamy wszystko! O tym byli oboje przekonani. Serce Arno podskoczyło. Na wsze czasy chciał chronić matkę.

Następne dni wypełnione były długimi rozmowami. Każdy przeżył tak wiele w tych tygodniach rozłąki, że całe generacje przed nimi w całym swoim życiu tyle nie przeszły.

Mając szesnaście lat, Arno jako uczestnik wojny na Pomorzu Tylnym, dostał się do rosyjskiej niewoli. Ponieważ był chory, został z powrotem wysłany przez rosyjską lekarkę do matki. Ze współczucia? Kto to wie. Po długim marszu był z powrotem w domu w Jasenitz (Jasienicy) u swojej matki. Także ona przeszła piekło przy eksplozji barki.

Arno Seeger (*1928) - Bautzen

Arno opowiada:

„Kiedy zatrzymałem się na kilka dni po moim powrocie do domu przy Langestraße, dwaj czerwoarmieści i jedna dziewczyna stali przed drzwiami. Zażądali, żebym zameldował się u burmistrza. Czerwoarmieści zapytali mnie o dokument. Pokazałem im zaświadczenie, które otrzymałem przy zwolnieniu. Był po rosyjsku, niemiecku i po polsku. Zaświadczenie przedłożyłem komendantowi. Niestety, nigdy więcej nie zobaczyłem mojego dokumentu. Kobieta, która im towarzyszyła, zapytała: „Nie poznajesz mnie? Jestem Inge Zühlke, mój ojciec jest tutaj burmistrzem”. Miał on swoją siedzibę w domu rodziny Jahnke przy Pölitzerstraße (ul. Jasienickiej).

Miałem zameldować się następnego dnia w tartaku młyna Steffena. W tym tartaku cięto deski, które służyły do pakowania poszczególnych części zburzonej fabryki benzyny. Pan Guse i pan Steffen byli odpowiedzialni za przeprowadzenie robót. P.K. Steffena jako właściciela młyna i tartaku można było częściej zobaczyć w zakładzie.

Moim pierwszym zadaniem było przesuwanie podłużnych desek przez trak. Tu często zdarzały się awarie. Tam poznałem wykwalifikowanego mechanika Juppa Isendorfa, który wcześniej był zatrudniany przy budowie silników samolotowych. Od niego nauczyłem się wielu technicznych szczegółów, przede wszystkim odnośnie naprawy traka oraz utrzymania i konserwacji maszyny parowej.

Pewnego dnia usłyszałem, jak pan Willi D., który mieszkał w naszym domu, powiedział do jednego Rosjanina, że w pewnym domu jest jeszcze bydło do uboju. To, że sam miał zwierzęta, przemilczał. Kiedy ponownie w tartaku przydzielano mięso, jeden z robotników zauważył: „No Willi, tobie będzie szczególnie smakowało!” Inni pracownicy złośliwie się zaśmiali. Nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Kiedy przyszedłem do domu, moja matka powiedziała: „No, tu to się działo! Pan Willi D. zażęknął za dwiema owcami i świnia, które dzisiaj w nocy mu ukradziono. Zostawili mu tylko dwa kurczaki”. Jest takie przysłowicie: „Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada”. Tutaj się to potwierdziło.

Od tego czasu otrzymywaliśmy mięso jedynie poprzez rosyjski magazyn armii. Nie było żadnych racji specjalnych.

Pewnego razu matka powiedziała do mnie: „Jeśli chcesz rozpalić ogień, pod szafką kuchenną leżą zapalniki”. Obejrzałem to sobie i pomyślałem: chyba dobrze nie widzę! To były 50 cm długości laski o średnicy długopisu, ale w środku były puste i miały żółtawy kolor. Były to lonty granatów dział przeciwlotniczych. „Mamo, skąd masz te rzeczy?” „Dzieci mi przyniosły, ale jak one na to trafiły, nie wiem”. Wyniosłem natychmiast tę wybuchową rzecz i spaliłem wszystko za stodołą. „Człowieku, mamo, gdyby spadła na to jedna iskra, cały dom by się zapalił”. „Co ty nie powiesz, żółtodziobie? Ale dobrze, że to zauważyłeś i zareagowałeś”.

Od świąt Bożego Narodzenia 1945 roku organizowaliśmy sobie prawie co tydzień potańcówki, raz w sąsiedniej miejscowości Pölitz (Police), raz w Königsfelde (Niekończycy), a nawet w Ziegenort (Trzebieży). Naturalnie także w naszej wsi. Miejscowości te były zamieszkiwane w dalszym ciągu przez Niemców. W tych niepewnych czasach, starsze osoby ukryły się w swych domach. Ukrywali się, karłowacieli, chcieli, aby nikt ich nie widział. My, młodzi ludzie,

szukaliśmy zrównoważenia z przeżywanym właśnie schyłkiem świata. Wojna była poza nami. Chcieliśmy zapomnieć! Teraz chcieliśmy w końcu wydostać się z tej ciasnoty i niepewności.

Braliśmy to, co naszym zdaniem nam się należało. Szukaliśmy towarzystwa, muzyki, tańca, przygody. Mieliśmy ciągoty do życia towarzyskiego, pochłonęła nas gorączka taneczna.

Kapela składała się z naszego pianisty Conni Rose, Protz grał na akordeonie, a ja wycinałem na moich skrzypcach. Abyśmy lepiej mogli widzieć nasze nuty, goście przynosili świeczki łożowe, a nawet lampy naftowe.

W sobotę imprezy zaczynały się około 17. Wspólnie maszerowaliśmy stamtąd około drugiej, trzeciej nad ranem pieszo do domu. W niedzielę tańce zaczynały się z reguły już o godzinie 14 i kończyły koło północy. Ponieważ zawsze braliśmy ze sobą nasze matki, pierwszy taniec należał zawsze do mojej mamy i był to walc. To była przyjemność tańczyć z nią walca kręcąc się w lewo.

W czasie długiej drogi do domu, dla naszego bezpieczeństwa, szedł z nami zawsze czerwonoarmista Mitka. Był uzbrojony i chronił nas przed napaścią.

Na ostatki karnawału udaliśmy się na bal maskowy w Königsfelde (Niekłończycy). Bawiliśmy się dobrze w naszych kolorowych przebraniach. Ludzie mieli bardzo dziwne pomysły. Gdyby nie siedziało koło nas kilku uzbrojonych czerwonoarmistów, byłoby prawie jak dawniej. Moja mama dała mi czapkę kucharską, chochlę i łyżkę wazową, ponieważ była kucharką u Steffenów i miałem przewieszoną przez zgięte ramię białą serwetkę. Hans Hayden przyszedł jako ślusarz. Miał na sobie kombinezon ślusarza, do tego czapkę narciarską. Jego kostium uzupełniały wygięte z drutu klucze, szczypce i inne narzędzia.

Kiedy się wyszumialiśmy, udawaliśmy się w długą drogę do domu. Droga wokół rosyjskiej komendantury w Duchow, była zawsze zagrodzona z przyczyn bezpieczeństwa. Dlatego zawsze musieliśmy chodzić przez cmentarz w Duchow.

Dotarłem do mego mieszkania i Hans przyprowadził do domu jeszcze dwie dziewczyny, które nadal mieszkały w wolno stojącym domu. Była sobota. W niedzielę matka obudziła mnie: „Hej, pan Heyden jest tutaj. Hans nie wrócił do domu”. „To niemożliwe, byliśmy o północy w domu i pożegnałem się z Hansem. Towarzyszyły mu dwie dziewczyny”. Pan Heyden był w tym czasie policjantem. Był w drodze do rosyjskiej komendantury, aby zgłosić nieobecność swojego syna. Kiedy tam wszedł został przyjęty z wielkim poruszeniem. Rosjanie opowiadali jeden przez drugiego: „Złapaliśmy wielkiego złodzieja. W końcu go mamy. To jest Niemiec i nazywa się Gans”. I wtedy rozjaśniło się panu Heydenowi w głowie. Za pralnią w komendanturze urządzone karcer. Kiedy Rosjanie otworzyli drzwi, mógł tam powitać syna.

Osobliwe było w tym, że Hans otrzymał od dziewczyn z Jux maskę na twarz, zanim one pożegnały go koło domu. Przez to wyglądał rzeczywiście jak włamywacz. Później często się z tego śmialiśmy, jak „Gans” został aresztowany jako bandyta. (W języku rosyjskim nie ma dźwięku H. W tłumaczeniach z niemieckiego na rosyjski w rzeczownikach H zastępuje się przez G. W ten sposób Hans został „Gans” - gęsią.)

Jakoś w marcu 1946 roku przydzielono mnie do brygady pracującej w lesie. Tu musieliśmy ścinać drzewa. Moim pierwszym szefem był pan Neumann. Miałem przy sobie narzędzia ojca, bardzo dobrą piłę poprzeczną. Ścięliśmy siedem drzew, odcieśliśmy im gałęzie i pocięliśmy na kawałki od sześciu do ośmiu metrów. Po takiej obróbce drzew rozwinął się między nami następujący dialog:

- Jeśli chcecie możemy zrobić teraz przerwę.
- Och, według mnie pracujmy dalej.
- Możesz do mnie spokojnie mówić “na ty”.

Tym samym zdałem mój egzamin, przetrwałem próbę i stałem się uznanym pracownikiem w brygadzie. Do tej grupy roboczej należały cztery zaprzęgi po dwa konie. Ciągnęły długie pnie drzew aż do kolei wąskotorowej.

Pewnego dnia pan Dorn, maszynista, zniknął. Szef tartaku zapytał mnie, czy przejmę jego pracę. Oczywiście, to było dziecięce marzenie każdego chłopca. Kiedy mieliśmy zaczynać o siódmej, musiałem już o piątej nagrzać lokomotywę. Pracę tę wykonywałem do września 1946, kiedy to zawieszona została kolej wąskotorowa między tartakiem a lasem. Dla naszej ochrony towarzyszyli nam zawsze czerwoarmięści uzbrojeni w pistolety maszynowe. Od czasu do czasu pojawiali się także polscy żołnierze lub cudzoziemscy robotnicy, którzy pracowali kiedyś w Niemczech, a nawet zwykli Polacy, którzy chcieli ukraść nasze konie. My, robotnicy, mogliśmy się swobodnie poruszać w lesie, czasami zbieraliśmy grzyby, które były tam w potężnych ilościach.

Czasami Rosjanie byli także agresywni. Pewnego razu jeden czerwoarmista strzelał do nas, ale nie trafił. Prawdopodobnie celował tylko w powietrze.

Pewnej pięknej niedzieli powiedziałem do Mitki: „Chcę raz przejść przez granicę do strefy wschodniej. Mamy tam wiele rzeczy, które chciałbym przywieźć do mojej ciotki do Berlina”. Hans Heyden przeprowadził nas tajnymi ścieżkami. On był naszym przemytnikiem. Kilku chłopów z Jasenitz (Jasienicy) chciało przywieźć swój dobytek zaprzęgami i przeprowadzić bydło przez granicę. Na ich wozy zapakowaliśmy także bagaże. Od Jasenitz (Jasienicy) szliśmy najpierw w kierunku leśnictwa, przy rozwidleniu potem w lewo, widzieliśmy domy z Hardemoor (Gubic). Tam dotarliśmy do lasu i po godzinnym przejściu w końcu wylądowaliśmy w Pampow.

Ten rejon, przejście z Polski do strefy wschodniej było bardzo niebezpieczne. Stali tam uzbrojeni polscy pogranicznicy, cywile, a także robotnicy ze wschodu, którzy napadali i okradali zaprzęgi. Zanim się rozdzieliliśmy, uzgodniliśmy, że spotkamy się tu za dziesięć dni. Wszyscy także punktualnie się zwołali, brak było tylko przemytnika. To oznaczało, że go pojmano. Staliśmy tam bezradni. Jak w takim razie dojdziemy z powrotem do Jasenitz (Jasienicy)?

Wtedy powiedziałem: „Wiecie co? Chodziłem tędy. Ponieważ znam ten odcinek, poprowadzę was z powrotem tymi ścieżkami”. Dla porządku ustaliłem jeszcze kilka reguł.

„Idę jakieś osiemdziesiąt metrów przed wami. Jeżeli zdarzy się coś szczególnego, dam wam znak poprzez wyciągnięcie ręki, o ile będzie to możliwe w ciemności”.

Był ciepły wieczór, milcząc dotarliśmy do Jasenitz (Jasienicy). Kiedy wyszliśmy z lasu Mitka czekał na nas i pozdrowił nas. Powiedział do mnie: „Cieszę się. Powiedziałem komendantowi, że wrócisz. Drewno, które wcześniej docinałeś, wystarczyło na cały ten czas. Czekałem”. Jego twarz promieniała z radości.

W miesiącach letnich, kiedy w miejscowości nie było żadnego lekarza, pewnego dnia przyjechał do mojej matki pan Melzer. Przypadkowo byłem także w domu, ponieważ jeździliśmy do lasu nieregularnie na wycinki. Powiedział do mojej matki: „Pani pomagała kiedyś w gabinecie lekarskim u dr. Meylana. Proszę się temu jeszcze raz przyjrzeć. Przy czym rozpiął koszulę i pokazał tors. „Przy pracy w tartaku Steffena skaleczyłem się przy heblowaniu pni o kawałek blachy, która służy do zdejmowania żywicy. Nie mogę podnosić ramienia”. Na jego piersi utworzyła się narośl w wielu kolorach. Moja matka naostrzyła nóż kuchenny, wygotowała go i odcięła narośl. Natychmiast wyskoczyła z tego wyrostka żółta ropa, a my dziwiliśmy się nad wyraz. Od Mitki otrzymaliśmy paczuski z bandażami i zatamowaliśmy tym ranę. Następnego ranka pan Melzer ponownie pojawił się u mojej matki. Wylewnie dziękował słowami: „Pani Seeger, wierzę, że uratowała mi pani życie. Na nowo mogę poruszać ręką. Dziękuję serdecznie”. W krótkim czasie rana pana Melzera zagoiła się, została tylko jakaś nierówność na skórze.

Latem 1946 roku zagadnął mnie pewien chłop z Hardemoorstraße: „Arno, chcemy dzisiaj w nocy przejść przez granicę z naszym bydłem do strefy wschodniej. Nasza suka Asta jest przyzwyczajona biegać i szczeekać za krowami. Przez to by nas zdradziła. Stracilibyśmy bydło i na dodatek dobytek. Czy zajmiesz się naszym psem?” Z powodu mojej młodzieńczej lekkomyślności zgodziłem się na to.

Następnego dnia, razem z Juppem przyproawdziłem psa pasterskiego. Kiedy weszliśmy na podwórko, Asta zaszczekała na nas dziko i skryła się w swojej budzie. Chciałem ją chwycić i wyciągnąć. Warczała na nas, ale nie gryzła. Staliśmy tam bezradnie. Zamknęliśmy wejście do budy i zerwaliśmy dach. Jupp i ja owinęliśmy sobie worek na ręce, złapaliśmy Astę za obrozę i wyciągnęliśmy ją. Przy mocowaniu smyczy suka gryzła na oslep, ale nas nie zraniła. Położyła się i nie chciała zrobić ani kroku. Przełamałem jej protest dobrotliwie do niej przemawiając. Wtedy wziąłem ją na ręce i wyniosłem z podwórka. Po pięciuset metrach zaczęła się szarpać. Wpuściłem ją na ziemię. Załatwiła swoją potrzebę, zwróciła głowę w bok i spojrzała pytająco, jakby chciała powiedzieć: „Nie weźmiesz mnie?”. To wierne psie spojrzenie przeszło mnie i dotarło do serca. Odczułem głębokie uczucie do tego bezbronnoego psa i dałem jej kawał chleba od matki. Polizała moją rękę. W ten sposób zawarliśmy przyjaźń. Nawet kiedy nas przesiedlono, zabraliśmy Astę na wóz.

W czasie, w którym nie rąbałem regularnie drzewa, zostałem wezwany razem z panem Isendorf do kapitana. Ten powiedział do nas: „Rozmawiałem z Polakami, którzy powiedzieli mi, że elektrownia znowu będzie zasilac sieć prądem. Umie się pan obchodzić z urządzeniami technicznymi. Czy nie mógłby się pan postarać o to, żebyśmy też mieli prąd w Jasienicy?” Nie mieliśmy żadnego schematu ideowego. Po prostu próbowaliśmy. U Telzerowa naprzeciwko stawu Steffena, znajdowała się skrzynka z bezpiecznikami u góry na maszcie. Jupp wszedł tam ze słupolazem i znalazł tylko zepsute bezpieczniki. Zmostkowaliśmy te uszkodzenia drutem. Wtedy przyszli pierwsi chłopci, którzy do nas radośnie zawołali: „Mamy prąd. Możemy znowu zapuścić nasze młockarnie.” Za pracę zostaliśmy wynagrodzeni chlebem i solą w restauracji w Duchow (Duchowie).”

O tym samym czasie, o którym opowiadali Gisela, Ella i Arno, mówiła także **Christel**:

„W końcu staliśmy znowu na naszej Fischerstraße (ul. Rybackiej). Moje serce kołatało głośno na widok naszego domu. Nie był jeszcze zniszczony, nie był zniszczony od zewnątrz. W budynku rozposcierały się liczne, otoczone rojami much, kopce fekaliów o paskudnym zapachu. Jedynie przy bardzo wielkim wysiłku przezwyciężyliśmy wymioty i otworzyliśmy okna. Matka wrzuciła szuflę zanieczyszczenia do wiadra i wylała nieczystości do leja po bombie w ogrodzie. Byliśmy pełni chęci do pracy, wyczyściliśmy kuchnię i jedną izbę. W domu były tylko duże meble, których nie dało się wziąć pod pachę i wyciągnąć, jak to się stało z niektórymi innymi przedmiotami użytkowymi.

Kiedy już przekształciliśmy naszym wysiłkiem tę „gnojownię” z powrotem w dom do zamieszkania, siedziałam z matką w ogrodzie. Zatopiłyśmy się w myślach nad Aalbach (Gunicą). Otoczył nas wewnętrzny spokój. Matka trzymała rękę w wodzie, poruszała nią w tę i z powrotem, tak jakby chciała pogłaskać wodę. Oświetlona słońcem, zamyślona spoglądała na wodę, która przepływała powoli wokół naszej działki. Kiedy minął czas uciekania, nasz dom wydał się nam rajem. Minęły tygodnie burzliwego życia. Matka patrzyła na rzekę zamyślona i powiedziała: „Niepozorny mały potok, znowu tu jesteśmy, tobie czas nie może nic zrobić. Zawsze należałeś do tego krajobrazu i do mojego życia” i zwróciła się do mnie: “Kiedy mieszkałam jeszcze w Hagen (Tatyni) u dziadków w gospodarstwie, znałam ten strumyk pod nazwą Hagensche Bek. Ze swoimi porośniętymi brzegami był czasem podobny do grobu.

Wcześniej został włączony do zwyczajów wielkanocnych, ponieważ jedynie woda płynąca na wschód posiadała dającą życie siłę. Jeszcze przed wschodem słońca trzeba było nabrać wody i w milczeniu zanieść do domu. Jeżeli myły się tym dziewczęta, gwarantowało im to piękno i zdrowie. Jeżeli nie potrafiły zachować milczenia po drodze do domu, to woda traciła swoje cudowne działanie i stawała się zwykłą szmerzącą wodą.”

Dalej w kierunku Jasenitz (Jasienicy) przez łąki ośmiu domostw Aalbach (Gunica) sprezentowała dzieciom niepowtarzalne przeżycia związane z naturą poprzez swoje romantyczne zato-ki. W płytkiej wodzie dzieci łatwiej przezwyciężały strach przed wodą. W czystej wodzie dzieci obserwowały ławice cierników. Ważki pokazywały się w zmiennych kolorach. Strumień żwawo pluskał przy olszynowych krzakach i łąkach, a kąpieliska były coraz głębsze. Zimą, na płaskich łąkach poniżej góry Hassena, kiedy potok wystąpił z brzegu i natura zastygła w lodzie, dzieci ze wsi władały złodzonymi przestrzeniami,. Z czerwonymi nosami ślizgały się, niczym ptaki, na swoich płozach i zachwycały się prędkością.

Aby przekroczyć strumień koleją, w roku 1900 zbudowano przez niego most. Pod nim płynęła woda. Ludzie od dawna wykorzystywali jego siłę. Został spiętrzony. W powstałym przez to stawie była nawet wyspa z domkiem dla łabędzi. Kolorowo upierzone kaczki nurkowały w wodzie. Przed młynem powstał kolejny staw. Kiedy pozostawało się na drodze, która przebiegała przez jaz, można było usłyszeć grzmiący huk i zobaczyć grzywy z piany, które tworzyły się ciągle na nowo w opadającej w dół wodzie. Tę siłę wody ludzie wykorzystywali już w średnio-wieczu. Prosty młyn istniał w Jasenitz (Jasienicy) już w czternastym wieku. W nim pracowali mnisi klasztoru.

Młyn Steffena został wybudowany przed pięćdziesięcioma pięcioma laty. Budowla z czerwonej cegły stała dumnie, wysoka na pięć pięter. Z młyna transportowano produkty młyńskie i ziarno drogą wodną, przepływając obok położonego naprzeciwko, po lewej stronie, pałacu. Tam Aalbach (Gunica) zataczał łuk i płynął kilkaset metrów dalej w kierunku północnym. Na tym odcinku leżał dom Marlowa, za nim uszeregowane obok siebie domki Fischerstraße (ul. Rybacka), które tworzyły wschodnią krawędź Jasenitz (Jasienicy). Ostatni przybytek wzdłuż biegu rzeki należał do Türken-Schmidta, na którego ziemi znajdowało się dawniej kąpielisko jasieni-ckie. Przypominamy sobie pomalowane smołą przebieralnie i wydzielone powierzchnie dla pływaków i osób nie pływających. Pływacy mogli udowodnić swoją umiejętność, skokiem z deski na wysokości jednego metra. Do skoku z trzymetrowej wieży potrzebna była jednakże już więk-sza porcja samozaparcia. Całe klasy ze szkoły hałasowały tu w wodzie, a odważni mogli się dosłużyć tutaj tytułu „samodzielnego pływaka”.

Za kąpieliskiem Aalbach (Gunica) był tak szeroki, że małe parowce wycieczkowe mogły zabierać pasażerów na pokład na północno-wschodnim łuku. Raz w roku parowiec „Najade” zapraszał dzieci ze szkoły w Jasenitz (Jasienicy) wraz z rodzinami i nauczycielami na ekscytują-cy rejs. Parowiec terkotał przez pachnące łąki i koło „Róży Wiatrów”, przez Papenwasser (Roz-tokę Odrzańską) do Stettiner Haff (Zalewu Szczecińskiego). Pożądanymi miejscami wycieczko-wymi były kąpieliska nadbałtyckie Swinemünde, Misdroy, Dievenow, Cammin (Świnoujście, Międzyzdroje, Dziwnów i Kamień Pomorski).

Christel:

„Powiedziałaś, że czas nic nie mógł zrobić naszemu Aalbach (Gunicy). Nie wiem, mamo, pomyśl o zielonych świątkach, o tej przepięknej niedzieli. Byliśmy w swobodnym nastroju, ale kiedy w południe bomby spadły na Jasenitz (Jasienicę) i w ciągu pół godziny zniszczono wiele domów w naszej miejscowości, ogarnęła nas panika. Bezpośrednio w naszej bliskości rozpadł

się także młyn Steffenowy, ziemia drżała, obrazy przerażenia wypaliły piętno w naszych duszach. We wzburzonej wodzie Aalbach (Gunicy), koło naszego ogrodu, przepływały worki ze zbożem i mąką. Oprócz nas, także inni mieszkańcy wyciągali te kosztowne środki spożywcze na ład. Dobrze wiedzieć, że nasz zapas mąki w ostatnich dniach wojny nie został odnaleziony ani przez niemieckich żołnierzy, ani przez czerwonoarmistów. Teraz może nam pomóc przetrwać ten czas” - powiedziała Christel pełna nadziei.

Następne dni relacjonowała tak: „Były to niespokojne czasy. Pogłoski niosły się od domu do domu, od ulicy do ulicy. To, co dziś niosło się z ust do ust, nazajutrz było dementowane. Powoli rozchodziła się wiadomość, że fabryka benzyny ma być rozebrana i przeniesiona do Związku Radzieckiego. Bzdura! Nikt nie mógł sobie tego wyobrazić! Ale zaraz potem Rosjanie wpadli jak plaga szarańczy. Zajęto nasz dom. Musieliśmy sobie szukać innego miejsca. Znaleźliśmy schronienie u moich teściów.

Ich dom też miał być oczyszczony, ale oni nie znali mojej teściowej. Na szczęście matki i moje głośno się przed tym broniła. I to z powodzeniem.

Naszego kota, którego znaleźliśmy wychudzonego i zabrudzonego na naszej teraz opuszczonej działce, wujek Fritz zaniósł, przed zakwaterowaniem się Rosjan, na drugą stronę Aalbach (Gunicy), gdzie mieszkał szkutnik. Drewniany most dla pieszych prowadzący przez Aalbach (Gunicę) był zniszczony po naszym powrocie. Mimo to nasz kot ciągle wracał do swojego starego otoczenia. Nic sobie nie robił z przezorności wujka Fritza. Wielokrotnie przepływał Aalbach (Gunicę). Dziwiliśmy się, ale dotąd nie wiedzieliśmy, że koty potrafią pływać.

Większość domów przy Breite StraÙe (ul. Szeroka, dziś Piastów), która jednocześnie była ulicą główną i przechodnią, została przejęta przez kwatrujących się Rosjan. Nosili oni wprawdzie uniformy Armii Czerwonej, teraz jednak bez oznaczeń stopni. W zwariowany sposób w poprzek ulicy postawiono płot. Niemcy nie mieli już prawa wchodzić do tej dzielnicy.

Bez różnicy! I tak rozpierzchliśmy się po naszych domach.

Aby otrzymać żywność, meldowaliśmy się w urzędzie gminy w celu uzyskania pracy. Ponieważ o tej porze roku trzeba było zebrać żyto, burmistrz Fritz Heyden przydzielił nas do pracy w polu za Hardemoor (Gubicami), w oddaleniu około trzech kilometrów od wsi. Zboże ścinano kosą. Matka i ja wiązałyśmy zboże w snopki, które potem były wystawiane do suszenia. Ziarno młócono po wyschnięciu na polu. Matka i ja wkładałyśmy snopki do skrzynki młockarni. To była trudna, pyłająca praca. Chociaż padałyśmy wieczorami ze zmęczenia, ciągnęłyśmy kilometrami do domu nasz drogocenny ładunek zboża, który pozostał nam jako zapłata za pracę.

Jedna kobieta, zwana przez wszystkich „Rudą Friedą”, pełniła funkcję dozorcey w czasie naszych prac. Przydzielała nam pracę i nadzorowała ją, szokując nas jednocześnie wulgarnymi wyrażeniami z półświatka. Z powodu jej beczelnego sposobu wystawiania się, każdy obchodził ją łukiem.

Po zakończeniu żniw przyznano mi nowe zadanie. Zostałam zatrudniona jako siostra Czerwonego Krzyża u doktora Meylana. Broniałam się przed tym gwałtownie. Jako stenotypistka z wykształcenia nie miałam przecież zielonego pojęcia o chorobach i czynnościach pielęgniarstkich. Poza tym bałam się dyfterytu, szkarlatyny i wszystkich możliwych chorób zakaźnych, które wtedy się szerzyły. Doktor zburzył wszelkie moje troski i powiedział, że damy sobie radę. Panna Thrömmmler, wówczas około 60-letnia i Lieselotte Quade już na dobre odnalazły się w pracy u doktora i wspierały go ofiarnie. Ponieważ jego dom również był zajęty przez Rosjan, z konieczności otworzył on swój gabinet u rodziny Hammer przy Frankenstraße. Jego praca trwała 24 godziny na dobę. Władza okupancka wspierała naszego lekarza jak się dało, z drugiej strony,

był to także Rosjanin, który zmusił go za białego dnia do oddania swojego płaszcza. Sowieci chcieli zabrać lekarza do Związku Radzieckiego ze względu na jego dobrą pracę, ale on wołał po kryjomu opuścić Jasenitz (Jasienicę).

Ciągle potrzebny był lekarz, ponieważ stale ktoś pukał do drzwi gabinetu i z konieczności musiałam się postarać o pomoc. Skąd jednakże mieliśmy wziąć lekarza, skoro nie było żadnego w okolicy? Następny mieszkał osiem kilometrów dalej w Ziegenort (Trzebieży). Jak się nazywał? Nie pamiętam!

W Pölitz (Policach), w domu Karmesinów, osiedlił się lekarz z Odermünde (Skolwina), doktor Lübke. Urządził sobie kilka pomieszczeń dla ciężko chorych na pierwszym piętrze.

Płaczące dziecko uchodźców zaprowadziło mnie do swojej matki. Zgniły zapach przenikał pomieszczenie, w którym leżała. Właściciel ziemski Dittmann musiał zawieźć kobietę do lekarza. Zaprzął swojego kulejącego konia, który był ślepy na jedno oko, do furgonu do transportu chorych, który był wyłożony sianem. Następnie podreptaliśmy do odległych o pięć kilometrów Polic.

Karl Dittmann był człowiekiem samotnym. Siedzieliśmy oboje z przodu na koźle woźnicy. Smakowaliśmy jego zapasy na drogę i rozkoszowaliśmy się zasłużonym krótkim odprężeniem. Chorą musieliśmy wnieść z ulicy do gabinetu. Po badaniu lekarz stwierdził, że nie może nic więcej zrobić. Diagnoza: aborcja. Kobieta zmarła trzy dni później. Jej córki nigdy więcej nie widziałam.

Pewnego dnia otrzymałam od burmistrza polecenie, by zatroszczyć się o „Rudą Friedę”, która była chora. Ociągając się wyprawiałam się w drogę. Frieda zażądała, żeby ją zawieźć do lekarza w Ziegenort (Trzebieży) i Karl Dittmann znowu musiał zaprzęgać. Przyrzekła masło i śmietanę 80-letniemu doktorowi, jeżeli ją uzdrowi. Doktor dał jej tabletki i otrzymał później przyręczone produkty naturalne. Takie były wtedy czasy. Po chwilowym polepszeniu, zachorowała ponownie na wysoką gorączkę. Tym razem nakazałam zawieźć ją do Pölitz (Polic). Nie sprzeciwiła mi się i poddała się mojej woli, ale błagała abym zajęła się jej 10-letnim synem. Doktor Lübke orzekł, że również w tym przypadku nie może pomóc. Jednakże czasami zdarzają się znaki i cuda: po tygodniu znowu wyzdrowiała.

Nie mogliśmy leczyć Rosjan, ponieważ mieli własnego lekarza. Kiedy chciałam raz odwiedzić chorych w odzieży Czerwonego Krzyża, dwaj z nich stanęli mi na drodze i zażądali lekarstw. Odmówiłam im. Potokami słów zagadali mnie, przyjęli groźącą postawę i zagroźili mi drogę. Rosyjski oficer, który przypadkowo przejeżdżał samochodem, zatrzymał się i zainteresował się nami. Po wymianie zdań z żołnierzami musieliśmy we troje wsiąść i zawiózł nas do komendantury, która znajdowała się przy Langestraße. Obaj Rosjanie zostali zamknięci w stajni, mnie pozwolono pozostać w kuchni. Tu kobiety gotowały jedzenie dla Rosjan. Wokół mnie rozlegało się klekotanie i przesuwanie garnków i patelni. Jak siedem nieszczęść siedziałam na sofie i koncentrowałam się na strachliwym pytaniu: Co się ze mną stanie? Dlaczego? Nie mogłam znaleźć odpowiedzi. Moje myśli nie pozwoliły mi się uspokoić. Znowu pytanie DLACZEGO? Czego ode mnie chcieli?

Palilo się palenisko pieca. Pachniało przygotowywanym jedzeniem. Woda perliła się na płycie do gotowania. Kobiety krzątały się tu i tam i od czasu do czasu któraś z nich próbowała mnie pocieszać. Nie byłam na to otwarta, chciałam wrócić do domu! Przez całą noc musiałam tam wyczekiwać. W którymś momencie zwiesiłam głowę, aby ponownie się przestraszyć przy najmniejszym szmerze.

Następnego dnia, około ósmej, zjawili się tłumacz i żołnierz rosyjski. Oznaczało to, że w każdej chwili przyjdzie komendant. On nie powinien się dowiedzieć, że spędziłam całą noc w

kuchni. Teraz musiałam przenieść się do stajni. W tym miejscu ogarnęła mnie całkowita rozpacz. Kiedy później siedziałam naprzeciwko komendanta, wypytywał mnie o najprzeróżniejsze rzeczy, które nie miały dla mnie żadnego sensu. „Czy otrzymała Pani chleb od żołnierzy?” Zaprzeczyłam. I już zapadł rozkaz: „Do stajni z nią”. Do południa byłam sześciokrotnie przesłuchiwana i ponownie za każdym razem łądowałam w stajni. Upór i współczucie nade mną minęły, płynęły łyzy. Potem musiałam wsiąść do dwukonnej bryczki, którą zawieszono mnie kłusem do domu. Tam wszystko zostało przeszukane, włącznie z małym chlebem, który moja matka kupiła w polskim sklepie. Nic nie znaleziono, a szykany trwały. Komendant zagroził mi czterema tygodniami aresztu w bunkrze fabryki benzyny, jeśli nie powiem prawdy. Nie mogłam powiedzieć nic innego i nie wiedziałam, co dokładnie komendant chciał ode mnie usłyszeć. Łzy się wyczerpały i byłam bliska załamania. Ale to posuwało się nadal. Znowu zostałam zawieszona na przesłuchanie. Teraz komendant chciał wiedzieć: „Czy kocha pani matkę?” Na to mogłam wyszlochać tylko „taaak...” i gorliwie pokiwać głową. „No to do domu!” to były jego słowa. Była we mnie nieskończona pustka, ale kiedy dojechałam do domu, odczułam coś na miarę szczęścia.

Nasze żołądki burczały bez przerwy. W tle naszego myślenia zawsze było przesłanie, że musimy zaspokoić nasz głód. W ten sposób doszliśmy do wniosku: Idziemy zbierać grzyby! Obladowane koszami i plecakami, wybrałyśmy się: moja matka, moja teściowa, ciocia Emma i ja do lasu. Zanim tam dotarłyśmy musiałymy najpierw pół godziny maszerować piaszczystą drogą. Piękno lasu pozwoliło nam zapomnieć o trudach marszu. Najprzeróżniejszym odcieniom zieleni towarzyszyły także żółte, brązowe i czerwone tony jesieni. Wiele ran, które przebieg linii frontu wojny wyrządził przyrodzie, częściowo już zarosło. Ten wspaniały obszar leśny określany jako Üeckermünder Heide (Puszcza Wkrzańska) ciągnął się kilometrami w kierunku zachodnim. Moje zmysły były nastawione na czuwanie. Uważnie rejestrowałam każdy trzask. Gwiżdżąc, próbowałam przezwyciężyć strach. Zaintonowałam melodię „Denn im Wald da sind die Räuber, halli, hallo...”, ale za to zasłużyłam tylko na pełne zarzutów spojrzenie cioci Emmy i kuksańca od matki.

Ciocia Emma знаła dokładnie grzybowiska, ponieważ zmierzała prosto do celu, ale oddalała się coraz bardziej od nas. Ja trzymałam się w pobliżu innych kobiet, ponieważ potrzebowałam potwierdzenia, że zebrane przeze mnie grzyby są jadalne. Nagle moja matka krzyknęła: „Chodźcie szybko tutaj i popatrzcie, co tu leży!”. To była sarna. „Jaka piękna sarnia pieczeń!” Matka oceniła znalezisko. „Zabieramy ją do domu”. Miałyśmy oczywiście swoje obawy, czy jeść to mięso. „Naturalnie” powiedziała matka. „Jest jeszcze ciepłe i krwawi z wielkiej rany na barku. Prawdopodobnie zostało rozszarpane przez inne zwierzę”.

Matka będzie wiedziała - pomyślałam, ponieważ pochodziła z gospodarstwa rolnego i znała się na takich rzeczach. „Ciotka Emma będzie przeciwko temu, aby zabrać to zwierzę bez pozwolenia” – zauważyłam. „W takim razie, twoja poprawna ciocia Emma niczego się o tym nie dowie” - odpowiedziała matka. Dopóki jest zajęta zbieraniem grzybów, musimy zapakować naszą sarninę. Przemyślałyśmy, jak mamy wszystko zorganizować. Młoda sarna została zapakowana w największy plecak. Pojedyncze szmatki, które miałyśmy przy sobie, położyłyśmy na krwawiącą jeszcze ranę. Właśnie zakończyłyśmy nasze sztuczki z pakowaniem, kiedy ciotka dała się słyszeć z daleka, że zapełniła swój kosz. W naszych naczyniach było jeszcze miejsce, ale paliłyśmy się do tego, aby w sposób nie zauważony przez nią wrócić do domu z dziczyzną. Czy to nam się uda?

Teściowa zajęła się tym, aby dobrze zagadać ciocię Emmę i iść z nią naprzód, aby tamta się nie zatrzymała i nie zauważyła naszych poczynań. Zawsze jedna z kobiet musiała nieść ciężki plecak, a trzecia miała za zadanie uważać, ponieważ przez grubą tkaninę wyciekała krew.

Zmieniałyśmy się przy tym, nie zwracając na siebie uwagi. Osoba niosąca dziczyznę musiała zużyć wiele sił, ale wymagało to także sporo sprytu, aby odwrócić uwagę cioci Emmy. Kiedy ciocia skręciła do swojego mieszkania, stwierdziła, że droga do domu była jakaś krótsza.

Przybywszy do domu, matka ściągnęła skórę z sarny w sypialni teściów, przy zamkniętych okiennicach. Tę pracę opanowała perfekcyjnie. Przy przyrządzaniu mięsa, przez nasz dom, ku naszemu przerażeniu, przebiegł najwspanialszy zapach pieczenia. Myśleliśmy, że połowa Jasnitz (Jasienicy) musi czuć ten zapach. Była to mimo wszystko najsmaczniejsza pieczeń z sarniny, jaką jadłam kiedykolwiek w życiu!

Czas mijał, ale życie nie toczyło się zwyczajnie. Rozsadzało wszystkie dotychczasowe normy. Czasami wydarzenia nabierały tempa, czasami nasze życie przebiegało monotonicznie. Z minuty na minutę mogłyśmy przeżyć coś dotychczas niespotykanego. Zwariowane czasy!

Zima roku 1946 rozpoczęła się już w adwencie od przesywającego zimna. W tym roku nikt z nas nie spodziewał się rarytasów bożonarodzeniowych. Marzenia wyszły z mody. Jednakże były niespodzianki. Niestety nieprzyjemne. W tym czasie rosyjscy żołnierze zbierali się po dwóch lub trzech, wybijali okna i brali sobie to, co było jeszcze do zwędzenia.

Pewnego wieczoru domostwo wujka Gustava w miejscowości Hagen (Tatynia), zostało napadnięte przez rosyjskich żołnierzy. Wyważyli drzwi do kuchni, w której przebywało kilka osób, także teściowa wujka Gustava. Kiedy zobaczyła rosyjskich żołnierzy, doznała udaru serca, przewróciła się i zmarła. To w niczym nie przeszkodziło żołnierzom. Śmierć należała do ich codzienności. Jednak kiedy ujrzeli wystawione trumny, które wujek Gustav przezornie wykonywał dla mieszkańców miejscowości, to uciekli. Czyżby pomyśleli o swoim własnym przemijaniu?

W wigilię wujek Gustav pochował swoją teściową, także matka i ja chciałyśmy oddać ostatni szacunek zmarłej. Wcześniej odebrałyśmy naszą babcinę. W jakiś sposób wyglądała ona inaczej niż wypadłoby na pogrzebie. Podpadły mi grube, ręcznie robione pończochy z białej owczej wełny. Nosiła do tego za krótki płaszcz z lat dwudziestych, przyozdobiony bogato falbankami, który często służył nam, dzieciom do zabawy w przebieranki. Wesołość, która mnie dopadła, ukryłam w pytaniu. „Babciu, jak ty wyglądasz?!” „Tak, to właśnie zostawili mi Rosjanie przy ostatnim plądrowaniu” - zabrzmiała odpowiedź. Jednakże babcia prosto i z godnością niosła swoje żałobne odzienie, a chmura moli otaczała żałobny pochód.

Dla Rosjan musieliśmy przygotowywać bardzo wiele rękawic robionych z wełny. Za to byliśmy przez nich wynagradzani pełnowartościową mąką pszenną. Z tego upiekłyśmy wspaniałe bułeczki zamiast brakującego ciasta świątecznego.”

Załącznik 16: Wezwanie niemieckiego burmistrza Fritza Heidena

Renate Fiernow (*1934) - Borken

O całkiem innych przeżyciach związanych ze świętami Bożego Narodzenia opowiedziała Renate:

„Kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia zaczynało już zmierzchać, kiedy razem z moim 12-letnim bratem byłam w drodze do domu. Wracaliśmy z sanek ze Schlossbergu (Góry Pałacowej) i byliśmy rozgrzani od zabawy. Przyjemnie było siedzieć na sankach. Przed domem doktora Meylana pokłóciliśmy się jednak. Mój brat zażądał, że to ja teraz mam go ciągnąć. Oburzyłam się gwałtownie. Byłam w końcu rok młodsza niż on, co dawało mi prawo, jak sądziłam, aby siedzieć na sankach. Mój brat stanął i dyskutowaliśmy zapamiętale, kto kogo powinien ciągnąć.

Nagle zobaczyłam nogi odziane w buty, potem płaszcz munduru i spojrzałam w przyjazną twarz, która schyliła się do mnie i pocałowała mnie w policzek. Byłam bardzo przerażona z tego

powodu i najchętniej chciałam się ulotnić, ponieważ wokół nie było żywej duszy. Kiedy obcy poszedł i przeszedł na drugą stronę ulicy, mój brat zażądał ode mnie, żebym poszła za nieznajomym. Uważał, że on chce nam coś dać. Przewyciężyłam obawę i poszłam za nim. Przy domu państwa Stage, już na Schulstraße (ul. Szkolna, dziś Owocowa), wyjął z kieszeni płaszcz kluczyk i otworzył drzwi od domu. Przy tym zauważyłam, że czerwonoarmista miał pistolet. Teraz znowu się przeraziłam. Czy on chce mnie rozstrzelać? W korytarzu otworzył jeszcze jedne drzwi, które prowadziły do kuchni. Tu zaczekałam. Przyjazny oficer zniknął tymczasem w drugim pokoju. Po chwili poszłam z ciekawości za nim, ponieważ słyszałam szelest papieru. Uderzyło mnie zimno. Czy zrobiły mi się jeszcze większe: na stole leżała ogromna góra masła, tak wielka, że nie mogłam nic przez nią zobaczyć. Dostałam do ręki paczkę wielkości piłki nożnej. Wyjąkałam dygając „dziękuję bardzo”, a miły oficer odprowadził mnie do drzwi. Zwrócił się do mnie jeszcze w kilku słowach. Nawet jeśli ich nie rozumiałam, to dały mi one poczucie zaskoczenia i wdzięczności. Szybko pobiegłam z kosztownym prezentem do mojego brata. Teraz nasza kwestia sporna była rozwiązana. Siedziałam na sankach i trzymałam dość mocno paczkę. Idąc przez Wittenbergstraße (dziś ul. Zielona) koło starego cmentarza, dotarliśmy do domu. Kiedy dorosli zobaczyli zawartość paczki, mama i ciotka rzuciły się sobie w ramiona. Dlaczego one płaczą, zastanawiałam się, przecież powinny się cieszyć? Masło było otoczone grubą warstwą cukru. Cóż za prezent świąteczny! Poprzez ten gest rosyjskiego oficera odczuliśmy głęboki sens posłannictwa Bożego Narodzenia: pokój na ziemi i pomyślność ludziom!

Nie było zwykłego świątecznego wyjścia do kościoła. Kościół został zajęty przez Rosjan i tak samo nie było pastora, ani dokładnej jasności, czy w Jasenitz (Jasienicy) jest wystarczająco dużo mieszkańców, którzy przysliby na nabożeństwo bożonarodzeniowe. Większość ludzi ukryła się w swoich domach.

W wigilię, poza matką, nami - rodzeństwem, ciocią, wujkiem i kuzynką, byli u nas gościnnie dwaj niemieccy jeńcy wojenni, którzy zostali uwięzieni przez Rosjan w obozie Tobruk, aby pomagać przy demontażu fabryki benzyny. Zostali oni powołani do wojska bezpośrednio z uniwersytetu i zostali jeńcami rosyjskimi. Jeden z nich był studentem medycyny. Moja kuzynka ich zaprosiła, poznała ich u innych krewnych, którzy mieli gospodarstwo bezpośrednio przy obozie Tobruk.

W gronie dziewięciu osób siedzieliśmy przy wigilijnej kolacji. Wszyscy się najedli. Wujek, który był teraz robotnikiem budowlanym, już przed świętami dostał swoje wynagrodzenie w formie „produktów” (tak Rosjanie określali artykuły spożywcze). Po jedzeniu śpiewaliśmy kolędy, nasza mama przygrywała do tego na harmonijce. Tak powstał świąteczny nastrój. Zrobiło się późno. Mój brat i ja cieszyliśmy się bardzo, że możemy tak długo siedzieć wraz z dorosłymi.

W naszym domu w mieszkaniu dziadków zakwaterowano jeszcze jednego niemieckiego inżyniera. Pracował on przy pracach demontażowych i potrafił mówić po rosyjsku. Nazwijmy go Bruno. Bruno dał znać mojemu wujkowi, że wyjeżdża na kilka dni na święta.

Dobrze po północy obudziło nas głośne pukanie do drzwi od strony podwórka. Jednocześnie słyszeliśmy okrzyki: „otwierać! otwierać!” Tymczasem wszyscy już się rozbudzili, także my dzieciaki. Kiedy mój wujek zszedł, aby otworzyć, mama prześlizgnęła się szybko do pokoju mojej siostry, w którym spałyśmy także ja i moja kuzynka. Pospieszenie wykręciła żarówkę z lampy wiszącej. W ten sposób światło wpadało jedynie z korytarza do naszego pokoju. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Moja kuzynka i moja siostra uciekły do pokoju wujka i cioci. Tam wpełzły pod łóżko, a ciocia usiadła na jego brzegu.

W międzyczasie mój wujek otworzył drzwi i został od razu zaskoczony pytaniem „Gdzie jest Bruno?”. Bruno był poszukiwany przez Rosjan. Przy dalszym przeszukaniu odkryli młode dziewczyny, które trzęsąc się ze strachu, wpełzły spod łóżka. Krzyczeli do mojej kuzynki: „Gdzie

Bruno?“ W tym momencie zdziwiła się. Dotychczas nie patrzyła na Rosjanina. Głos wydał jej się znajomy. Kiedy spojrzała, rozpoznała w nim człowieka, który często był na podwórku przy Pölitzstraße (ul. Policka), kiedy grano tam w karty. Teraz zrobiło się poważnie. Rosjanie chcieli od niej wiedzieć, dokąd uciekł inżynier, przecież musiała to wiedzieć. Ten Bruno mianowicie opowiedział Rosjanom, że moja kuzynka jest jego przyjaciółką, co nie było prawdą. Ale być może marzył o niej.

Żadne prośby jej rodziców nie pomagały, została zabrana na przesłuchanie jeszcze w nocy, mimo że ona i wszyscy inni w domu nie mogli wiedzieć, że inżynier uciekł. Razem z dwoma młodymi niemieckimi jeńcami wojennymi i rzeczami Bruna, kuzynka została zabrana do obozu Tobruk. Później dowiedzieliśmy się, że Bruno umyślnie na terenie całego obozu spowodował krótkie spięcie i na koniec uciekł. Rzekomo chciano go zabrać do Związku Radzieckiego.

Moja ciocia, po aresztowaniu córki prawie zemdląła. Żadne prośby nie pomagały. W obozie Tobruk, kuzynka weszła najpierw do bunkra i była stamtąd zabierana kilka razy na przesłuchanie. Później opowiadała, że Rosjanki przy przesłuchiowaniu nieźle ją przemaglowały. I teraz posłannictwo bożonarodzeniowe „pokój na ziemi. . .” wyglądało całkiem inaczej.

Drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia inna ciotka udała się do obozu Tobruk. Ciocia ta była bardzo rezolutna. Uzbroiła się w parasolkę z trzonkiem i chciała rozmawiać z siostrzenicą, jednak żołnierze zabronili tego. Ciocia pogroziła swoją parasolką. Strażnik miał jednak dla niej współczucie, być może myślał, że to matka. Powiedział: „Matko, idź do domu, córka wróci.” Trzy dni później, moja kuzynka została zwolniona z aresztu i wszyscy się cieszyli z jej powrotu. Jej rodzicom ulżyło przede wszystkim z tego powodu, że pozostała nie skrzywdzona.

W taki sposób zakończyły się dla nas święta Bożego Narodzenia 1945 roku, związane z wielkim strachem i podenerwowaniem. Jednakże wzbudziły wdzięczność i radość, że wszystko odbyło się bez większych szkód.

Nie słyszeliśmy o niemieckim inżynierze, czy jego ucieczka się powiodła.

Urwał się także wszelki kontakt z obydwoma młodymi ludźmi, którzy przebywali jako jeńcy wojenni w obozie Tobruk i byli naszymi gośćmi w czasie świąt. Nigdy nie dowiedzieliśmy się niczego o wielu innych niemieckich jeńcach wojennych, którzy byli zatrudnieni przy demontażu fabryki. Plotki głosiły, że musieli oni wyjechać do Rosji, aby tam ponownie zbudować rozebraną fabrykę benzyny. Być może zostali także zwolnieni lub wylądowali na Syberii. Nieznana liczba dalszych niemieckich więźniów straciła życie w obozie. Za drutem kolczastym, przy linii kolejowej w kierunku fabryki ustawiono kilka krzyżyków nagrobnych. Jako dzieci nie mogliśmy niestety przeczytać ich nazwisk od strony linii kolejowej. Matki i bliscy tych pochowanych tutaj niemieckich żołnierzy na darmo czekały na powrót swoich ukochanych.”

Rudi:

Rodzina Rudiego przybyła po trzydniowym ukrywaniu się w lesie i znalazła się z powrotem w domu. Opowiedział on o tym w ten sposób:

„Coraz więcej rolników wracało i każdy próbował ponownie uruchomić swoją gospodarkę, tak dobrze, jak się tylko dało. Uprawiać ziemię, aby móc później zebrać żniwo, to było chyba najważniejsze. Żmudna praca, męcząca droga stała przed każdym, kto rozpoczynał wszystko na nowo. Nie wróciliśmy przecież po długim czasie, ale tak czy inaczej ukradziono nam już dwie kłaczki i dwie krowy z obory.

Obojętnie, dzień czy noc, przychodzili nagle jacyś ludzie na podwórko i zabierali to, czego potrzebowali. Wymachiwali pistoletami lub pistoletami maszynowymi, a my byliśmy zmuszeni przyglądać się bezbrinnie, jak zabierali świnie ze stodoły lub szukali czegoś jadalnego w domu.

Często nasza mama musiała nakrywać do stołu dla trzech lub czterech Rosjan i smażyć jajka sadzone. Próbowali w kuchni, czy jedzenie dobrze smakuje i w międzyczasie grzebali w domu i w stodole. Za dnia szpiegowali, aby w nocy znowu uderzyć. W takich sytuacjach nie odrywaliśmy się od matki. Zawsze było słycać odetchnięcie pośród nas pokrzywdzonych, kiedy taka grupa opuszczała podwórko. Pierwsze tygodnie i miesiące były chyba dla wszystkich kiepskim czasem. Jak wielu innych mężczyzn i kobiet, ojciec został zobowiązany godzinami pomagać przy demontażu fabryki benzyny. Całe instalacje zostały wywiezione jako świadczenia reparacyjne do Związku Radzieckiego.

Bezpańskie krowy z wielkich gospodarstw i podwórek, których właściciele nie wrócili, zebrano teraz centralnie i spędzono. Do tej pracy wyłapywano ludzi bez wybierania, obojętnie, czy umieli doić czy nie.

W jasicnickim pałacu przygotowano dwa pomieszczenia, w których od jesieni 1945 roku wolno nam było chodzić do szkoły. To, że musieliśmy, to dobrze! Przyzwyczailiśmy się już do dziadowskiego życia! Wszystko jedno! Były to zaledwie dwie godziny nauki dziennie! Przesiadawaliśmy je na jednym pośladku i czekaliśmy z utęsknieniem na koniec zajęć.

Całą naszą dumą był dwuletni ogier. Poprzez zawirowania wojenne zapomniano o jego kastracji, dlatego mieliśmy konia w stajni, który nie dawał się przywiązać. Ojciec przyzwyczaił kasztana, żeby chodził z pługiem i powozem. Za pomocą pożyczonego konia żniwa 1945 były w połowie wykonane. Jednakże, kiedy tylko jeden kłopot pokonano, zaraz pojawił się następny.

Nawet jeśli nie dotyczyło to naszej rodziny, współczuliśmy wszystkim tym ludziom, którym sprawiono cierpienie i ból.

U jednego z naszych rolników przechowywano, już od końca wojny, duże ilości amunicji, panzerfaustów i granatów ręcznych na podwórku. Już nieraz zgłaszał się do komendatury i prosił, aby pozwolili mu wywieźć te rzeczy. Sam miał trzech chłopaków i nie mógł ich ciągle wystarczająco pilnować. Jednak to nic nie dało. Człowiek jest samotny, tak pomyślał sobie gospodarz, załadował w końcu po długim czasie oczekiwania cały ten kram na swój wóz i zawiózł to do lasu, aby się go pozbyć. Ale że diabeł nie śpi, to spotkał go rosyjski patrol. Z pełnym wozem, musiał, nie załatwiwszy sprawy, ponownie wrócić na swoją ziemię. Został obwiniony, że zaopatruje niemieckich partyzantów tymi dostawami. Dniami i nocami męczono jego rodzinę, aż inni ludzie mogli poświadczyć jego niewinność. Po tym, jak godzinami musieli trwać przy ścianie domu na celowniku kałasznikowa, Rosjanie dali w końcu wiarę obwinionemu. Wszyscy sąsiedzi mieli stracha, że rodzina będzie rozstrzelana na miejscu bez rozprawy sądowej. Jednakże później Rosjanie opuścili gospodarstwo i rodzina mogła odetchnąć.

Popyt na pożądane zegarki prawie minął, a poszukiwanie dziewcząt stawało się na szczęście coraz rzadsze. Spadła także liczba kradzieży. Zależało to jednak od tego, że prawie nie było co kraść. Z drugiej strony, stworzono niemiecką służbę wartowniczą pod kontrolą Rosjan. Wartownicy jako zewnętrzną oznakę nosili opaskę na ramieniu i chodzili na przemian na patrole. Ale naszą najlepszą bronią przeciwko kradzieżom były kartusze. Prawie w każdym gospodarstwie wisiały zamaskowane. Kiedy obcy na naszej ulicy wchodzili na podwórko, poruszaliśmy kartuszami i powodowaliśmy straszny hałas. Był to sygnał dla wszystkich. W ciągu kilku minut, hałas roznosił się po całej Hardemoorstraße, przez co niejednego niepożądany intruz został wypłoszony. W pierwszych miesiącach po wojnie mało można było zrobić przeciwko plądrowaniu.

Później rosyjski komendant ze swoimi ludźmi angażował się w wielu przypadkach. Pewnego dnia, rosyjscy żołnierze za dnia wyprowadzili ostatnią świnię z naszego chlewu i zabrali ją do rzeźnika Bauma, do wsi. Ten miał ją oprawić do wieczora. „To knur” - pomyślał rzeźnik. „On

może należeć tylko do Ernsta Schrödera, bo teraz w całej okolicy jest tylko jedna świnia płci męskiej”. Zwrócił uwagę komendantowi na ten problem i dostaliśmy naszego knura z powrotem. Ale jak mieliśmy go odebrać? Ze strachu przed kradzieżą nikt nie chciał pokazywać swoich koni na ulicy. Nasz ojciec również nie chciał. Zdecydował, że trzeba knura przypędzić. Z kilkoma przerwami trwało to cały dzień, aż byliśmy ze świnią z powrotem na podwórku. Strach, że ktoś nas napadnie czuliśmy ciągle na karku. I potem pieprzne uwagi ludzi: „Dzień dobry, Ernst, czy zostałeś kuglarzem?” „Cześć, Ernst, miałeś szczęście ze swoją świnią! Czy chcesz teraz iść do cyrku?” Podchodzili do taty i ściskali mu rękę. Każdy cieszył się z sukcesu. Dzieci wołały: „Idzie August z wielką świnią!”¹ Podbiegały do nas i towarzyszyły nam przez kawałek drogi. Zналиśmy się trochę ze szkoły i dzięki temu przejście było trochę mniej monotonne. Dla mnie najfajniejsze było to, że byłem w centralnym punkcie zainteresowania. Naprawdę się tym wszystkim rozkoszowałem i byłem bardzo dumny, że chociaż raz udało się zwyciężyć Rosjan! Wieść o wycieczce z knurem szybko się rozniosła. Rolnicy przychodzili zewsząd, nawet w nocy, ze swoimi maciorami do pokrycia.

Jakoś w końcu sierpnia 1945 roku Rosjanie po raz kolejny pojawili się u nas ze swoją wielką ciężarówką. Ojciec spodziewał się, że nie mają oni dobrych zamiarów. „Dziewczyno” - powiedział do mojej siostry Dory - „biegnij tak szybko, jak możesz z tyłu przez podwórko do Jasenitz (Jasienicy) i zgłoś to w komendanturze”. Pobieгла natychmiast i wykorzystała do ukrycia się nieskoszone jeszcze pole naszego sąsiada. Jednak jeden z Rosjan zauważył to i strzelał za nią ze swojego kałasznikowa. Czy mierzył dobrze, czy było to kilka strzałów ostrzegawczych, nie wiemy. W każdym razie Dora nie dała się zmylić i biegła dalej. Kiedy my chłopcy natychmiast biliśmy na alarm kartuszami, Rosjanie załadowali już jedną jałowkę i owcę. Na całej ulicy zabrzmiały dzwonki alarmowe, jednakże dręczyciele nie dali się odwieść od tego czynu. Podczas, kiedy złodzieje wyjeżdżali z podwórza i doładowywali trochę bydła, minął dłuższy czas i okazało się, że zostali zatrzymani przez patrol, który wysłał komendant. My, dzieci z ulicy, szliśmy za pojazdem od podwórka do podwórka i byliśmy naoczniymi świadkami tej akcji. Kilkoma seriami z kałasznikowa, przy których przestrzelono kilka opon, zatrzymali uciekinierów.

Co się teraz działo, było straszne, pominawszy to, co nam zrobili. Nie dało się tego oglądać! Najpierw plądrujący musieli wyładować bydło z ciężarówki. Potem zostali obici, pobici pistoletami maszynowymi i wrzuceni jak śmieci na auto. My chłopcy nie czekaliśmy, aż Rosjanie na nowo uruchomili samochód. Zabraliśmy nasze bydło i zaprowadziliśmy je z powrotem do domu, do obory.

Rok 1945 dobiegał końca. Dni były krótsze. Ludzie zbliżali się do siebie. Każdy szukał ochrony w grupie, nikt nie chciał być sam ze swoimi troskami i potrzebami. Tylko przy wzajemnej pomocy można było przetrwać tamte czasy. Przetrwaliliśmy zimę. Kiedy dni znowu się wydłużyły, mieliśmy więcej nadziei. Życie znowu stało się jaśniejsze. Czyżby z powodu zbliżającej się wiosny?

Z naszych trzech krów musieliśmy jedną oddać do wsi do uboju. Pozostałe dwie tak ukryliśmy, że obcy nie mogły ich znaleźć. Jak można ukryć w gospodarstwie dwie krowy? Przecież musiały być karmione, pojone i dojone. Poza tym robiły hałas i muczały.

Wyobraźcie sobie szopę pełną siana, w której gładkich ścianach wycięto zgrabnie większe wejście. Potem wyciągnięto z niej wiele balotów siana, aż powstało wielkie pomieszczenie. Cała rzecz opierała się na kilku stemplach i już można było ulokować tam krowy. Potem ojciec od zewnątrz nasadził wyciętą klapę. Nawet wtajemniczeni prawie nie mogli rozpoznać, gdzie było

¹ Prawdopodobnie chodzi o skojarzenie z baśnią J.Ch. Andersena „Świniopas” – przyp. tłum.

to wejście. Jeżeli przysunęło się przed nie jakieś urządzenie do uprawy roli, wszystko wydawało się całkiem naturalne. Krowy stały jednakże w ciemności poza karmieniem i dojeniem. I co to dało? Mieliliśmy mleko i masło. Nikt nie znalazł tej kryjówki. Byliśmy nawet w stanie zaopatrywać kilku uchodźców i sąsiadów. Potajemnie ubijaliśmy masło jak za czasów babci, potajemnie młóciliśmy cepem i potajemnie obracaliśmy ręcznie śrutownik. Wszystko było robione potajemnie. Chłopcy ciągle musieli stać na czatach, aby uważać, czy ktoś się zbliża. Jednak zawsze było to lepsze niż wypasanie gęsi czy wrywanie pokrzyw.

Bardzo dobrą kryjówkę wymyślił także mój dziadek Lünse. Znajdowała się w rurociągu na przejeździe przez rów. W skonstruowanym własnoręcznie pojeździe z kółek wózka dziecięcego chował on pod wodą kamienne garnki ze smalcem i innymi rzeczami. Jedno z jego wnucząt musiało potem nurkować w tę i z powrotem, aby wyciągnąć wózek z rury. Odbywało się to przy temperaturze 5 do 10 stopni Celsjusza, nie była to specjalna przyjemność.

Tej wiosny siadaliśmy zawsze do stołu w trzynaście osób, w czasie, kiedy naprawdę nie było dostatnio. Wszystko, co nadawało się do jedzenia, trzeba było dzielić. Jednakże jakimś sposobem dziadek i mama dawali radę, aby nas wszystkich wykarmić. Teraz otrzymaliśmy także pierwszy przydział soli i cukru, który został przekazany na rozkaz komendanta z Löcknitz w sowieckiej strefie okupacyjnej.

Jednak strumień uchodźców nie kończył się. Jacyś krewni i znajomi z drugiej strony Odry przychodzili do nas i chcieli zostać. Dało się to zrobić na jeden, dwa dni, potem musieli przenieść się dalej. Także u sąsiadów, u dziadka Lünse, zakwaterowani byli uchodźcy. Wszystkie miejsca były zajęte. Ponieważ nasza mama sama pochodziła z Kattenhof (Kątowno) koło Gollnow (Goleniowa), wielu oczekiwało, że będą mogli u nas zostać. Błagali w dialekcie platt moją matkę:

„Anno, pozwól nam zostać.”

„Anno, przecież nas znasz.”

„Anno, czy zapomniałaś, jak się razem bawiliśmy?”

„Anno, chodziliśmy przecież razem do szkoły.”

I Anna pomagała, gdzie tylko mogła, tylko po prostu było zbyt wielu ludzi.

Wśród niemieckiej ludności nie było prawie żadnych rowerów. Wszystko, co wyglądało podobnie do roweru, zabrali na początku Rosjanie. Chcieli koniecznie jeździć na rowerze. Wyglądało to bardzo łatwo. Kiedy chcieli jeździć na rowerze, zaraz się przewracali. Musieli się dopiero nauczyć i ćwiczyli w ten sposób w każdej wolnej chwili. Jakże często mogliśmy zaobserwować, że ciągle się przewracali. Wstawali i znowu podejmowali następny atak, ciągle mieli kłopoty z równowagą. Często się do siebie zbliżali, skrzętnie pedałowali, chwiali się i po paru minutach znowu leżeli na boku. Z wściekłości jeden z nich rzucił rower na ziemię, skoczył na niego stopami, potem wziął rower na ramiona i poszedł z nim pieszo. Jako dzieci nie mogliśmy tego pojąć, ponieważ już jako małe brzdące nauczyliśmy się jeździć na rowerze męskim. Wydawało się nam to śmieszne.

W międzyczasie zbieraliśmy wszystko, nieważne stare czy nowe, co miało coś wspólnego z rowerem. Szabrowano i handlowano. Czasem ktoś znalazł także na ziemi łożysko pedału czy kilka szprych. Po długim majsterkowaniu mogliśmy w końcu piękną „damkę” z pełnym ogumieniem nazwać naszą własną. Było ciężko, ale jakoś było.

Pewnego dnia na szosie pojawił się znowu jakiś Rosjanin z rowerem i ćwiczył. Co parę metrów przewracał się, znowu się przewracał, wsiadał i wszystko się powtarzało. Wtedy pojawił się mój brat i podjechał do Rosjanina nie trzymając kierownicy. Czy to była bezczelność, czy chciał pokazać Rosjaninowi, jak obchodzić się z rowerem? Obojętne. Jak byli na tej samej wyso-

kości, Rosjanin wyrzucił swój rower, chwycił za nasz i pojechał na nim dalej. W jakiś tam sposób całkiem dobrze mu szło. Deptał na pedały jak szalony. Potem oderwał obie ręce od kierownicy i znowu leżał na szosie. Odwrócił się i chciał znowu odzyskać swój stary rower, ale mój brat już dawno zniknął z nim w łanie zboża. Rosjanin wyzywał i wyzywał. Posypały się od niego wszystkie możliwe rosyjskie przekleństwa. Ale kiedy zauważył, że felgi są zrobione z kabła, porzucił rower i poszedł dalej. A my? My mieliśmy teraz dwa rowery, a jeden nawet z całkowicie pompowanymi oponami.

W Jasenitz (Jasienicy) Rosjanie pod kontrolę przejęli tartak. Zapowiadała się dobra koniunktura, mężczyźni pracowali przy trakach już na trzy zmiany. Nieprzerwanie docinano drewno. Przywóz pni drzew z różnych wyrębów do tartaku był wykonywany częściowo przez samych Rosjan. W tym celu spędzili oni około siedemdziesięciu koni, które naprzemiennie dodatkowo otrzymywały pożywienie i wybieg w zagrodzie rodziny Hertzer i majątku Hardemoor. Zwierzęta, które jednego dnia miały za sobą pracę, były odstawiane następnego dnia do zagrody i odwrotnie. W ten sposób dziennie było około trzydziestu koni na zewnątrz, na pastwisku. W nocy były one przetrzymywane gdzieś w Jasenitz (Jasienicy) i zaopatrywane przez Rosjan.

Zagroda Hertzerów była przez tygodnie i miesiące miejscem spotkań wielu dzieci w różnym wieku. Spotykaliśmy się tam, aby wspólnie z Rosjanami pilnować koni. Zawsze, kiedy nie mieliśmy zajęć szkolnych i mogliśmy wyjść z domu, byliśmy na świeżym powietrzu na miejscu i pomagaliśmy Rosjanom przy pracy. Już się nawet dobrze zaprzyjaźniliśmy i początkowe obawy, że coś nam zrobią, szybko minęły. Przeciwnie, byliśmy teraz całkiem nimi pochłonięci. Powstała nawet naprawdę przyjazna relacja pomiędzy nami dziećmi i szczęśliwymi Rosjanami, którzy zawsze na zmianę opiekowali się końmi. Byli oni zawsze dobrzy dla nas i dawali nam kilka kromek chleba. Byliśmy bardzo chętni, aby być przy tych Rosjanach i koniach, po prostu nas to magicznie przyciągało. Z porozumiewaniem się było z dnia na dzień coraz lepiej. Wiedzieliśmy dokładnie, co jak się nazywało. Wiedzieliśmy dobrze, co to znaczy dobrze i źle, jak się mówi na jajka, masło, mleko i kartofle oraz wiele innych rzeczy. Jeżeli nasz rosyjski zasób słów nie wystarczał do tłumaczenia, to jednakże starczał do porozumiewania się. Powtarzaliśmy wszystko, używaliśmy rosyjskich słów w potocznych rozmowach, a nawet ćwiczyliśmy między sobą, aby właściwie wymawiać słowa. Nie budziło nawet zdziwienia, kiedy używaliśmy rosyjskich słówek w domu i rozweselaliśmy tym dorosłych.

Kiedy mieliśmy czas, żeby iść do zagrody, pozdrawialiśmy się nawet po rosyjsku, siadaliśmy sobie konia, siadaliśmy na niego i jeździliśmy tak, jak umieliśmy, bez siodła i bez uzdy wokół stada i pozwalaliśmy im się wypasać. Wiele godzin spędzaliśmy na końskich grzbietach, ważne, że siedzieliśmy u góry. Na początku nie było to takie łatwe, osiąść takie zwierzę bez środków pomocniczych. Jednak Rosjanie pokazali to nam i zaprezentowali, jak się to robi: przeciwnie do kierunku jazdy konia chwytając za grzywę i odbijając się nogami od ziemi. Potem z rozpędem na konia. Na początku się nie udawało i musieliśmy całkiem sporo ćwiczyć. Z czasem, przy mniejszych zwierzętach, wychodziło już trochę lepiej. Nie było to takie proste, by wyłowić konia ze stada. Były i duże, i małe, pociągowe i wierzchowce, oswojone i dzikie, oraz takie, które na świeżym powietrzu nie dały się dotknąć. Skakały za innymi lub kręciły się dookoła i uderzały nas. Jednak nie odpuszczaliśmy i znajdowaliśmy w tym radość.

Wiele razy obserwowałem już jedną klacz, która mi się podobała, ale na wybiegu nie można się było do niej zbliżyć. Pewnego popołudnia, kiedy my, chłopcy, chcieliśmy konno towarzyszyć stadu koni z Jasenitz (Jasienicy), trudno było mi złapać jedno ze zwierząt. Ale przy wodopoju miałem szczęście. Wszedłem na koryto i wsunąłem zabraną za pozwoleniem mojego ojca uprząż

na wybraną przeze mnie czarną klacz. Była pięknym, dużym zwierzęciem z długimi nogami. Koń do jazdy wierzchem, jak się później okazało. Teraz miałem problem, aby się z nią właściwie obchodzić. Najpierw na polecenie zatrzymała się. Bez trudu mogłem na niej siedzieć. Coś jednak robiłem źle. W ten sposób trenowałem jeszcze chwilę, a potem wróciłem jeszcze raz do zagrody. Aha, pomyślałem sobie, musisz ją lepiej prowadzić w cuglach, nie przyjmować takiej skręconej postawy i rozluźnić się. Teraz mogłem przejąć prowadzenie!

W międzyczasie stado mocno się oddaliło. Przy domu Falków widziałem tylko obłok kurzu. No, już czas, pomyślałem sobie, połaskotałem ją moimi bosymi stopami i wcale tego nie chcąc, luźno puściłem cugle. Koń wyskoczył jak z pistoletu! W pierwszej chwili było mi ciężko się na niej utrzymać. W pełnym galopie pędziliśmy szosą. To było cudowne uczucie, chwiałem się, byłem jakby unoszony powietrzem. To było cudowne!

Na małym moście koło domu Döpke spotkałem idącego z naprzeciwka ojca. Nie wiem, dlaczego zatrzymałem konia. Chciałem pokazać ojcu, jak umiem jeździć. W każdym razie pociągnąłem cugle i wylądowałem wysokim łukiem w błocie, bezpośrednio pod stopami ojca. Koń natychmiast się zatrzymał. Znowu zrobiłem coś źle, ściągnąwszy cugle szarpnięciem. Koń nie był winny. Wstałem, poklepałem konia pojednawczo po szyi i zaprowadziłem go do barierki mostu. Ojciec powiedział: „Zostaw konia i chodź ze mną do domu, koń sam znajdzie drogę do stajni.” „Nie, nie” – powiedziałem. Użyłem tej poręczy jako strzemienia i koń popędził pełnym galopem dalej.

Moje myśli wybiegały naprzód: Jak weźmiesz zakręt na Hagener StraÙe? Ale w żadnym wypadku nie będziesz jechał wolniej. Kiedy już zaszło tak daleko, wszedłem koniem w zakręt, jakbym nie robił nic innego. Pędziliśmy obok domów, dudniliśmy bez siodła w pełnym galopie przez wąwóz obok toru kolejowego i nagle w pobliżu szkoły zatrzymał nas jakiś Rosjanin z podniesionymi rękami. Koń zбочzył z drogi i zarżał. Z trudem utrzymałem równowagę. Ale nie było to już potrzebne. W tym samym momencie zostałem gwałtownie ściągnięty z konia. Rosjanin wyzywał mnie, że tak późno przyjeżdżam, ponieważ koń był rozgrzany i pienił się, gdyż tak go zmęczyłem i załatwiłem. Wyzywał mnie po rosyjsku, ale dokładnie wiedziałem, co miał na myśli. Szybko zdjął chomąto z konia i dał mi kuksańca. Nie uciekłem, jedynie przyglądałem się, jak dał „swojemu” koniowi klapsa i szedł za nim z chomątem.

Byłem wściekły, ale nie z powodu Rosjanina, nie, nie, to wszystko rozumiałem. Nie mogłem jedynie zrozumieć dlaczego ojciec nigdy nie dał rady nauczyć swojego dwunastoletniego syna jazdy konnej. Byłem z tego powodu naprawdę wkurzony. Czy naprawdę nie było na to czasu? Albo może zależało to od skutków wojny? My, dzieci musieliśmy już od małego zawsze pomagać w gospodarstwie. Obojętnie, czy przy zbiorach siana, zboża, czy kartofli, czy też przy młóceniu lub oprawianiu. Zawsze dostawaliśmy, zależnie od wieku, zadania do wykonania. Czyż to nie byłoby fair, pokazać nam także piękne rzeczy? Tyle czasu musiałyby się znaleźć. Albo dlaczego tata na moście nie utwierdził mnie w moim przedsięwzięciu? Zamiast tego odradził mi wsiadać na konia. Dlaczego nie dodał mi odwagi? Porozmawiam z ojcem, ale on ma z pewnością inne zmartwienia i nie będzie mnie w ogóle słuchał.

Takie i podobne pytania przelatywały mi przez głowę w drodze do domu. Czyż to nie mój tyłek, który się tak buntuje? Cieszyłem się wchodząc na naszą ziemię. Strasznie paliło i bolało. Już dawno sobie odparzyłem tyłek, nie dziwnego, zawsze bez siodła, w deszczu i słońcu. Ale sami tego chcieliśmy. Innym chłopcom też tak szło.

Myślałem, że nasza mama jest w pralni przy wypieku chleba, może będzie miała jakąś radę, aby złagodzić bóle. Jednak tam jej nie było. W piecu płonął ogień. Otworzyłem drzwiczki, zdjąłem spodnie i trzymałem tyłek przed płomieniami. W zgiętej postawie trąc dłońmi oba pośladki

liczyłem na złagodzenie podrażnienia. „Chłopcze!” - krzyknęła przerażona matka, „Co ty robisz?” Potem pojęła. Żartowała sobie ze mnie, śmiała się i zawołała. „Ernst, chodź no tu szybko i zobacz to!” Ojciec podśmiewał się, kiedy wszedł i powiedział: „Nie popuszczaj synu, jeżeli już raz się odparzyłeś, nie przestawaj, w przeciwnym razie to się zaleczy i będziesz cierpieć bóle ponownie”. Następnego dnia poszedłem znowu do zagrody do Hertzerów. Już dawno zrezygnowałem z tego, aby porozmawiać z ojcem.

Jednego z tych dni mocno padało. Było wilgotno i zimno. Rosjanie musieli pójść znowu do zagrody, aby spędzić konie, a my chłopcy pomagaliśmy im, jak umieliśmy. Aby wysuszyć nasze rzeczy, zrobili za polem ognisko, przy którym mogliśmy ogrzewać się na zmianę. Jeden z chłopców przejechał, a jakże, koło dużej szopy i nagle przewrócił się razem z koniem. Przypadkiem zauważyliśmy wypadek. Od razu pobiegliśmy tam i stwierdziliśmy, że koń prawdopodobnie nie żyje. Uwolniliśmy naszego przyjaciela, którego noga leżała jeszcze pod koniem i chcieliśmy wiedzieć, co się stało. „Dokładnie nie wiem” - odpowiedział - „tylko trochę poślaskotało i koń przewrócił się na bok.” Przyczyną tego był zwisający przewód pod napięciem. Teraz wszystko potoczyło się, jak w zegarku. Jeden z czerwoarmistów rozdzielił pracę: jeden jego towarzysz pojechał do Jasenitz (Jasienicy), aby przywieźć sól, drugi zjął z konia skórę po wcześniejszym dorżnięciu. Żołnierz i my mieliśmy uważać na stado.

Po pół godziny przyjechał jeździec, a za nim dwa wozy pełne żołnierzy. Bardzo szybko zbudowali nad ogniskiem ruszt i przyrządzali koninę na rożnie. Także w garnkach, które były ustawione na kamieniach, przygotowywano mięso. Później siedzieliśmy wszyscy wokół ogniska i jedliśmy świeżą koninę. Około ośmiu chłopców i wielu żołnierzy najadło się naprawdę do syta, w międzyczasie przestało padać, chmury rozstały się. Słońce wyszło ponownie i ogrzewało nasze ciała. My dzieci piliśmy herbatę, a Rosjanie wódkę, kiedy nagle w tle zabrzmiała muzyka. Dwóch towarzyszy, którzy na chwilę się oddalili, aby przynieść instrumenty, zaczęło grać. Za pomocą harmonijki w akompaniamencie bałajki grali cudowną muzykę. Kiedy teraz wszyscy inni przyłączyli się, byliśmy zachwyceni. Te głosy, te dźwięki, naprawdę przyprawiały o drżenie nasze dziecięce serca. Potem zaczęli jeszcze tańczyć! Najpierw jeden, potem następny. Zapomnieliśmy o wszystkim dookoła i klaskaliśmy w rytm muzyki. Byliśmy zachwyceni tańcami, które odbywały się w zagrodzie. Żołnierze wyczarowali sobie i nam dzieciom wspaniałe popołudnie. Jeszcze nigdy nie widziałem takich tańców!”

Marianne Schmidt z d. Lünse (* 1932) - Grünheide (Mark)

Marianne opowiada:

„Dopiero kilka dni po naszym powrocie z Ueckermünder Heide (Puszczy Wkrzańskiej) odważyliśmy się pójść do położonego w pobliżu gospodarstwa dziadka Franka, ojca matki Hanni. On sam uciekł do swojej siostry i nadal tam jeszcze przebywał. Poza kotem nie znaleźliśmy na podwórku ani człowieka, ani bydła. W domu obskoczyły nas chmury pcheł. Prawie nie mogliśmy się przed nimi obronić. W kuchni wszystko wyglądało chaotycznie. Szafy były porozrywane, a ich zawartość rozsypana na podłodze. Torebki z przyprawami były wysypane, z resztkami mąki i cukru, na naczynia. Pomędzy tym całym bałaganem leżały ludzkie odchody. Strasznie śmierdziało! Z wielką trudnością zrobiliśmy porządek.

Po kilku tygodniach wrócił także dziadek Frank. Nawet jego dwie krowy odnalazły się we wsi. W ten sposób staliśmy się bogatymi ludźmi. Ale pewnego dnia złodzieje wyłamali drzwi od obory i uciekli z krową z podwórka. Dziadek Frank obudził się, kiedy opuszczali podwórko. Wyzywał wprawdzie strasznie, ale złodzieje nie dali się zmylić. Co jeszcze mógłby zrobić ten

stary człowiek? •le by się to dla niego skończyło. W ten sposób żyliśmy dalej z jedną krową i nie cierpieliśmy głodu. Od tego czasu oborę zamykaliśmy zawsze solidnie.

Mama przychodziła każdego dnia do swojego ojca. Mieszkał we własnym domu przy Frankenstraße. Jego żona zmarła w 1944 roku. Najmłodszy synowie byli bliźniakami, jeden poległ, drugi zaginął. Ojciec, jak był przez wszystkich nazywany, czytał teraz często Biblię.

W końcu maja pracowaliśmy u dziadka Franka w ogrodzie. Nagle zawołał nas Hubert Schulz, który w pobliżu miał swój tartak, z podwórka sąsiada Wolfa. Wielu rosyjskich żołnierzy zbierało się tam, aby wydobyć rzeczy, które były zakopane w ziemi. Chodziło przede wszystkim o artykuły spożywcze. Rosjanie dali mamie znak, że ma posmakować napój. Kiedy potwierdziła, że to wino, zabrali z radością butelki do siebie. Potem dali mamie wiadro z papy, w którym znajdował się biały proszek. Ona roztała ten proszek między kciukiem a palcem wskazującym i wachała to. Gestami przekazała, że jest to proszek do prania. Żołnierze nie byli tym zainteresowani, mogliśmy go zabrać. Proszek do prania w rzeczywistości był mąką.

Rosyjscy żołnierze już od dawna zrozumieli, że na każdej działce ukrytych było mniej lub więcej wartościowych przedmiotów. Nakłuwali szablami i cienkimi drążkami ziemię i siano. Również w szopie dziadka Franka coś znaleźli. Wyjęli tylko górną szufladę ze starej zakopanej komody, ponieważ myśleli, że to skrzynia. Z rzeczy w ten sposób uratowanych z dolnej części komody cieszyliśmy się jeszcze przez dłuższy czas.

Wirówki, w których oddziela się śmietanę od mleka, musieliśmy oddać. Ponieważ dziadek Frank posiadał dwie, mogliśmy w sposób niezauważony dalej robić masło.

Raz potajemnie zabito nawet owcę. Rano została ona zaszlachtowana na posadźce domu. Musiałem wtedy stać na ulicy na czatach. Jakaś kobieta, uciekinierka, która znalazła zakwaterowanie w dobudówce Wolfów zatrzymała się i powiedziała: „Hm, tu nie rąbie się drewna”. Kiedy usilnie zastanawiałam się, jak mam się zachować, ona poszła dalej ze sceptyczną miną.

W tych niespokojnych czasach spaliśmy razem z rodziną naszych sąsiadów Radünz na podłodze stajni, na sianie. Do nas dołączyła się między innymi jeszcze jedna uciekinierka, która mieszkała u Klawitterów. Mieliśmy tam także trochę ukrytych sukien i ubrań. Pewnego dnia stwierdziliśmy, że trzy suknie mamy zniknęły. Jedna była długa z niebieskiego jedwabiu, jak mi się zdawało - szczególnie wartościowa. Po zniknięciu odzieży uciekinierka już więcej nie przyszła, aby spać na sianie. Zniknęła z naszej miejscowości.

Nieoczekiwanie ponownie w naszym mieszkaniu stanęli dwaj Rosjanie. Przeszukali pomieszczenie i znaleźli naszą kryjówkę w piecu. Uciekli z materiałami, które były przeznaczone na odzież na moją confirmację i zniknęli, poprzez ogród, w okopach wykopanych za domem. Ponieważ w tym czasie pładrowanie przez rosyjskich żołnierzy było już zabronione, Irma i ja kłębiliśmy za nimi jak szewcy. Jednakże piski dwóch małych dziewczynek nie zostały przez żołnierzy poważnie potraktowane.

Pewnego dnia u swojego brata, dziadka Franka, pojawiła się ciocia Miner. Również i ona była bardzo wynędzniała. Przepędzona z Hinterpommern (Pomorza Tylnego), zmarł jej mąż, syn zaginął bez wieści. Była nieżyłowa, naiwna i ponad miarę nieufna, w dodatku całkowicie zaszczona. Matka nie chciała, żeby robactwo nas zjadło i chciała wyprać rzeczy cioci Miner. Tamta wzbraniała się zdjąć odzież, którą miała na sobie. Dopiero kiedy matka powiedziała, że nie będzie mogła zostać, oddała swoje ubranie.

Z powodu wszy mama prała cały dzień rzeczy cioci Miner, a łzy płynęły jej strumieniami. Musiałam przeprosować szwy. Ponieważ nie było prądu, musiałam do tego użyć starego wybrakowanego żelazka. Podgrzewało się je węglem drzewnym, który wrzucałam do przewidzianego

nego do tego miejsca i bujałam w tę i z powrotem przed drzwiami domu, aby się rozgrzało równomiernie.

Odra była dla wielu rzeką przeznaczenia. Kto miał swój dom po wschodniej stronie Odry, temu Polacy utrudniali powrót. Wielu ludzi zatrzymywało się po naszej stronie w nadziei, że będą mogli wrócić w swoje rodzinne strony.

Egon, siostrzeniec matki wyładował u dziadka Franka po służbie wojskowej w Urzędzie Pracy Rzeszy. Miał nadzieję, że znajdzie swoją rodzinę. Rosjanie odcięli w naszym domu prąd. Obok naszego budynku stały jeszcze dwa zamieszkałe przez nich domy osiedleńcze, które miały światło. W potajemnej akcji Egon przyłączył nas z powrotem do obwodu elektrycznego, ponieważ miał wykształcenie w zawodzie elektryka. Pomieszczenia rozbłysły jeszcze nigdy nie widzianym blaskiem. Cieszyliśmy się strasznie i świeciliśmy światło na wyścigi. Jednakże po krótkim czasie jedna żarówka po drugiej, przepaliły się.

W związku z narastającymi nocnymi niepokojami kuzyn mamy, Julius, pomógł nam położyć kres włamaniom i to w dosłownym znaczeniu. Każdego wieczora przykręcaliliśmy teraz grube deski od wewnętrznej strony okien i barykadowaliśmy potężnym rygłem żelaznym drzwi wejściowe. Mimo tej barykady, czuliśmy się lepiej, kiedy mogliśmy spędzać denerwujące noce tych niepewnych czasów wspólnie z innymi mieszkańcami.

Bliskość innych dawała nam poczucie siły. Także ciocia Klara, siostra ojca, ze swoim mężem Ottonem zatrzymali się na kilka tygodni u nas. Uciekli oni do Mecklenburg (Meklemburgii) i chcieli wrócić do Augustwalde (Wielgowa) przy Altdamm (Dąbiu), ale Polacy na to nie pozwalali. Chcieli więc odczekać. Jedyna krowa dziadka Franka żywiła nas wszystkich.

Nadal nie było normalnych relacji międzyludzkich. Żyliśmy jak w tyglu. Marianne Dobbert zmarła na dyfteryt. Pani Brandt została rozstrzelana przez Rosjan.

We wsi zdarzyło się jeszcze inne nieszczęście: kilku chłopców chciało stwierdzić, czy w starym zbiorniku na benzynę zostały jeszcze resztki benzyny. Zapalili zapałkę i doszło do eksplozji. Jeden z moich kolegów z klasy zmarł od poparzeń.

Pani Radünz i jej dzieci zachorowali na tyfus. Dla rodziców pani Radünz było to trudne. Mama odwiedzała ich codziennie i pomagała się nimi opiekować. Nie było lekarza w naszej miejscowości, tylko czasami przyjeżdżała pielęgniarka. Oni tak mocno zachorowali, że liczyli się z najgorszym. Matka zawsze na te odwiedziny zmieniała odzież, nigdy nie mogłam z nią iść. Po kilku tygodniach zobaczyłam swoją koleżankę od dziecięcych zabaw, Irmę, z okna pokoju. Byłam przerażona. Ona - tak samo jak jej matka - straciła włosy! Na szczęście wyzdrowiała i jej duma - jej loki odrosły.

Pewnego wieczoru szliśmy od dziadka Franka do domu. Ciemne chmury zbierały się na niebie. Nad lasem błyskało się, w dali grzmiało. Przed nami szła mała dziewczynka. Nagle promień ognia uderzył o ulicę i mała zakrzyczała o litość Boga. Stanęła na zerwanym przez piorun przewodzie elektrycznym. Przytomnie zareagował Hubert Schulz. Złapał deskę drewnianą, wyciągnął ją w kierunku dziecka i nakazał, żeby się chwyciła. Za pomocą tej deski odciągnął dziewczynkę od kabla i uniemożliwił najgorsze.

Kiedy krążyła wiadomość, że wkrótce zaczną się zajęcia szkolne, wielu mieszkańców sądziło, że stosunki teraz się unormują. Chodziłam na lekcje w domu nauczyciela Roberta Brohma. Klasa była skromnie urządzona. Wiele roczników uczyło się teraz razem. Podczas lekcji, z powodu przejmującego zimna, nie zdejmowaliśmy kurtek ani płaszczy. Na przerwach uczniowie harcowali na małym trójkątnym podwórku szkolnym.

We wsi, w budynku szkoły, który został mocno uszkodzony z jednej strony przez bomby w Zielone Świątki 1944 r., uczyli nauczyciele: Gustav Wiedenhöft, Elsbeth Ebert oraz Erhard Gentsch. Dwie ostatnie osoby były tylko kilka lat starsze niż uczniowie, którzy przed nimi siedzieli.

Z materiału lekcyjnego prawie nic nie zapamiętałam. Było mi obojętnie, czy słowo Blume pisze się z „h“ czy nie i czy „się” pomyliłam czy „sobie”. Nieważne! Rosjanie mylili także słowa „mój” i „twój”.

Lekcja? Nie słuchałam, ponieważ wewnątrz miałam do rozwiązania całkiem inne problemy. Na przykład: jak musiałam się przezwyciężyć przy moim bohaterskim czynie wczoraj: w czasie obchodu na posadzce stajni znaleźliśmy pod sianem zardzewiałą strzelbę z pierwszej wojny światowej. Nieważne, czy można było z niej strzelać czy nie, broń to broń, za posiadanie broni była kara śmierci. Byliśmy zszokowani. Musieliśmy się jej pozbyć. Mama zawięta strzelbę w worek. Przeczogłałam się z Irmą przez tył ogrodu wzdłuż dróżki, na trawniku przez pole i wrzuciłam znaleźisko do rowu, który był do połowy wypełniony wodą. Nikt nas nie obserwował. Dzisiaj serce bije mi znowu normalnie.

O wiele ciekawsi niż lekcje byli Rosjanie, którzy teraz należeli do wizerunku wsi. Obserwowałam ich dyskretnie, jak gdyby byli ludźmi z innej planety. Uniformy wyglądały jednakowo, ale twarze żołnierzy były różne. Niektóre były bliznowate, inne skośnookie. Pachnieli także różnie: potem, skórą, czosnkiem i machorką. Porozumiewali się w innym języku. Wydawało nam się to cudem, że nie połamały im się języki od tych wielu syczących rosyjskich dźwięków. Kiedy śpiewali, drżała dusza. Wyczuwaliśmy nostalgię, tęsknotę, które zawierały się w ich piosenkach.

To, co obce zniknęło, kiedy stwierdziliśmy, że nie potrafili jeździć na rowerze i musieli się w tym ćwiczyć. Ciągłe jeździli po wielkim łuku wokół Dębu Pokoju. To, że Rosjanie nie umieli się obchodzić z rowerem, uważaliśmy za dziwne, w końcu byli to już dorośli ludzie. Jednakże, kiedy pewnego dnia pokazali się w pidżamach i to za jasnego dnia, to było już śmieszne. Jednak jako okupanci wzbudzali w nas wystarczająco dużo respektu.

Dąb Pokoju. Pokój – to brzmi jak magiczne słowo. Nagle pojęcie Dąb Pokoju wzbudziło moje zainteresowanie. Kiedy został zasadzony i dlaczego? Mama wyjaśniła mi to tak:

Kiedy Napoleon III zawarł pokój z Niemcami, po sporach wojennych, mieszkańcy Jasenitz (Jasienicy) zasadzili w środku wsi dąb jako symbol siły. Dla mnie to całą wieczność temu. Mogę sobie wyobrazić już stare zdjęcia, na których uwidoczniło stowarzyszenia i mieszkańców wsi, gromadzących się przy Dębnie Pokoju, aby rozpocząć przemarsz.

Ale naprawdę znalazłam to miejsce przy Dębnie Pokoju jako wesołe miasteczko. Kiedy na trójkątnej powierzchni zostały ustawione wozy cyrkowe - stałam z innymi dziećmi jak zaczarowana w tym fascynującym świecie. Każda karuzela odgrywała głośno swoją własną muzykę. Tam, gdzie tony mieszały się na pograniczu z melodiami katarynek innych artystów, powstawały nowe oczekiwania. Co ma do zaferowania sąsiednia buda? Drząc zbliżaliśmy się do następnego obszaru. Bywało, że mogliśmy obracać małą karuzelę w kółko. Za kilka kursów pehania karuzeli, była jedna runda za darmo. Już na długo przedtem umawialiśmy się, czy chcemy wsiąść na konia, na łabędzia czy do powozu.

Jeszcze bardziej ekscytująca była karuzela łańcuchowa. Piszczeliśmy, kiedy lecieliśmy w powietrze. To uczucie zostało jednak przebite przez huśtawkę pneumatyczną! Kiedy znajdowaliśmy się na huśtawce u góry, zmieniało się spojrzenie na wesołe miasteczko. Znajdowaliśmy się nad koroną kasztanów, ludzie wydawali się jak nieprawdziwi. Kiedy pędziliśmy w dół, pojawiała się uczucie mdłości w żołądku, ale szybko zastępowało je znowu poczucie szczęścia.

W środku tego szczęścia stał Dąb Pokoju. Od 74 lat rósł, rozszerzał się i stawiał czoło każdej pogodzie. Cóż miałyby do opowiedzenia w swoim zaawansowanym wieku?

Nikt nie mógłby sobie wcześniej wyobrazić, że teraz Rosjanie będą próbowali swojej sztuki jazdy dookoła niego.

O pierwszej wojnie światowej miałam tylko blade wyobrażenia. Ojciec opowiadał raz, jak stał kiedyś z innymi niemieckimi żołnierzami na pewnej górze i widział leżące w dole miasto Jerusaleń. To brzmiało raczej jak opowieść przygodowa. Kiedy starzy ludzie sobie wspominali, opowiadali, że nie zapiekali kartofli z tłuszczem, lecz z kawą zbożową. Ale oni mieli przynajmniej kartofle! I jeszcze bardziej wstecz?

Na filmie widzieliśmy walczących ludzi przeciwko ludziom. Stali oni naprzeciwko swojego wroga oko w oko. Poza tym temat wojny nie interesował mnie w szkole w najmniejszym stopniu. Przedmiot historii został mi całkowicie zobrzydzony poprzez naukę dat na pamięć.

Ponieważ już dawno nie słyszeliśmy o tacie, w jakiś sposób ciążyło to nam. Pan Rose, także mieszkaniec Jasenitz (Jasienicy), stacjonował w pobliżu pozycji taty i został zwolniony z obozu jenieckiego. Opowiadał, że widział tatę, jak leżał w rowie przy szosie mocno krwawiąc, kiedy jego oddział wycofywał się. Kto wie, może jeszcze żyje - dodał.

Kiedy w połowie marca 1946 roku przyszedłam do domu ze szkoły, zauważyłam, że w kuchni było jakoś inaczej niż zwykle. Zobaczyłam, że w pokoju siedzi tata. Ucieszyłam się bardzo, jednakże on był zupełnie dla mnie obcy. Jego lewa ręka była niespodziewanie sztywna. Nie ważyłam się na nią więcej spojrzeć. Objęliśmy się i płakaliśmy. Powoli mijało we mnie napięcie i cieszyłam się, byłam szczęśliwa, że ojciec znowu był w domu. W pierwszych dniach mało mówił. Dopiero stopniowo zaczął opowiadać o swoich strasznych przeżyciach z ostatnich tygodni wojny. Sześć dni był w drodze z kolumną szpitala polowego na południe od Stettin (Szczecińska) aż do Schleswig-Holstein. W tym czasie tylko raz zmieniono mu opatrunek na ramieniu. W wagonie strasznie śmierdziało. Ojciec powiedział, że nie liczył na uratowanie ręki, bo ropa kapiała już przez grubą opaskę. Mimo to miał wielkie szczęście, że rany się zaleczyły.

Zobaczyłam ramię dopiero wiele tygodni później, kiedy ojciec się mył. Patrzyłam ukradkiem. Całkiem niezłe rozszarpany ten łokieć! Odkryłam trzy wielkie wżery i zaczęłam jeszcze bardziej niż dotychczas nienawidzić wojny.

Dobrowolnie poszłam z Ilsa Schauer pracować do Rosjan. Przy Wittenbergstraße zajęli oni kilka domów. Tam ścierałyśmy stoły i czyściłyśmy podłogę. Jako rekompensatę kradłyśmy czerwoną sól dla bydła, która zawsze stała na stołach w dużych ilościach. W domu nasze jedzenie bez soli smakowało mizernie.

To była piękna, ciepła niedziela. Ojciec i ja zbijaliśmy skrzynki. Jakże nienawidziłam tej pracy! I to w dodatku w niedzielę! Byłam szczęśliwa, kiedy pojawiła się u nas Ilsa Schauer. Zapytała, czy nie poszłabym z nią do Königfelde (Niekłóńczycy), to było o dwie wsie dalej. Tam po południu odbywały się potańcówki dla młodzieży. Tata nie chciał mi pozwolić pójść. Kiedy mama ujęła się za mną, w końcu się zgodził i zażądał: „Ale kiedy się zrobi ciemno, będziesz z powrotem w domu!“ Przynęłam wszystko i pospieszyłam z Ilsa szczęśliwa, że mogę uciec od swojej smętnej pracy. Aby sobie skrócić długą drogę, biegłyśmy wzdłuż linii kolejowej. Tematem rozmowy był tylko i wyłącznie taniec. Jak tam będzie, czy ktoś nas poprosi do tańca? Wyznałam, że jeszcze nigdy nie tańczyłam. Ale miałam dopiero trzynaście lat.

Przy omawianiu garderoby marzyłyśmy o nowych sukniach, które częściej było widać u dziewcząt z Jasenitz (Jasienicy). Dla nas były one niesamowicie piękne. W sprawach materiału chodziło o kraciaste tkaniny tapicerskie pozostałe z zapasów niemieckiego Wehrmachtu. Matki potrafiły z tego uszyć ładne sukienki. Żadna nie była podobna do drugiej.

Zliczyłyśmy je: Z lamówkami, przymarszczone, z bufiastymi rękawami, z rozszerzanymi rękawami, pięknymi wstawkami i innymi finezyjnymi elementami. Elementy garderoby, w których wzory karo przebiegały ukośnie, uważałyśmy za najpiękniejsze. A co miałyśmy na sobie? Nieistotne, byłam tak przejęta z powodu tej przygody, która na nas czekała.

W Königsfelde (Niekłóńczycy) już z daleka słyszałyśmy muzykę i zniknęłyśmy jak najszybciej w sali. Nieśmiało zajęłyśmy miejsce na ławce, która stała z tyłu przy ścianie. Nie posiedziałyśmy sobie. Ilsa została poproszona przez jakiegoś chłopaka do tańca. Potem już nie przepuściła żadnego tańca. Kiedy wreszcie po godzinie mnie też ktoś poprosił, następowaliśmy sobie nawzajem na stopy. Tancerz nie pojawił się więcej, a innych brakowało. Zaczynało się ściemniać.

- Ilsa musimy już wracać do domu!

- Tak, jeszcze tylko jeden taniec.

Potem nadeszła burza.

- Pójdę dopiero, kiedy burza minie - oświadczyła Ilsa. Po chwili burza przeszła bokiem, ale na zewnątrz było już całkowicie ciemno.

- Ilsa, burza minęła.

- Teraz pójdę, kiedy wszyscy pójdą.

Ta uwaga brzmiała dosyć zdecydowanie. No i teraz stałam tam sama. Nie, siedziałam jak powój na ławce, zmęczona i przygnębiona strachem przed karą. Obawiałam się także sama iść do domu. Musiałam iść przez Damuster (Dębostrow), koło cmentarza i koło domów, które były zajęte przez rosyjskich żołnierzy. Nie, to nie wchodziło w rachubę. Zostałam więc w sali tanecznej i czekałam na Ilsę. Dla mnie była to strasznie nudna noc. Jakże byłam szczęśliwa, kiedy około drugiej w nocy zagrano ostatni taniec. Potem całą grupą młodych ludzi poszliśmy w kierunku Jasenitz (Jasienicy). Gdybym nie miała takiego strachu przed powrotem do domu, długa droga byłaby całkiem wesoła, ponieważ wszyscy radośnie śpiewali. Było jeszcze ciemno, kiedy dotarliśmy pod mieszkanie Ilsy. Miałam pięć minut drogi do domu. Po drodze znajdowały się domy zajęte przez rosyjskich żołnierzy. Ilsa powiedziała, że mogą u niej spać. Było mi już całkiem obojętnie i weszłam z nią na górę. Zdziwiłam się, że jej matka w ogóle nie wyzywała, bo Ilsa nie była wiele starsza niż ja. Położyłyśmy się obie do łóżka. Prawie wcale nie spałam. Około szóstej uciekłam stamtąd.

Z powodu nocnych kradzieży płoty i drzwi były zaryglowane, tak że musiałam wejść do domu przez płot. Kiedy byłam właśnie na płocie, dziadek Rusch wyszedł przed drzwi domu, zobaczył mnie i powiedział: „Da, dat junge Ding drifft (treibt) sich ok all rüm!” [Ta smarkula wszędzie się pcha.] Matka była w kuchni i słyszała słowa sąsiada. Natychmiast pojawił się ojciec i się zaczęło: „Skąd przyszedłeś? Czy nie powinnaś być w domu, jak się zrobiło ciemno?” Broniłam się żałośnie, jak tylko się dało.

Kary nie zapomnę do końca mojego życia: każdego wieczora musiałam kłaść się najpóźniej o 19.30 do łóżka. Ponieważ w tym czasie zegarki były nastawione na czas moskiewski, w rzeczywistości była to 17.30 i latem jeszcze pięknie świeciło słońce. Najmniejsze dzieci bawiły się na zewnątrz, ale mój ojciec był nieubłagany. W ten sposób wylałam sporo łez w łóżku. Gdyby ten wieczorek taneczny był przynajmniej piękny!

Dzisiaj wiem naturalnie, że moi rodzice mieli za sobą fatalną noc.

W następnych tygodniach coraz częściej potwierdzało się, że mamy opuścić nasze tereny. W Pölitz (Policach) osiedliło się w międzyczasie wielu Polaków, przyszłych mieszkańców tego terytorium. Czarny rynek kwitł wszędzie w kraju, handlowano na ulicach i w korytarzach domów. Niemcy wymieniali wszystkie możliwe rzeczy na artykuły spożywcze.

W naszym mieszkaniu pojawiła się pewnego dnia Polka i zaofiarowała nam 500 g tłustej słoniny. W zamian chciała lalkę. W ten sposób moja jedyna i ulubiona lalka zmieniła właściciela; naturalnie nie bawiłam się już lalkami, ale rozłąka z moją zabawką sprawiła mimo to ból. Smutna przyglądałam się, jak lalka zniknęła w wielkiej torbie kobiety. Poczulałam się tak, jakby ukradła mi moje dzieciństwo.“

Ernst-August Gehrke (*1930) - Neubrandenburg

Inną historię usłyszeliśmy od Ernsta-Augusta. Opowiada on:

„Nasza czwórka: Klaus, Gerhard, Hans-Joachim i ja, staliśmy na dworcu w Pölitz (Policach) po zwolnieniu z KLV-Lager dla dzieci. W kierunku Ziegenort (Trzebieży) nie jechał żaden pociąg. Szliśmy więc ciągle wzdłuż nasypu kolejowego do obozu Tobruk i dalej szosą do Duchow (Duchowa). Tu mieszkał Hans-Joachim, który nas opuścił.

Po drodze myśleliśmy przeważnie o tym, czy nasi są w domu, ponieważ od miesięcy nie mieliśmy żadnych znaków życia o sobie nawzajem, gdyż przebywaliśmy w KLV-Lager dla dzieci. Mimo to wojna nas nie ominęła. Co tam zastaniemy? Z tym pytaniem los skonfrontował nas już w Duchow (Duchowie), ponieważ z daleka nie pozdrowiał nas imponującą wieżą młyn Steffena. Tam, gdzie stał dawniej budynek, spoglądały na nas jedynie zgliszcza. Także willa Steffena w zadbanym dawniej parku była jedynie zakurzona ruina, a zamiast żelaznego niegdyś mostu był teraz jakiś z drewna.

Całkowicie zaskoczeni widzieliśmy, jak rektor Gustav Wiedenhöft, nauczyciele Robert Brohm i Martin Gätke w grupie byłych członków partii naszej wsi, pod strażą wojskowych, zajmowali się uprzążaniem gruzu. Pozdrowiliśmy ich ukradkiem. Nic więcej nie rozumieliśmy. Ponowny widok tych ludzi w tak niegodnych warunkach, wychudzonych i wymizerowanych, był dla nas przytłaczający. Ale czy my wyglądaliśmy inaczej? Nasze ubrania też zwisały na ciele.

Kiedy uszliśmy jeszcze parę kroków w kierunku stacji paliwowej Telsterow, wyprzedziło nas z tyłu kilka rosyjskich zaprzęgów konnych. Jechały z tartaku, odwoziły dłużycę i miały przywieźć nowe drewno. Wystąpiłem do nich i zapytałem, dokąd jadą i czy możemy zabrać się z nimi. Ku naszej radości mogliśmy wsiąść. Gerhard opuścił nas przy Dębic Pokoju, aby udać się do swojego miejsca zamieszkania. Mój brat Klaus i ja pojechaliśmy do Damuster (Dębostrowa). Wyskoczyliśmy przy naszym domku. Byliśmy niesamowicie podekscytowani!

Przed furtką rzuciliśmy najpierw krytyczne spojrzenie na naszą posiadłość. Krytyczne i nieufne dlatego, że zapamiętany przez nas wcześniej widok wydawał się jakoś obcy. Zielone jeszcze ciągle okiennice były zamknięte. Między wychodkiem a szopą stał teraz wysoki płot z desek, który nie pozwalał ujrzeć pola. Szopa, pralnia i stajnia były zamknięte. Wszystko wyglądało jak opuszczone, żadnego śladu życia. Nasz szok był kompletny, kiedy na środku podwórka ujrzeliśmy leżącą wyciętą ze sklejki, pomalowaną na czerwono sowiecką gwiazdę. Wtedy coś się w nas przełamało. Gapiliśmy się zmieszani na siebie i nie wiedzieliśmy, co dalej począć.

Jednak potem obudziła się znowu chęć, aby nie zadowalać się tym, że nie ma tu nikogo więcej. Chciałem pewności, licząc się z niebezpieczeństwem, że spotkam coś niewiadomego i złego. Otworzyłem furtkę w płocie na pole. Ale także za nią nie było Rosjan ani czegoś przerażającego. Widzieliśmy jedynie domy, zabudowania i chcieliśmy udać się tam do cioci Liesbeth.

Przed nami rozciągała się nie tylko rozbudowana część wsi, lecz także pole żyta Golnowa, na którym jeszcze zielone źdźbła wypuszczały już pierwsze kłosa. Zanotowaliśmy 4 czerwca 1945 roku. Nagle zauważyliśmy jakąś postać, która właśnie się wyprostowała, miała przed sobą coś bezkształtnego, co okazało się skrzynką na amunicję ustawioną w poprzek na taczce. To była nasza matka, która odstawiała taczkę. Obok niej zauważyliśmy dwie główki, nasze siostry Anni i

Buni, wystające właśnie ponad łąn. To Buni zawołała zaskoczona: „Mamo, popatrz, kto tam stoi!“ Był to chyba najszcześliwszy moment od lat - znaleźć wszystkich w dobrym zdrowiu. Dotyczyło to także Achima, który siedział za skrzynką na tacze. Serca wszystkim mocniej zabiły, zarzucaliśmy się pytaniami. Uniosłem taczkę i zawiozłem ją w utrzymującym się radosnym hałasie na podwórko.

Od mamy dowiedzieliśmy się, że na posadzce stajni leży już wiele takich ułożonych w stopy skrzynek z dobrego drewna sosnowego, które po rozłożeniu przydadzą się świetnie na ściany z desek. Za bardzo ich szkoda na spalenie. W tym celu zresztą nie były pomyślane, ponieważ chcieliśmy później jeszcze wykończyć dom. Jednak największą troską matki był w pierwszej kolejności nasz zmarniały wygląd. Jak gdyby weszło światło, kiedy dowiedzieliśmy się, że zrobiła przetopione masło, przywiezione z uchodźstwa jako margaryna. Było teraz roztopione, aby uczynić je trwałszym.

Mieliśmy dostać placki ziemniaczane, chciała nas znowu utuczyć. Niedługo potem na stole w pralni stały pachnące placki, które polykaliśmy z wilczym głodem. Zmęczyłem się. Świeżo wykąpany - wycofałem się. Po długiej przerwie mogłem wypaść się znowu w normalnym łóżku. A Klaus? Kiedy wstałem znowu głodny po dwudziestu czterech godzinach, zastałem Klause bardzo chorego. •le zniósł placki. Dwa dni się kurował. Mama przygotowywała kleik owsiany i gorzką herbatę dla niego. Rozpieszczała nas, jak się dało.

Bardzo nas męczyło pytanie, co wie o naszym ojcu. Ostatnio był prawdopodobnie w kotlinie w Kurlandii. Nie wiedziała jednak, co odpowiedzieć, wierzyła jedynie, że ojciec żyje, jak my. Z upływem czasu nasza wiara zaczęła się jednak chwiać i słyszałem czasem w nocy, jak matka cicho płacze. Aby ją rozweselić, wpadłem na pewien pomysł. Było przecież wystarczająco dużo czarów, na przykład zawieszenie obrączki na cienkiej nitce nad Biblią, aby zapytać o los ojca. Kiedy Biblia wskazywała pomyślnie rozwiązanie, to obrączka miała się wychylać. Mama musiała pytać księżę, a ja miałem całkiem spokojnie trzymać sznurek. Wszystkie oczy były zwrócone na pierścionek. Nikt więc nie zauważał, jak przez wolne pocieranie opuszków palców wprowadzałem pierścionek w drganie i wahanie, co wywoływało wielką radość.

Także Klaus miał odgrywać w przyszłości wyrocznię. Wspólnie utrzymywaliśmy przez pewien czas matkę w przekonaniu, że ojciec jeszcze żyje. Razem z ciocią Gertrud i Liesbeth wróżyliśmy z fusów od kawy.

W międzyczasie zgłosiłem się z Klausem w urządzie gminy, bo mieliśmy otrzymać kartki na żywność, na które zazwyczaj nie dostawało się tego, co było na nich napisane, ponieważ nic nie było. Tylko jedno mieliśmy od naszego przybycia: pięć litrów mleka dziennie. Rosjanie wydawali na każde dziecko jeden litr. Pod koniec tygodnia mogliśmy robić masło, a kluski zacierane czy zupa z zacierkami nie musiały już gotować się na wodzie.

Pewnego dnia skarżyłem się na nasilające się swędzenie skóry. Miałem parchy, których ciągle przybywało od łydek aż do bioder. Mama próbowała wszystkiego. Roztwór i maść od doktora także nie pomagały. Od jakiejś zielarki mama dostała poradę, aby sadzać mnie każdego dnia w słońcu i naprawdę przypiekać. Stopniowe zasychanie ran zostało osiągnięte. Pozostały jedynie blizny. W miejscach tych nie odrastały włosy. Po trzech tygodniach wszystko minęło.

W owym czasie przyfrunęło do domu także wezwanie, że mam zgłosić się do zakładu budowlanego Knuth. Od tego zaczęło się moje życie zawodowe.

Do moich zadań należało uprzątnięcie rowów na łąkach koło Aalbach (Gunicy), uporządkowanie jazów w kierunku rowu rzeki i wymiana rur drenażowych. Mieliśmy rozebrać ruiny willi Steffena i oczyścić cegły. Achim Maylan, syn naszego lekarza i ja siedzieliśmy w siodle całkiem

u góry i rzucaliśmy oderwane cegły przez mur. Bez zabezpieczeń przed wypadkiem. Pomocnikiem budowlanym byłem przez około miesiąc.

Pewnego dnia musiałem udać się do komendantury i zostałem tam przydzielony do pracy w tzw. KONI-Parku, gdzie zgromadzono całe zarządzane przez Rosjan bydło. Zaliczały się do tego także konie, które wcześniej należały do naszych gospodarzy. Majątkiem najwyższej dumy były jednak: 436 krów mlecznych, kilka młodych byków i dwa wielkie bułane woły. Wszystko było rekwirowane dla matki Rosji, niezależnie od tego, że chodziło jednocześnie także o źródło naszej dziennej racji mleka.

Powierzono mi żółtego kundla, który był prawie tak duży, jak pies pasterski. Miałem zwać go Dschullbas. Zaznaczono, że zna się na ochranianiu bydła. Przyplątał się gdzieś po drodze do Rosjan. Był wiernym zwierzakiem, od razu zaakceptował mnie jako swojego pana i prawie mnie nie odstępował. I już miałem zajęcie jako pasterz z innymi dziećmi z sąsiedztwa. Do naszej grupy należał jeszcze 85-letni pan Giesebrecht, postawny marynarz z żeglugi chrześcijańskiej, który miał jeszcze włosy czarne jak smoła, czytał bez okularów i poruszał się jak młodzik. Nie byłem przyzwyczajony do pracy zmianowej, ale po kilku dniach przywykłem.

Codziennie byliśmy instruowani rozkazami przed rozpoczęciem pracy. „Nigdy nie zostawiać stada samego, nie wypijać mleka, unikać ucieczki krów, nie dopuszczać obcych, zapędzać krowy punktualnie w południe i o szóstej wieczorem do przygotowanych zagród na dojenie”. Wszystkie prace były kontrolowane przez ludzi z komendantury. Nie mieliśmy też żadnego powodu, aby nie trzymać się reguł, przecież wynagradzano nas w postaci ważnych dla życia produktów naturalnych. Godziliśmy się na to.

Jedno, do czego się nie stosowaliśmy, to nie pić mleka. Szybko znaleźliśmy krowy, które dawały się nam wydoić. Wkrótce zorganizowaliśmy mały ciemnoczerwony garnek i uczyliśmy się go napełniać kucając, kiedy inni musieli nas ubezpieczać, patrząc czy nie nadchodzi kontrola. Jako kontrolerzy pojawiali się zawsze tylko młodzi chłopcy, którzy dali radę nosić broń, w niektóre dni także żołnierze. Po tygodniu przyszedł tylko Piotr, lnianowłosey chłopak z piegami, miły gość, przyjazny, z otwartą twarzą. Zaprzyjaźniliśmy się wkrótce, przy czym używałem mojego dotąd przyswojonego słownictwa rosyjskiego i szybko nauczyłem się nowego. Za to Piotr uczył się słów niemieckich. Był bardzo pojętny. Piotr wniósł jednak jeszcze coś, co nas bardziej związało. Miał on K 98, niemiecki karabin, na pewno zdobyczny, z którego był bardzo dumny. Jednakże nie miał on pojęcia, jak się go rozbiera i pielęgnuje. Za to ja - w KLV-Lager - co za absurd! - poznałem taką broń gruntownie. Mogłem teraz użyć tej wiedzy i ją komuś przekazać. Rozłożyłem karabin na części pierwsze. Nic nie dzieliło niemieckiego chłopca i byłego wroga, czy też odwrotnie. Najpierw się dziwił i ponownie musiałem zapewniać, że nigdy nie byłem żołnierzem.

Kilka dni później Piotr przyniósł przybory, których potrzebowałem, aby również wyczyścić karabin. To była szmatka do czyszczenia, prawdziwe knoty do czyszczenia ze starym łańcuszkiem i oliwą do broni. Więc wyczyściłem karabin, który nigdy nie był załadowany. Było to raczej zadośćuczynienie, że wolno mi było ją nosić. Naboje grzechotały luzem w kieszeni spodni. To było już osobliwe poświęcenie: rozłożyć wokół siebie na szmatce części karabinu, podczas gdy Piotr, który odgrywał chłopca od krów, robił rundki z Dschullbasem.

Naturalnie nie trzeba było czekać, że pewnego razu Piotr też zechce strzelać z karabinu. Za cel wynalazł sobie bociany, które masowo wpadały na łąki przy Papenwasser (Roztoce Odrzańskie). Ochrona przyrody była wówczas pojęciem nieznanym. Za każdym razem szliśmy sobie, zostawiając na jego zarządzenie krowy innym. Zajmowaliśmy pozycje i czekaliśmy, aż kilka bocianów zbliży się na odległość strzału. Potem Piotr strzelał. Dźwięk strzału potężnie przestraszył nas obu. Bociany jednak wzbijały się na chwilę i osiadały ponownie. Pocisk gdzieś lądował.

Patrzyliśmy na siebie i śmialiśmy się. Potem ja miałem strzelać. Czyli: przeładować, przyłożyć karabin, celować przez szczerbinę i muszkę, znaleźć punkt naciśnięcia i wtedy nacisnąć. Przy tym wszystkim zapomniałem, aby nakierować na cel. Obaj tarzaliśmy się ze śmiechu, a bociany, które miały już chyba wojenne doświadczenie, wycofały się na bezpieczną odległość. Próbowaliśmy szczęścia jeszcze przez kilka dni. Piotr nie trafiał, a ja chybiałem umyślnie. Zwierzęta sprawiały mi ból, zwłaszcza wtedy, gdy Dschullbas patrzył na mnie swoimi wiernymi oczami, bo oczywiście łaził zawsze za nami, kiedy szliśmy przed siebie. Radość odczuwaliśmy tylko z głośnych wystrzałów.

Zapoznaliśmy już Piotra tak z naszymi zwyczajami, że pił „nasze”, samodzielnie wydojone mleko. Nie myślał o tym, by nas wydać. Był naszym najlepszym kumplem, chłopakiem, który przeżył wojnę, ale jej nie doświadczył, dobrym chłopakiem. Poznał także moją mamę i czuł się u nas jak w domu.

Nadeszło to, co musiało nadejść, zostałem ponownie wezwany do zastępcy komendanta. Mówił on wyłącznie po rosyjsku i zakładał, że go rozumiem. Przydzielono mi inne zadanie. Teraz musiałem opiekować się ciężarnymi kłaczkami i krowami na wielkim podwórku. W ten sposób za wstawiennictwem Piotra dostałem się na stanowisko, które wymagało mojej obecności jedynie za dnia.

Nie można tego było nazwać pracą, bo wkrótce byłem „dziewczyną od wszystkiego“ w zagrodzie. Umiałem już przeklinać jak Rosjanie, ale też wyrażać radość po rosyjsku i śpiewać wyuczone od Piotra piosenki. Byłem w pełni zintegrowany, jak zresztą inni Niemcy, umiałem się też do woli częstować jedzeniem i co nieco zabrać ze sobą.

Oni ufali mnie, jak ja im, a kiedy czasem wyjeżdżali powozem coś zorganizować, zawsze pomagałem. Musiałem rozmawiać z gospodyniami, ponieważ rzekomo chcieliśmy kupić masło i jaja, a w międzyczasie domniemani kupcy zabierali sobie tyle jaj z kurników, ile chcieli wypić, aby się wzmocnić. Czasami płacili także za kawałek masła, za jabłka i owoce. Zdarzyło się też, że poproszono mnie jako „pana Rosjanina”, abym powiedział współtowarzyszom, że nie ma nic do zabrania.

Sierpień miał się ku końcowi i coraz częściej powtarzały się pogłoski, że ktoś pójdzie wkrótce z krowami na wschód. Raczej nie cieszyłem się z „zaszczytu“ przyzwolenia na towarzyszenie temu transportowi. Dowiedziałem się 2 września. W niemieckiej obsadzie towarzyszącej zatrudniono starego Giesebrechta na brygadiera. Musieliśmy spakować plecak z bielizną na zmianę, przyborami toaletowymi i innymi rzeczami. Zainstalowaliśmy się na barce w jednym rogu. Dzień później na Aalbach (Gunicy) przeładowaliśmy krowy na przygotowane barki.

W tych dniach była wspaniała pogoda. Kiedy się spociliśmy, skakaliśmy bez namysłu do Aalbach (Gunicy), przepływaliśmy kilka rund i dalej do pracy. W międzyczasie posilaliśmy się zrobionym przez siebie masłem i pachnącym rosyjskim razowym chlebem. 6 września całe bydło było załadowane, także te krowy, które zawsze dawały radę znaleźć drogę do macierzystej obory.

Rejs czterech barek holowanych przebiegał spokojnie z Aalbach (Gunicy) do Papenwasser (Roztoki Odrzańskiej), potem w górę Odry, przez Stettin (Szczecin), koło Gartz i Schwedt, koło Alt Küstrinchen (Starego Kostrzynka) i Küstrin (Kostrzyna) aż do portu we Frankfurcie. Często zatrzymywano się, by zorganizować karmę i ściótkę, krowie łąjno wyrzucano po prostu za burtę. W porcie Frankfurt była stacja końcowa. Przyzwyczajaliśmy się do siebie nawzajem, Rosjanie i my.

Od kierownika transportu otrzymaliśmy różne dokumenty, wciśnięte do ręki. Papiery były wypełnione po rosyjsku, niemiecku i polsku, opatrzone wieloma czerwonymi pieczęciami. Nasze plecaki napełniono „produktami“.

Podstawiona wojskowa ciężarówka zawiozła nas do dworca w Angermünde, skąd dalej mieliśmy jechać pociągiem. Znajdowaliśmy się wprawdzie jeszcze pod opieką Rosjan, byliśmy jednak traktowani nie jako byli wrogowie, lecz sojusznicy, także dlatego, że już umiałem z nimi rozmawiać całkiem potocznie.

Do Pasewalk wszystko szło dobrze. Otwory okienne były przeważnie jeszcze zabite deskami, ale w wielu oknach już ich brakowało. Było jeszcze lato w pełni i bardzo gorąco.

Przedstawiliśmy nasze dokumenty w komendanturze w Pasewalk, które zobowiązywały każdą placówkę wojskową do dalszego transportu. Rosjanie dali sobie tam sporo czasu. Najpierw zostaliśmy tam zaprowiantowani i nie musieliśmy naruszać naszych racji, które znajdowały się jeszcze w plecaku. Następnego ranka zapakowaliśmy się ponownie na ciężarówkę, która wlokła się z nami przez okolicę. Jechaliśmy przez Torgelow, Eggesin, Ahlbeck i Hintersee. Na odcinku do Falkenwalde (Tanowa) dojechaliśmy w środku lasu do szlabanu, którego strzegli polscy żołnierze. Falkenwalde (Tanowo) było już polskie, leżący za nim tartak znajdował się w posiadaniu Rosjan. Tam zakończył się nasz przejazd. Rosjanie dogadywali się z Polakami, nie wiem o czym. Nagle na plac tartaku wtoczył się polski wojskowy samochód ciężarowy i mogliśmy zająć na nim miejsce. Nie jechał on jednak bezpośrednio w kierunku Pölitz (Polic), najpierw zatrzymał się jeszcze w majątku Falkenwalde (Tanowo). Tam musieliśmy okazać nasze dokumenty, które Polacy gruntownie studiowali i wypytywali nas potem o to, skąd i dokąd jedziemy. Chcieli się upewnić, że wydany nam rozkaz był prawdziwy. Jednak trudno im było pomóc nam Niemcom. Nasze plecaki zostały sprawdzone i tylko groźbom naszego brygadiera, aby zrozumieć Rosjan, należało zapewne przypisać, że Polacy dowiedzieli nas do fabryki benzyny, bo tam kończył się obszar ich wpływów. Pölitz (Police), podobnie jak Messenthin, Jesenitz, Königsfelde, Wilhelmsdorf i Ziegenort (Mścięcino, Jasienica, Niekłoczyca, Uniemyśl i Trzebież), były jeszcze w rękach sowieckich. Pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim zawarto umowę, że Polska nie może korzystać z tego terytorium aż do ostatecznego wywiezienia fabryki benzyny syntetycznej do Rosji.

Znowu przybyłem na stare kąty. Jednakże trochę się zmieniło. Nie było dużej dziennej racji mleka, smalcu, rosyjskiego chleba, masła, wszystko to zniknęło wraz z krowami. Teraz musieliśmy się zatroszczyć sami o siebie. Walka o codzienny kawałek chleba wyznaczała znowu nasz dzień powszedni. Chętnie wspominaliśmy ostatnie tygodnie i miesiące, w których w pewnym stopniu byliśmy zaopatrzeni. Teraz musieliśmy znaleźć znowu nowe źródła.

Jak miło było przynosić codziennie mleko od Schettera Wenera z Damuster (Dębostrowa). Droga tam była właściwie zawsze bezpieczna. Aż do pewnego zdarzenia, które musiało przytrafić się właśnie mnie.

Z pełną kanką szedłem ścieżką obok drogi do domu, przy pięknej słonecznej pogodzie. Na wysokości domu cioci Herty wyprzedził mnie powóz z trzema młodymi chłopakami. Jeden z nich nosił rosyjski mundur bez stopni, z pasem i pistoletem. Dał mi znak, abym oddał mu kankę, bo on chce się napić. Zachowałem się tak, jakbym nie rozumiał żądania. Wtedy jeden z nich, Niemiec z Ziegenort (Trzebieży), jak się potem dowiedziałem, powiedział: „Daj mi kankę! Jak będziesz zwlekał, on chwyci za broń!” Nic nie powiedziałem, odwróciłem się i poszedłem dalej. Ale zaraz pojazd pojawił się z boku. Iwan wymierzył pistolet w moją pierś i krzyknął: „Du mir geben trinken!” [Ty mi dać pić!] Oczywiście serce opadło mi do spodni, ale nie byłem gotów dać mu kanki. Powiedziałem sobie, że mnie nie rozstrzela, nie za dnia przy świadkach we wsi. Kiedy ujrzałem przed sobą gładką lufę, nie dalej niż 30 cm od mojej piersi, przypomniałem sobie, czego uczyliśmy się o pistolecie w KLV-Lager dla dzieci. Mianowicie kiedy w broni „08“ nabój znajduje się włożony do lufy, to powyżej trzonu zamka wyciągacz jest dociskany z góry na dół przez haczyk wyciągacza, że można z boku odczytać słowo GELADEN [załadowany]. Nie mo-

głem tego zrobić, bo stałem prostopadle do pistoletu, ale wyciągacz bym zauważył, gdyby był wyciągnięty do góry. Ale nie był, wszystko było gładkie. Pozostałem nieustraszony i poszedłem dalej. Przy domu sąsiadów Iwan znowu był koło mnie, ale o wiele miłszy i bardziej zaciekawiony. Zapytał: „Warum du hast keine Angst?“ [Dlaczego ty się nie bałeś?] Odpowiedziałem po rosyjsku, że najpierw chcę odnieść mleko i wskazałem na nasz dom. Został przed bramą i czekał, inni siedzieli cicho. Kiedy wróciłem, wyjąłem mu pistolet z ręki, wyciągnąłem zamek i pokazałem mu mały „sekret”. Iwan nieźle się zdziwił, pozostali też. Później spotykaliśmy się jeszcze często i pozdrawialiśmy jak dobrzy znajomi.

W wiosce Hammer (Drogoradz) polski porucznik Roman z Armii Krajowej Obywatelskiej¹, która reprezentowała byłych polskich wypędzonych, przejął gospodarstwo rolne. Nie miał jednak pojęcia o uprawie ziemi i hodowli bydła. Mama znalazła tam pracę, która sprawiała jej radość. Mogła zorganizować coś na boku i dostawała do tego dobrą zapłatę w postaci produktów żywnościowych. Roman poznawał stopniowo naszą całą rodzinę. Był nie tylko wykształcony, ale też przyjazny, miał dobre maniere i staranną wymowę, również w języku niemieckim.

Roman opowiadał o sobie, że po polskiej kapitulacji wyjechał do Anglii, mieszkał tam tak, jak rząd na uchodźstwie, w latach 1939-1945 i walczył w siłach powietrznych Air Force. Nie musiał doświadczać na własnym ciele tego, co Niemcy wyrządzili jego narodowi. Być może stąd brało się jego przyjazne Niemcom postępowanie, uważane w tamtym czasie przez Polaków za akt wrogości. Większość Polaków w zrozumiały sposób przepędziłaby Niemców najchętniej nie pokojowo, lecz z użyciem broni, aby się zemścić.

W tamtych dniach zostałem wezwany, aby zgłosić się w urządzie gminy. Tam zapytano mnie: „Czym najchętniej byś się zajmował?” - „Chętnie pracowałbym tu w urzędzie.” Na moje szczęście, bo właśnie poszukiwano pilnie niezawodnego posłańca. Obok pracy nam chłopcom we wsi zostawało jeszcze dość czasu, aby mieć go na własne upodobania, które w tamtym czasie po wojnie były trochę niecodzienne.

Nas, chłopców z okolicznych domów, magicznie przyciągało stanowisko działa przeciwlotniczego. Klaus i ja mieliśmy przez krótki czas możliwość zobaczyć je w akcji. To uczyniło nas jeszcze bardziej ciekawymi. Takie działo przeciwlotnicze było w pobliżu. Należało do całego systemu, do pierścienia ochrony wokół fabryki benzyny syntetycznej w Pölitz (Policach).

Były tam 4 baterie, to jest 16 dział przeciwlotniczych kalibru 12,8 cm zamocowanych osobno, inaczej niż działa przeciwlotnicze 8,8 cm zamontowane na cokole betonowym, wokół których nasypało się wysoki wał ochronny, w którym mieściło się schronienie dla obsługi i magazyn granatów. Kierowano nimi z centralnego stanowiska dowodzenia zgodnie z namiarem urządzenia radiolokacyjnego (radary wówczas jeszcze nie istniały) i odpalano jedno po drugim lub też jednocześnie (przeważnie jednak tylko jedną baterię).

Baterię uzupełniały 4 karabiny maszynowe przeciwlotnicze kalibru 2,5 cm z pociskami wybuchowymi (Vierlingsflak) do samoobrony i kilka lekkich karabinów maszynowych przeciwlotniczych. Niezrozumiałe dla nas było, dlaczego okupanci nie zatroszczyli się jeszcze o to stanowisko: cała amunicja dla dział, karabinów i lekkich karabinów maszynowych przeciwlotniczych była jeszcze na miejscu, z dział usunięte były jedynie zamki, zapewne przez odchodzących Niemców, którzy nie mieli już czasu, aby wysadzić to stanowisko. I te skarby znaleźliśmy my!

LOKI (przewisko nadane od boga ognia z mitologii germańskiej), nasz mistrz, szedł na czele, bo był starszy.

¹Armia Krajowa Obywatelska - formacja zbrojna polskiego podziemia antykomunistycznego, powstała na bazie struktur Armii Krajowej rozwiązanej w dniu 15 lutego 1945 r. z rozkazu ppłk. Władysława Liniarskiego „Mścislawa”, komendanta Okręgu Białystok AK.

Ależ to było emocjonujące! Uzbrojeni w młotek i przecinak kroczyliśmy ku granatom, luzowaliśmy w ten sposób trwałe pasowanie dział na tulei, zrobione z mosiądzu, wtedy pocisk, nieostry - wszystko to wiedział LOKI - odkładaliśmy na bok.

Potem zaczęliśmy wypakowywać tuleje, najpierw górne torebki z czarnym proszkiem, aby dostać się do pożądanego „Makkaroni“, prochu w formie pałeczek. Były to żółte pałeczki prochu, trochę grubsze niż ołówek, wyglądały jak makaron. To była nasza ulubiona zabawka - niebezpieczna zabawka!

LOKI zademonstrował nam, jak się z tym obchodzić: zapalić, położyć na ziemię, nadepnąć na drugi koniec i potem wypuścić, żeby pałeczka sycząc wypaliła jak rakieta i spadała gdzieś płonąca. To była uciecha! Uważaliśmy jednak, aby nie zapaliły się krzaki czy sucha trawa. Zawsze byliśmy szybko w miejscu uderzenia, bo chcieliśmy jeszcze długo bawić się ogniem i nikt nie miał nam tego zabronić. W domu w szopie piętrzyła się cała góra tych pałeczek, o czym mama nie miała pojęcia. Małe kawałki brałem nawet do zapalania ognia, do pralni.

Pięknie było także zasiąść na stanowisku celowniczym i kręcić nim na wózku obrotowym korbami ręcznymi, podnosić je i opuszczać. Wszystko jeszcze funkcjonowało. Wyjęto i zniszczono tylko elektrykę. Każdy z nas miał swoje działło i zależnie od fantazji zwalczaliśmy wymyślone maszyny.

Ale były jeszcze inne zabawy. W wale ochronnym obok betonowego cokołu zbieraliśmy w stos chrust, suchą trawę i krzaki, na to wrzucaliśmy pociski 2,5 cm i amunicję od karabinów maszynowych, ile tylko chcieliśmy. Potem do akcji wkraczał nasz bóg ognia LOKI. Zapalał stos palnych substancji, a my szliśmy za wał do kryjówek. Mijało kilka minut, aż ogień porządnie się rozpałił i spowodował pęknięcie pocisków. Wirowały dookoła i wybuchały z głośnym hukiem, z syczącymi i gwizdzącymi dźwiękami.

We wsi nie cieszyliśmy się oczywiście dobrą sławą, bo kiedy po drugiej stronie u Ebertów za domem dymiło się i huczało, to oznaczało, że LOKI ze swoimi kompanami był w akcji. To zapewniało nam, że nikt nie ważył się nam tego zabronić.

W ogóle nie przyszło nam na myśl, że igraliśmy z własnym życiem, czego można by już właściwie wymagać od 15- i 17-latków. Byliśmy już chyba za bardzo przyzwyczajeni do wojny i związanej z nią strzelaniny. Jednakże dziwiliśmy się, że nigdy nie zaskoczyli nas Rosjanie!

Innym wybrykiem, do którego zainspirował nas Päuler Dubberke, było lekkomyślne obchodzenie się z zapalnikami granatów ręcznych, które były trochę krótsze i węższe niż papierosy. Nosiliśmy je w kieszeniach spodni ze sobą i z zuchwałości kładliśmy je na tory kolejowe. To także traktowaliśmy jako zabawę, kiedy wagon, przejeżdżając przez nie, unosił się o kilka centymetrów i podróżni byli przerażeni, co obserwowaliśmy z bezpiecznej odległości z bocznego rowu.

Kiedy pomyśli się, że w tych otoczonych blachą zapalnikami znajdował się piorunian rtęci, w przypadku którego wystarczyłoby już najmniejsze uderzenie, aby wywołać detonację, to jeszcze teraz przez plecy przelatuje mi zimny dreszcz. Ale wszystko toczyło się dobrze! Działo to się również w wolnym czasie, bo LOKI, Reinhold D. i ja musieliśmy w końcu także chodzić do pracy. W mojej pracy, która nie w pełni mnie angażowała, w biurze, poczyniłem pierwsze doświadczenia z maszyną do pisania.

Poszukiwanie coraz to nowych źródeł żywności stało się naszym głównym zajęciem. Jesienią nadszedł czas na wykopki. Zagony ziemniaków były jednak strzeżone dzień i noc przez rolników i nie wiedzieliśmy, jak wyjść z tej opresji. Ale nasza mama już wyszpiegowała, które zagony o której godzinie nie były strzeżone i tam chodziliśmy: mama, Klaus, Bruni i ja, wiele razy. Nie czułem się z tym dobrze i zajmowałem chętniej pozycję na czatach.

Tak więc czasem nocą staraliśmy się o to, byśmy nie musieli umrzeć z głodu. Mama ujawniła jeszcze inne źródła, bo w międzyczasie okolica wokół nas stała się polska. W Traktacie Poczdamskim z roku 1945 nazywa się to: „oddana pod polską administrację“.

Nasze najbardziej pożywne zajęcia znaleźliśmy u piekarza Doera, którego piekarnia znajdowała się koło urzędu gminy. Wchodziliśmy z tyłu do piekarni, aby zorganizować jedną lub dwie świeże bułeczki i zniknąć w drodze powrotnej przez płot na stercie desek podłogowych sąsiada Paula Rutzena. Stolarz rzadko spoglądał na deski. W spokoju mogliśmy tam napełnić żołądek ciepłym pieczywem. Większą część „zdobyczy” zabieraliśmy jednak do domu.

Rozniosło się, że w Ziegenort (Trzebieży) są ryby do wzięcia, jeżeli damy rybakom coś w zamian. Ryba, to oznaczało przede wszystkim białko, którego nam brakowało, odkąd nie było dopływu mleka. Po naszym powrocie z uchodźstwa wykopaliśmy już skrzynki na podwórku, w których ukryte były naczynia i bielizna przed nadciągającymi Rosjanami. Ze skrzynką zakopaną na ugorze czekaliśmy jednak jeszcze trochę, bo w niej tkwiło srebrne popiersie Hitlera z dedykacją dla króla strzelców 1938. Królem strzelców owego roku był nasz ojciec, a jego imię było w sposób widoczny umieszczone na popiersiu. Chcieliśmy najpierw coś wymyślić, jak możemy ukryć skrzynkę, nie zostawiając śladów.

Po prawie każdej wyprawie wracaliśmy z rybami z Ziegenort (Trzebieży) do domu, także wtedy, kiedy w zamian nie mieliśmy pożądanego towaru. Mieliśmy już stałych dostawców, byli to rybacy z Wollin (Wolina), którzy - przepędzeni przez Polaków - osiedlili się ze swymi szkunerami w Ziegenort (Trzebieży). W porcie nie wolno nam było szukać rybaków, stali tam przeważnie Rosjanie, którzy rozdzielali połów. Rybacy musieli stosować swoje triki, aby dorobić coś na boku. Nie zobaczyliśmy tak czy inaczej szlachetnych gatunków ryb, jak łosoś, ale byliśmy całkowicie zadowoleni z pożywnego sandacza. A kiedy szliśmy do domu z naszymi wypchanymi plecakami, byliśmy przepełnieni dumą, że znów przetrwamy kilka dni.

W Ziegenort (Trzebieży) ponownie spotkałem Iwana, tego chłopaka z powozu z jego „08“. Pochodził w rzeczywistości z Ziegenort (Trzebieży). Przybył z taborem Rosjan. Do kogo naprawdę należał? - nigdy się nie dowiedziałem. Za każdym razem rozpoznawał mnie w porcie, krążąc po nim i coś szpiegując. Przyjechał swoim powozem do nas. Przedstawiłem go Klausowi. Zaprosił nas, byśmy zajęli miejsce w jego powozie i oświadczył, że jesteśmy jego przyjaciółmi i możemy dostać od niego wszystko, co chcemy. My chcieliśmy jednak tylko świeże ryby. Tych nie mógł nam niestety od razu załatwić. Jednak kilka dni później przyjechał do nas do domu z workiem pełnym ryb. Mama gościnnie go przyjęła. Dobrze się poczuł, bo nie miał już mamy. Tym samym znaleźliśmy tymczasowego dostawcę i zawsze, kiedy spotykaliśmy się w Ziegenort (Trzebieży), musieliśmy z nim pogawędzić. Nie rozszerzaliśmy dalej kontaktu z Iwanem z powodów czasowych, gdyż byłem potrzebny przecież w urzędzie gminy. Jednak nie zerwaliśmy kontaktu z rybakami. Mama musiała zawsze coś wymyślać, aby zorganizować towar wymienny, bo zawartość naszych skrzynek w międzyczasie prawie się wyczerpała.

Okazjonalnie, ale całkiem rzadko, wracaliśmy z niczym, kiedy rybacy zapewniali nas wiarygodnie: „Jongens, hüt hewe wi ka anzig Schwanz funge, wi hewe alles verseugt, aber ka Schwanz int Net.” [Chłopcy, dziś nie złapaliśmy ani ogonka, wszystkiego próbowaliśmy, ale bez ogonka w sieci].

W urzędzie gminy, gdzie byłem oficjalnie zatrudniony, nie zapowiadało nastroju do wymarszu. Przeciwnie, zapewniano nas, że Polacy nie wejdą do strefy wpływów Rosjan. Czy zostaną w okolicy, też nie było pewne. Wierzyliśmy w to, bo byliśmy odcięci od jakichkolwiek wiadomości. Pogłoska, że pewnego dnia będziemy musieli opuścić naszą ojczyznę, znów się

uspokoila, tylko czasem przeciekały niejasno niektóre inaczej brzmiące informacje od osób, które potajemnie słuchały radia w piwnicy czy na strychu.

Żyliśmy w próżni, w czasie, który zdawał się stać, odizolowani od świata zewnętrznego. Wokół nas osiedlili się już Polacy jako nowi mieszkańcy. Stanu tego nie byliśmy świadomi. Między innymi z powodu obecności Rosjan. Zamiast coraz mniej, pojawiało się ich coraz więcej, jednakże w cywilu. Rozniosło się, że chodzi u nich przeważnie o bojowników Własowa. Były to jednostki tegoż rosyjskiego generała, które walczyły po niemieckiej stronie przeciwko swoim rodakom. Zostali za pokutę zatrudnieni przy demontażu fabryki benzyny syntetycznej.

W Jasenitz (Jasienicy) w dzielnicy Wenkendorf (Wieńkowo) do małych domków przy ulicy, która prowadziła do lasu, wprowadził się rosyjski sztab, kierujący tymi pracami. Naukowcy, inżynierowie i specjaliści od procesu produkcji, dawniej zatrudnieni w Pölitz (Policach), zostali także zatrudnieni, bo nikt nie znał zniszczonych instalacji lepiej niż oni.

Oczywiście od czasu do czasu przerażało nas to, co zdarzało się w okolicy nocami. Na przykład w nocnej porze tajna duma cioci Herty, tłusty prosiak, którego nielegalnie tuczyła, został zastrzelony w chlewiku i zabrany przez Rosjan. Drodzy sąsiedzi byli zaskoczeni istnieniem świniaka, bo nikt nie miał o tym pojęcia. Tak dziwnie zachowywali się ludzie między sobą.

Pewnego razu rozbójnicy przeszli przez dom i zabudowania gospodarcze Brandtów. Pani Brandt wołała o pomoc z górnego okna szczytowego, bardzo odważnie jak na tamte stosunki, ale niestety także na swoją zgubę. Przypląciła to życiem. Po prostu strzałem w głowę! Mózg kleił się po całym dachu – następnego dnia to widzieliśmy. Było nam bardziej niż ciężko.

Także w zabudowaniach u cioci Liesbeth plądrownicy strzelali do babci, która z okna mansardy wołała po polsku do Rosjan, żeby się uprzejmie wynieśli. Na szczęście pocisk nie trafił, uderzył w skrzynkę od żaluzji. Kiedy po latach odwiedziłem jeszcze raz miejsce mojego dzieciństwa z roku 1944, miejsce postrzału było nadal widoczne.

Dla nas, mieszkańców wsi, były to niepewne czasy. Mała liczba żołnierzy komendantury nie mogła zapobiec takim zjawiskom. Oczywiście, jeśli chodziło o kradzież żywności, było to zrozumiałe, gdyż prości Rosjanie, którzy dostali się do niewoli niemieckiej w czasie wojny i teraz zostali uwolnieni, byli traktowani przez swoich rodaków jako ludzie drugiej klasy. Mieli chyba do jedzenia jeszcze mniej niż my.

Moja rodzina miała szczęście pozostać chroniona przed nocnymi plądrowaniami dokonywanymi przeważnie przez uzbrojonych cywilów rosyjskich, ale tylko dlatego, że dziewczyny poszukały u sąsiadów nocnych ochroniarzy, którzy stawiali się wieczorami, aby wcześniej rano ponownie zniknąć. Dla nas chłopców było to w ogóle nieważne. Na pierwszym planie było, żebyśmy mieli każdego dnia coś do jedzenia.

Tymczasem nadszedł październik, dni stały się krótsze. Światło elektryczne było tylko czasami, w pewnym stopniu na przydział. Nasze zachowane lampy naftowe były znowu w użyciu. Paliwo załatwialiśmy sobie „pod ręką“.

Ugór, powierzchnia leżąca odlegiem naprzeciw wsi, ciągnąca się prawie do Tangerschmidta, była idealnym miejscem do zabaw i harców dla dzieci i młodzieży z kolonii i dalszych zabudowań. Od ósmego roku życia ugór był moim rewirem i pozostał nim aż do chwili, w której musieliśmy opuścić Jasenitz (Jasienicę). Jak okiem sięgnąć: janowiec, ta w okresie kwitnienia nieco intensywnie pachnąca roślina motylkowa, ze swoimi podobnymi do motyla kształtami korony żółtych kwiatów. Morze barw ze słońca!

Kiedy szaleliśmy tam w okresie jego kwitnienia - budowaliśmy sobie bunkry lub bawiliśmy się w traperów i Indian albo policjantów i złodziei, a piaskowymi rynnami zjeżdżaliśmy ze skarpy

- śmierdzieliśmy przejmująco janowcem. Po zakończeniu wojny opanowaliśmy także „drogę rybną“ jako plac zabaw, a w trakcie ostrożnych wypraw - dodatkowo pozycję działła przeciwlotniczego. Oczywiście mój brat Klaus był zawsze ze mną.

Z coraz krótszymi dniami pogarszał się nastrój mamy. Pogarszał się coraz bardziej. Praktyczne rzeczy załatwiała wprawdzie razem z nami, ale los ojca był nadal niejasny. Znowu próbowaliśmy wypytywać przedmioty itd.

W końcu października nadszedł nagle list od babci i dziadka, pierwszy po wojnie. Przyszedł z okolicy Kiel (Kilonii) i był w drodze sześć tygodni. Nigdy nie zapomnę okrzyku radości i łez szczęścia mamy! Szlochając nie mogła nic powiedzieć, bo w liście było napisane, że ojciec żyje. Był w niewoli w Kiel (Kilonii). Czyż mogła być dla nas piękniejsza wiadomość?

Już nie pamiętam, kiedy ogłosiłem moje postanowienie, że przywiozę ojca z niewoli do domu. Musiał to być koniec listopada, kiedy szło nam szczególnie beznadziejnie. Ziemiaki, nasz główny produkt spożywczy, skończyły się. Nie było też obierek, które prawie zawsze wykorzystywaliśmy. Z nich piekło się klopsiki. Zieleniny, tzn. pokrzywy i mleczu już o tej porze roku nie było. To, co było za marki, nie wystarczało, by wiązać koniec z końcem, jeżeli w ogóle coś było. Jedynie Roman w Hammer (Drogoradzu), u którego pracowała mama i na zmianę jedno z nas - dzieci, pomagał, jak mógł. To był chyba przyczynek mojej podróży do ojca, do Kiel (Kilonii). Nie dałem się już też od tego odwieść. Mama chyba też to rozumiała. 19 grudnia 1945 r. odprowadziła mnie, wzdłuż torów kolejowych, aż do dawnej bramy głównej fabryki benzyny. To było miejsce spotkań tych, którzy chcieli przejść przez polską granicę „na tamtą stronę”. Pożegnaliśmy się bez wielkich scen. Wołałem być sam, wielkie sceny pożegnań były dla mnie raczej bolesne. Towarzyszyły mi nie tylko życzenia matki, lecz kilka reguł, których miałem się trzymać. Nikt przecież nie wiedział, czy to nie pożegnanie na zawsze, ale nikt nie wypowiadał tej troski.“

Po kilku tygodniach nieobecności Ernst-August ponownie pojawił się w sensacyjny sposób wraz z ojcem w Jasenitz (Jasienicy). Tak o tym opowiada:

„Nareszcie znowu w domu! Ojciec, po prawie siedmiu latach służby wojskowej i znośnej niewoli, ja po kilkutygodniowej nieobecności w urzędzie gminy.

Teraz zaczął się dla ojca nowy rozdział w życiu. Dla mnie dalej toczyła się praca w biurze gminnym. Ojciec dostał pracę u Rosjan w tartaku Steffena, który jeszcze istniał. Został zatrudniony na zmiany przy traku. Po upływie pół miesiąca zaskoczył go Sergiej, bo chciał, żeby ojciec coś mu uszył. Skąd wiedział, że ojciec był krawcem? - nie mogliśmy sobie wyjaśnić.

Zanim ojciec zakończył pracę w tartaku, Klaus i ja musieliśmy jeszcze kilka razy zanieść do domu długie belki wycięte ze świeżego drewna. Ojciec miał pomysł, aby wykończyć jeszcze w domu posadzkę, oddzielić pokoje, położyć podłogę i zrobić korytarz. Drewna konstrukcyjnego mieliśmy wystarczająco na posadzce stajni: niezliczone skrzynki z najlepszego drewna sosnowego, belki, łąty i deski; wszystko najlepszej jakości. Chodziliśmy od dworca odcinkiem torów aż do wysokości naszego domu, około dwa i pół kilometra. Podpatrzyliśmy Rosjan, jak ciągnęli swoje ładunki w dwie osoby. Wołali: „Ras, dwa, tri.“ My zrobiliśmy z tego: „Ras, dwa, Fridolin.“

Jak tylko ojciec uszył elegancki garnitur dla Sergieja, ku jego zadowoleniu i z jego materiału, pojawili się następni klienci. W Jasenitz (Jasienicy) stacjonowało nie tylko ponad tysiąc cywiliów rosyjskich do demontażu fabryki benzyny, lecz także cały sztab w domach przy wzgórzu Sandberg. Byli to inżynierowie, technicy, chemicy i wielu naukowców. Dzięki krawiectwu w nasze życie wkroczył dobrobyt, którego wcześniej nie znaliśmy.

29 kwietnia 1946 r. zajechał do nas „rosyjski powóz“, jednokonny, obwieszony kitami i frędzlami. Sergiej wezwał mistrza, czyli ojca, aby z nim pojechał. Uspokajał mamę, że nie ma się bać, odwiedzie ojca z powrotem w dobrym stanie.

Kiedy tata nie wrócił następnego dnia, mama stała się niespokojna, myślała, że go deportowali. My dzieci myślałyśmy, że Rosjanie, kiedy nadarzy się okazja do świętowania, zawsze świętują przez trzy dni, a tata po prostu musi robić to, co oni. Tą aktualną okazją był 1 maja. 2 maja powóz zajechał ponownie i dostarczył naszego cuchnąco spitego ojca, który nucił wesołą piosenkę i wszystkich ścisnął. Wychwalał swojego nowego przyjaciela, profesora, szefa sztabu, i przywiózł ze sobą słodczyce i biały chleb dla nas do domu.

Potem liczba jego klientów wzrosła, pośród nich byli także pojedynczy Polacy. Dziwne było, że Rosjanie i Polacy w najwyższym stopniu unikali wzajemnego spotkania. Osobliwie było obserwować, jak jedni zatrzymywali się w drewnianej szopie, kiedy drudzy mieli coś do załatwienia u mistrza.

Kiedy ojciec wykróił z płaszcza od munduru kompletny mundur, a ten spodobał się noszącemu, przyszło jeszcze wiele osób z taką i podobnymi prośbami. „Mistrzu, ty umieć zrobić duże spodnie z duży brzuch“, popierane gestami. Kiedy byłem w domu, „mistrzowi“ było lżej, bo mogłem dla niego tłumaczyć. Klienci wszystko przynosili ze sobą, materiały lub płaszcze, nie krawiecką, właściwie wszystko, czego potrzebował krawiec. Nawet igły do maszyny załatwiali.

Ciągle ktoś przychodził i wychodził, ojciec nie widział prawie na oczy od nadmiaru pracy. Miał ambicję wykorzystać ostatnie skrawki materiału z płaszcza wojskowego. Wpadł na pomysł, aby szyć także czapki wojskowe, rosyjskie, ze sztywnym gładkim daszkiem. Klaus i ja musieliśmy napełniać gotowe czapki wilgotnym piaskiem, który był potem ubijany drewnianym ubijakiem tak długo, aż czapka przyjęła właściwą formę balonu. Potem się ją naciągało i suszyło. Rosyjscy klienci byli zachwyceni! Nie dało się tego zrobić z polskimi czapkami wojskowymi, miały one kształt czworokątny.

W pracy ojciec dawał sobie radę i o ile to się dało, Klaus i ja też byliśmy zaangażowani. Oczywiście mama go wspomagała i pomagała w przygotowaniu. Do Romana chodziła teraz tylko dwa razy w tygodniu, o to poprosił. Właściwie już tego nie potrzebowała.

Od tej pory nie cierpieliśmy już głodu i mieliśmy nawet w nadmiarze środków spożywczych i używek, jak też marek Rzeszy, później także złotych. Żyliśmy już jak w raj.

Nam obu, starszym chłopcom, powierzono chyba najważniejsze zadania: czasami zamieniać papierosy na pieniądze i po drugie za pieniądze kupować żywność. Wokół Enklawy, jak w Stettin, które teraz nazywało się już Szczecin, powstawały polskie sklepy. W międzyczasie pojawiły się już także w Pölitz, Ziegenort i Jasenitz (w Policach, Trzebieży i Jasienicy). W sklepach tych można było w roku 1946 płacić markami Rzeszy (z kuponem), markami alianckimi lub złotówkami. Marka aliancka wyglądała jak pieniążki do zabawy. Jak wskazuje sama nazwa, ten środek płatniczy wprowadzili alianci. Kurs był prosty: jedna marka odpowiadała jednemu złotemu, a ten dalej jednej marce alianckiej.

Kilka przykładów ówczesnych cen:

chleb o wadze 2 funtów (ok 1 kg) = 25,00 M/zł/AM

1 kg tłustego boczku = 500,00 M/zł/AM

1 butelka wódki (0,5 l) = 500,00 M/zł/AM

1 tabliczka czekolady = 200,00 M

1 papieros „Stella“ (angielski) = 8 do 10 M

1 kg cukru = 250,00 M

1 kg masła = 500,00 M

Jest to tylko niewielki wybór cen w tych sklepach, w których było wszystko, co miał do zaoferowania amerykański rynek produktów spożywczych i używek.

Zaopatrywaliśmy się wówczas w tych sklepach regularnie, czego nie mogło robić zbyt wielu Niemców. Większość klientów stanowili zamożniejsi Polacy i Rosjanie na wysokich stanowiskach. Całkiem dobrze pamiętam, że raz zrobiliśmy zakupy za 10.000,00. Za zakupy zapłaciliśmy markami, złotówkami i markami alianckimi 1:1. Chleb został pokrojony i zapieczony i trzymał świeżość jak sucharki. Papierosów i tytoniu nie musieliśmy kupować, te klienci dostarczali nam bezpośrednio do domu. Ponieważ ojciec jako wyłączny palacz tytoniu nie mógł sam wypalić tylu papierosów, musieliśmy je gdzieś jakoś upłynnić. W sali tanecznej w Krassow nadarzała się do tego najlepsza sposobność. Tam sprzedawaliśmy „fajki” na sztuki poniżej ceny sklepowej.”

Załącznik 17: Transport listów w czasie istnienia Enklawy

Od Hugona dowiadujemy się o sensacyjnym, niespotykanym wydarzeniu:

„Dzień w dzień tysiące ludzi trudniły się demontażem fabryki benzyny. Uczestniczyli w tym, obok rosyjskich specjalistów prowadzących rozbiórkę, także niemieccy inżynierowie, ogromne ilości sowieckiego wojska i rosyjscy żołnierze, którzy przez lata znaleźli się w niemieckiej niewoli, a także Niemcy, którzy teraz byli w niewoli rosyjskiej. Również niemieccy mieszkańcy płci męskiej, którzy mieszkali w tym pasie, zostali zobowiązani do demontażu. Byłem niewielką częścią pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi. Pewnego dnia rosyjski pułkownik Jarchow zwołał nas, niemieckich inżynierów. Pułkownik dowodził przy demontażu fabryki tu w Pölitz (Policach) i umiał mówić po niemiecku. Urodził się w Brombergu (Bydgoszcy). Po śmierci swojej żydowskiej żony emigrował do Związku Radzieckiego.

Zaprowadził nas do swojego mieszkania, które zajmował na osiedlu zakładowym. Mieszkania zakładowe urządzono przy budowie fabryki benzyny specjalnie dla rodzin inżynierów kierujących zakładem. Z ciekawością zapytywaliśmy samych siebie, czego może chcieć od nas pułkownik? Pokazał nam w kominku swojego obecnego mieszkania kompletnie zachowane i dobrze zamaskowane urządzenie nadawczo-odbiorcze! Oslupieni spojrzeliśmy po sobie. Wszystkiego byśmy się spodziewali, tylko nie tego! Bo wiedzieliśmy przecież kto mieszkał tu wcześniej do końca wojny, a mianowicie pełnomocnik ds. bezpieczeństwa SS-Sturmbannführer Hummel! Był odpowiedzialny za wszystkie obozy robotników przymusowych, więźniów karnych i obozy koncentracyjne przyporządkowane do fabryki benzyny. Kiedy grożono komuś karą, to potocznie mówiono: „Jak nie będziesz posłuszny, trafisz do obozu Hummela!” Należy przyjąć, że chodziło o jeden z obozów, za które ponosił odpowiedzialność.

Za sprawą wiedzy o działalności Hummela przez głowę przelatywały mi tysiące myśli, kiedy ujrzałem urządzenie nadawczo-odbiorcze. Gapiłem się na nie i myślałem, że się uduszę. W środku narastała wściekłość. Przecież ten człowiek maczał palce nawet w nalotach! „Co“, myślę sobie, „człowiek“? Czy zasługuje w ogóle na miano „człowieka“? Ten, który dysponował życiem i śmiercią uwięzionych, ważył się jeszcze sterować życiem pozostałej ludności?

Jednak może było całkiem inaczej? Czy może być, że chodzi o całkiem zwyczajne urządzenie SS? Sam sobie przeczę, bo wówczas nie byłoby tak pieczołowicie zamaskowane. Powoli wszystko przerasta moją wyobraźnię. Może ktoś obcy zamontował urządzenie w kominku? Ale dla czego miałyby to robić? Były tysiące lepszych kryjówek! Sprawa z urządzeniem nadawczo-odbiorczym wydawała mi się niecodzienna. Gdybym nie widział tego na własne oczy, wzbriałbym się, by w to uwierzyć.”

Załącznik 18: Nadajnik

Zawalenie się mostu kolejowego

O zawaleniu się mostu kolejowego nad Aalbach (Gunicy) opowiadali Marianne, Hubert, Ernst-August i Gernot, syn maszynisty Pietscha.

„Plap, plap, plap” - uderzała piłka o ścianę domu. Uderzenie dawało jedynie marny odgłos. Dzieciaki mogły się wysilać, ile chciały, zawsze wracało tylko sła-bitkie „plap”. Piłka nie była sprężysta, bo część powietrza uleciała. „Jak zgniła śliwka” - zauważyła Irma pogardliwie. Dla Marianne było to w porządku, wtedy łapanie też tak nie boli.

Dziewczynki grały na wielkiej ścianie szczytowej domu.

„Siedemnaście, osiemnaście” - liczyły monotonicznie - „dziewiętnaście, dwadzieścia”. Plap!

„Dwadzieścia jeden”, plap, „dwadzieścia dwa ...”

Za nimi, nawet nie sto metrów dalej, turkotał przejeżdżający pociąg. Codzienne hałasy, których dzieci prawie nie zauważały. Pochłonęła je gra. Jedno czatowało na drugie w nadziei, że powinno mu się noga, wtedy w kolejce będzie następny. Plap, plap...

Nagle wystrzał i syczenie, jak gdyby do wody wpadło tysiąc gorących żelazek. Dziewczynki patrzyły przerażone w kierunku jazdy pociągu i zobaczyły, jak biały obłok wznosi się z ziemi na łące.

Piłka leżała, tam gdzie się potoczyła. W ciągłym biegu wzdłuż polnej drogi, która biegnie obok torów, obie dziewczynki chciały dotrzeć do miejsca nieszczęścia. Fakt, iż zdarzyło się nieszczęście, był dla nich oczywisty. Dotarli do wysokości domku dróżnika z blachy falistej, który stał przy Hagenerstraße (dziś: ul. Kopernika). Teraz musiały biec bezpośrednio po torach. Jednakże wypowiedziane przed laty napominające słowa dorosłych, że dzieci nie mają nic do szukania na torach, ciągle jeszcze działały. Więc pędziły przez górkę Hassena.

Pagórek zwany „górá” służył zimą dzieciom ze wsi za tor saneczkowy. Dziewczynki pędziły z góry tak szybko, jak częściowo samodzielnie zbudowane sanki zjeżdżały w dolinę. Jedyne na kilka sekund zrobiły przerwę, kiedy ujrzały zawalony most kolejowy nad Aalbach (Gunicą). Dotarłszy na dół, musiały biec przez łąkę, częściowo mokrą ścieżką. But Marianne utknął w błocie, a ciemne bagno chlapało przez palce. Z odnalezionym butem w dłoni goniła za Irmą dalej do miejsca wypadku. Całkowicie przerażone patrzyły na most kolejowy, który zwałił się do Aalbach (Gunicy). Nie zarejestrowały żadnych detali, widziały jedynie wagony z filarami i pozostałościami mostu, leżące w korycie rzeki. Część pociągu stała jeszcze na wysokim nasypie kolejowym. Tam leżeli ludzie. Czy byli martwi czy ranni - nie mogły dojrzeć.

Zostały energicznie odesłane z powrotem przez dorosłych. Ich ciekawość i żądza sensacji zostały zresztą zaspokojone. I tak opuścili miejsce wypadku, ciągle jeszcze poruszone.

Po drugiej stronie nasypu kolejowego, który zwrócony jest ku wsi, także znaleźli się gapie. Pośród dzieci znajdował się też chudy Hubert, który wraz z rodziną utknął na drugiej stronie Odry w Jasenitz (Jasienicy) jako uchodźca z Masłow. Z powodu huk i widocznego z daleka unoszącego się obłoku - ludzie zaciekawili się. Pospiechali na miejsce wypadku. Z przejściem patrzyli na zapadnięty most.

Wagony towarowe przewróciły się. Niektóre stały obok szyn. Ludzie, którzy siedzieli w doczepionych z tyłu wagonach osobowych, nie wiedzieli jeszcze, co się stało. Ułożono zmarłych i rannych obok torowiska. Towarzyszące wojsko rosyjskie biegło podekscytowane na miejsce wypadku. Gestykulowali i krzyčili do siebie po swojemu. Jeden z nich trzymał się rękami za głowę, spadł ze skarpy i biegł przez łąki poniżej szkoły. Jeden strzał! Jeszcze w biegu trafił go inny żołnierz rosyjski. Potknął się. Koniec, kropka!

Zdarzenie to mocno zraniło delikatną duszę Huberta.

Ernst-August, który tego dnia także wykonywał swoją pracę w biurze gminnym, zdziwił się, kiedy rosyjski komendant ze swoim adiutantem spieszył ogromnymi krokami do niemieckiego burmistrza. “Czy to nie komiczne - pomyślał - “że wcale mnie dziś nie zauważył, zwykle zamienia zawsze ze mną parę słów?” Wezwano dwóch policjantów i wszyscy w piątkę zaraz wyszli, prosto do jepa komendanta, potem w lewo, w dół Breite Straße. Co się właściwie dzieje?

Wkrótce nowina dotarła do biura: most kolejowy nad Aalbach (Gunicą), niedaleko dworca w Jasenitz (Jasienicy) zawałił się i wciągnął lokomotywę oraz kilka wagonów towarowych do rzeki. Maszynista i kilka innych osób zginęło prawdopodobnie na miejscu.

Lokomotywa leżała z kołami w górze w korycie rzeki i pociągnęła za sobą dwa pierwsze wagony w dół, przy czym pierwszy obrócił się na dach, drugi na bok, następny zrobił ćwierć obrotu, kolejne wylądowały na żwirze, podczas gdy ostatnie zatrzymały się jeszcze na torach.

W pociągu tym siedział także mój brat Klaus, który jechał z innymi chłopakami z Damuster do Pölitz (z Dębostrowa do Polic). Wieczorem, na stojąco, ciągle jeszcze pod wrażeniem tego zajścia, opowiadał, że siedział w przedostatnim wagonie i nagle nastąpił przeraźliwy huk. Z przodu potężnie zatrzeszczało, zarzuciło i załomotało – nic więcej się nie wydarzyło. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego komendant był taki wzburzony i sprawiał, że wszystko wirowało – podejrzewał sabotaż!

Według wypowiedzi swojego syna, Gernota, maszynista Pietsch codziennie wykonywał swoją pracę. W dniu zajścia z Pölitz (Polic) miały wyjechać rury z wysoko uszlachetnionej stali V2A, w których w trakcie procesu krakowania upłynniano węgiel. Ładunek - transportowano nagrzewnice powietrza potrzebne do procesu upłynniania - wystawał wielokrotnie poza szerokość wagonu kolejowego. Z powodu nadmiernej szerokości transport stał się trudny, ponieważ most nad Aalbach (Gunicą) był za wąski. Specjaliści nie zdecydowali się na transport przez port w Stettin (Szczecin), ponieważ w drodze do niego trzeba by było przebyć jeszcze więcej mostów. Łatwiej było zaokrętować ładunek w porcie w Ziegenort (Trzebieży).

Maszynista Pietsch wprowadził w ruch pociąg załadowany tak ważną przesyłką, złożoną jeszcze w fabryce. Do Jasenitz (Jasienicy) wszystko szło dobrze. Za dworcem pociąg miał przeciąć most na Aalbach (Gunicę). Powoli jechał w jego kierunku. Eskortujący personel specjalistyczny, Rosjanie, podobnie jak Niemcy, obserwowali uważnie transport. Pociąg posuwał się wolno do przodu. Ale stop, stop, stop! Pociąg musiał się zatrzymać. Na drodze stanęła barierka! Specjaliści wyskoczyli z pociągu, debatowali na głos, wysuwając argumenty za i przeciw, wreszcie zdecydowali tak skrócić długie dźwigary mostu, aby nic więcej nie tarasowało bezpiecznego przejazdu. Pociąg ponownie dojeżdżał. Kiedy okazało się, że nadal nie ma niezbędnej szerokości przepustowej, skrócono także przeciwległy dźwigar. Prace te wykonano palnikami gazowymi, przez co wielokrotnie zmniejszyła się nośność mostu.

Potem padło wezwanie: Jechać dalej! Przy ostrożnym przejeżdżaniu maszynista nie ważył się nawet nabrać powietrza. Dopiero kiedy przejazd się powiódł, otarł pot z czoła.

W drodze powrotnej pociąg miał nowy skład. Do wagonów towarowych doczepiono jeszcze kilka wagonów, ponieważ nie było jeszcze regularnego ruchu kolejowego. Obawy maszynisty wzrastały, im bardziej zbliżał się do amputowanego jasienickiego mostu na Aalbach (Gunicę). No dobrze, pocieszał się, skoro wytrzymał pod ciężkim ładunkiem, to uda się przecieć z pustymi wagonami. Przy przejeżdżaniu zwolnił znowu tempo. „Uf! Jesteśmy na drugiej stronie!” krzyknął podniecony.

Wtedy nastąpił ogłuszający huk! Nieznana siła pociągnęła lokomotywę w tył, maszynista nie miał nad nią władzy, domyślał się, co się stało. Mając przed oczyma nadchodzącą śmierć, wyskoczył z toczącej się w tył maszyny i jak ogłuszony wylądował na żwirze. Prawie bez władzy

nad zmysłami, zebrał się i biegł, biegł. W głowie wirowały mu myśli: byle dalej, dalej od tego miejsca! Rozstrzelają cię, ale to nie moja wina. Do domu też nie możesz iść. Nie wiedział, ile czasu minęło, kiedy zapukał do drzwi u krewnych przy oddalonej Hardemoorstraße w Jasenitz (Jasienicy).

Eugen, polski robotnik ze wschodu, który pozostał w gospodarstwie swojej gospodyni, nalegał, by ten nie wracał do domu, bo tam będą go szukać. Z pomocą Eugena przeszedł przez granicę do sowieckiej strefy okupacyjnej. Ale dopiero w Braunschweigu, który znajdował się w strefie zachodniej, złapał głęboki oddech.

Całymi dniami Arno i inni robotnicy leśni ścinali w lesie mające twarde drewno buki i dęby. Z nich w tartaku Schulza cięto kantówki. Materiał konstrukcyjny transportowano do mostu wozami, ciągnikami z przyczepami i wagonami kolejowymi. Po kilku tygodniach prowizoryczny most był ponownie przejezdny. Chwiał się i skrzypiał potwornie, kiedy pociąg przejeżdżał po nim w żółwym tempie. Osunięta lokomotywa i pierwsze wagony długo jeszcze leżały w rzece.

Pożegnanie z ojczyzną

Christel:

„Ochodzący Rosjanie do podstawionych wagonów towarowych wstawili sobie na drogę do ojczyzny okna, które wcześniej usunęli z domów Niemców.

Także ich krajanie, którzy prawie rok mieszkali w naszym domu, opuścili Jasenitz (Jasieniec). Teraz mogliśmy mieć budynek dla siebie. W jego wnętrzu nie było hałd fekaliów, ale nasz piec kaflowy nie działał całkiem dobrze. Wywnioskowaliśmy, że spalono w nim ogromne ilości drewna. Deski przed paleniskiem pieca były zwęglone, brak było belek na strychu. Byliśmy zszokowani! Na nasze usilne prośby zdun Zehm postawił nam nowy piec kaflowy. Jeszcze ciągle wierzyliśmy, że teraz zaczyna się dla nas faza pokoju.

Niestety, życie potoczyło się całkiem inaczej.

Coraz więcej Niemców pakowało swoje rzeczy i opuszczało Jasenitz (Jasieniec). Wyjazd został planowo ustalony przez niemieckie władze.

Dla nas był to dzień 5 sierpnia 1946 roku. Wujek Fritz przymocował swoją barkę przy grobli. Załadowaliśmy meble, stelaże łóżek i łóżka, maszynę do szycia, piec kuchenny, także worki, całkiem zapchane odzieżą.

Ojciec pracował jeszcze dla Rosjan w Stralsundzie. Chcieliśmy tam dotrzeć.“

Arno:

„Rosyjski szef tartaku Schulza dał nam rozkaz, aby zapakować główny mechanizm dla Związku Radzieckiego. Do pakowania naszych własnych mebli też mogliśmy sami naciąć desek. Zrobiliśmy to z typową niemiecką precyzją. Moja mama i ja postaraliśmy się o wózek ręczny. W starym mieszkaniu przy Langestraße rozebraliśmy łóżka i zapakowaliśmy odzież. Meble i artykuły gospodarstwa domowego, o ile to było możliwe, zostały zapakowane w skrzynki i zabite gwoździami. Przy załadunku wozu meblami przyszedł nam pomóc Mitka. Powiedział smutno: „Jeszcze nie wiem, dokąd jadę, ale nie mam tam łóżka ani krzesła, w ogóle nic.”

Skrzynki zostały opisane przez jakiegoś Rosjanina, może cywila, za pomocą szablonu. Na wszystkich bagażach było napisane: „Na świadczenia reparacyjne do ZSSR” - raz po rosyjsku, raz po niemiecku.

W dniu naszego wyjazdu pojawiła się u nas pani Kersten i powiedziała: „Mój syn Gerhard jest ciężko chory na tyfus, jest słaby, nie może stać ani chodzić.” Wtedy matka wysłała nas, młodych chłopaków, do Zickenschulza, aby sprowadzić dostępną jeszcze karetkę. Dzięki niej mogliśmy transportować chorego. Maskę ochronną na usta złożoną z bandaży mama spryskała środkiem dezynfekcyjnym. Fuj, ależ to okropnie smakowało! Karetką zawieźliśmy Gerharda na barkę i ułożyliśmy go ostrożnie w kajucie. Po tym transporcie przepłukaliśmy usta wódką od Mitki i umyliśmy nią ręce. Nikt z naszej rodziny się nie zaraził.

Dwudziestego pierwszego września 1946 r. holownik zawiózł nas do Pölitz (Polic). Ku naszemu przerażeniu musieliśmy tam znowu wypakować wszystkie nasze meble ze skrzynkami i belami słomy. Byliśmy zszokowani, ponieważ nasze rzeczy stały teraz na drugiej stronie ulicy. Potem przyjeżdżały raz za razem samochody z fabryki benzyny, które przywoziły ciężkie żeliwne kaloryfery, które musieliśmy układać w naszych barkach całkiem na dole, ponieważ w tym czasie - tego dowiedzieliśmy się dopiero później - Stettiner Haff (Zalew Szczeciński) miał być bardzo niespokojny. Ciężkie części służyły jako balast. Ich układanie miało nastąpić bardzo starannie. Potrzebowaliśmy na to dwa dni. Potem mogliśmy włożyć nasze meble z powrotem na barkę i ułożyć na nich bele siana i słomy. Przed odpłynięciem mama powiedziała jeszcze: „Miejmy nadzieję, że nie będzie znowu wybuchu miny!”

Kiedy w dniu 21.9.1946 r. opuszczaliśmy Jasenitz (Jasienicę), obserwowaliśmy jeszcze, jak pierwsi polscy oficerowie i żołnierze urządzali komendanturę albo coś podobnego w willi Lünse. Bez dalszych atrakcji dotarliśmy do Ueckermünde.”

Ernst-August:

„Na początku sierpnia niektóre sprawy stały się bardziej konkretne. W biurze gminy trzeba było opracować plany ewakuacji. Rosyjskie i niemieckie władze chciały zapobiec temu, by pozostający jeszcze w Enklawie Niemcy byli zmuszeni opuścić dom i gospodarstwo w ciągu 20 minut, wyłącznie z taką ilością bagażu, jaką będą mogli unieść.

Z ulicy na ulicę dzwoniłem i wydzieriałem się jako herold w kolejnych dniach, aby ogłosić plany ewakuacji. Szczegóły przybliżył ludności plakat z obwieszczeniem, na przykład: co każdemu wolno było zabrać i że wszystko musiało być spakowane w skrzynki. Można było zabrać wszystkie sprzęty domowe, ale żadnych mebli. Nikt się do tego nie stosował. Musiałem wywoływać kolejność: którzy mieszkańcy, z których ulic i w jakim czasie mają się znaleźć w porcie ze swoim dobytkiem.

Uporzędkowana ewakuacja rozpoczęła się 21 sierpnia 1946 r. Na przystani Aalbach (Guni-cy) czekała odpowiednia liczba barek do holowania, jak niegdyś przy załadunku krów. Powozy stały w oczekiwaniu, by przywieźć dobytek domowy. Wszystko przebiegało w sposób uporządkowany. My również się przygotowaliśmy. Ponieważ wiedziałem na kiedy przewidziane było wysiedlenie naszej rodziny - mogliśmy przeznaczyć czas na przygotowania. Tata zbijał skrzynki z naszego pięknego drewna konstrukcyjnego. Robiliśmy to potajemnie, ponieważ Polacy chcieli, abysmy zostali tu, w Jasenitz (Jasienicy). Roman jako dowódca wojskowy sąsiedniej miejscowości Hammer (Drogoradz) chciał nam zagwarantować pełne bezpieczeństwo. Przyniósł również tacie, że zbuduje mu warsztat krawiecki, kiedy Rosjanie odejdą - tylko później musielibyśmy opowiedzieć się za Polską, co oznaczało, że mielibyśmy stać się obywatelami polskimi.

28 sierpnia musieliśmy opuścić Jasenitz (Jasienicę). To był wspaniały słoneczny dzień. Po załadowaniu rzeczy na barki nie ogarnął mnie nastrój pożegnalny. Nie rozstawałem się z ciężkim sercem, choć starsi w oczywisty sposób walczyli ze łzami. Kiedy przepływaliśmy koło Ziegenort (Trzebieży), polskie łodzie, które nas dotąd eskortowały, zawróciły. Patrząc na leżący teraz przed nami bezmiar wód, traktowałem to wszystko jak przygodę.“

Rudi:

„5 sierpnia 1946 r. musieliśmy ostatecznie opuścić Jasenitz (Jasienicę). Nasz ojciec próbował jeszcze zabrać urządzenia i żywe bydło. Jednak w ostatniej chwili stało się to niemożliwe. Poza kilkoma skrzynkami po amunicji pełnymi sprzętów domowych, naszym bagażem podręcznym, łózkami, tuzinem kurcząt i gęsi - musieliśmy wszystko zostawić. W zamian za to można było zabrać więcej ludzi. W taki sposób nasza rodzina krążyła teraz wspólnie z wieloma innymi ludźmi z Jasenitz (Jasienicy), dokładnie w urodziny mamy, po Papenwasser (Roztoce Odrzańskiej) ku Stettiner Haff (Zalewowi Szczecińskiemu). Dwie barki ciągnięte przez holownik wywiozły nas z Jasenitz (Jasienicy).”

Renate:

„Moja rodzina przeżyła w bezpośredniej bliskości zdarzenie, które zapewne miało coś wspólnego z pożegnaniem i zmianą.

Nie było mnie przy tym. Mimo to chciałabym o tym napomknąć, ponieważ było to raczej ważne i często rozmawialiśmy na ten temat w kręgu rodziny.

W sierpniu 1946 r. kilku rosyjskich oficerów i pojedynczy mężczyźni w cywilu wkroczyli do naszego mieszkania. Prawdopodobnie niemiecki burmistrz wysłał ich do nas do domu przy Breite StraÙe 51, ponieważ administracja gminy znajdowała siê w pobliżu. Dlaczego akurat do nas? Moi rodzice chcieli tu zostaç, wiêc nasze sprzęty domowe nie były jeszcze chaotycznie poddane poùpiechowi z powodu przeprowadzki.

Mêczczyñni zajêli miejsca przy naszym duzym stole jadalnym w salonie. Wolno nam by³o chyba u¿ywaç naszej kuchni, ale nie wchodziç do pokoju. W kuchni siedzia³ cywil i pilnowa³, by nikt nie przeszkadza³ mêczczyznom. Nie wiedzieliemy, o czym rozmawiali. S³yszeliemy ich wprawdzie, bo byli doù g³oœni, ale nie mogliemy ich zrozumieç, poniewa¿ nie znaliemy ani polskiego, ani rosyjskiego.

Kiedy debata siê przecia¿a³a, naszej mamie dano do zrozumienia, ¿e ma coù ugotowaç. Ale z czego? Na pytanie matki przyniesiono poùpiesznie kilka ubitych kurczaków i oddano jej do przyrzãdzenia. Moja starsza siostra Hanna pomaga³a matce przy gotowaniu. Rozmowa naszych goœci trwała do pùznych godzin wieczornych.

Przyczyny tego spotkania mogliemy jedynie zgadywaç. Przypuszczaliemy, ¿e panowie w cywilu byli z polskich w³adz w Szczecinie. Polski naczelnik powiatu rezydowa³ w owym czasie w Stettin-Glambecksee (Szczecinie-G³êbokiem). Prawdopodobnie chodzi³o o przekazanie naszej rodzinnej miejscowoœci Jasenitz (Jasienicy) i otaczajãcych gmin pod administracjê polskã, bo dotychczas wszystkie te miejscowoœci znajdowa³y siê pod zwierzchnictwem wojska rosyjskiego.

Nied³ugo po tej naradzie w naszym mieszkaniu, rosyjskie w³adze okupacyjne wycofa³y siê. Mo¿e ktoœ kiedyœ znajdzie protokùl z tego niesamowitego spotkania?

To formalne zdarzenie by³o wprawdzie niesamowite, ale nie dotyczy³o mnie osobiœcie. Ca³kiem inaczej potoczy³o siê z naszã ostatniã lekcjã w jasienskiej szkole. Zdarzenie to mia³o miejsce wprawdzie kilka tygodni wczeœniej, ale ciãgle by³o odczuwalne, poniewa¿ dotknê³o mnie. Tu wszyscy odczuwaliemy niepewtarzalnoœç i wielkoœç tej godziny. Nauczyciele starali siê o opawê. Odczuwaliemy ich wewnêtrzne prze¿ecie, ktùre nam te¿ siê udzia³a³o. Na koniec œpiewaliemy ludowã pieœñ: „Im schùnsten Wiesengrunde ist meiner Heimat Haus.“ (Na piêknej ³ãce stoi mój ojczysty dom.) I dalej w tekœcie: Muss aus dem Tal jetzt scheiden, / wo alles Lust und Klang, / das ist mein herbstes Leiden, / mein letzter Gang. (Muszê uchoodziç teraz z doliny, / gdzie wszystko nêci i rozbrzmiewa, / to moje gorzkie cierpienie, / moja ostatnia droga.)

Te ostatnie wiersze da³y nam pojęcie, czym jest po¿egnanie, poczuliemy smutek i bùl w sercu.”

Marianne:

„¿ycie stawa³o siê dla nas coraz trudniejsze do zniesienia. Mówi³o siê o represjach ze strony Polaków. Tylko do miejscowoœci Jasenitz, Damuster, Kùnigsfelde, Wilhelmsdorf i Ziegenort (Jasienica, Dêbostrów, Niekùlùnczyca, Uniemyœl i Trzebie¿) nie wprowadzili siê jeszcze Polacy. Policka fabryka benzyny syntetycznej by³a nadal demontowana przez Rosjan i ³adowana w porcie w Ziegenort (Trzebie¿y). Pogùlski mówi³y, ¿e kiedy zakoñczy siê demonta¿ fabryki, Niemcy bêdã musieli opuœciç swoje wsie. Wolno zabraç na osobê tylko jeden worek z poœtaniem i jeden z odzie¿ã. Ka¿dy próbowa³ na wszystkie sposoby przeszmuglowaç przez granicê sporo ubrañ i inwentarza. By³o to ekstremalnie trudne i kosztowne oraz czêsto wymaga³o najwy¿szego wysi³ku fizycznego.

Wyprawy przemytnicze mog³y odbywaç siê jedynie na dwa sposoby: albo przez las albo drogã wodnã. Kto chcia³ przez las, zbiera³ siê w 10 do 20 osùb na skraju lasu. Ka¿dy by³ tak

obladowany, jak na to pozwalały jego siły. Przewodnik przez granicę, który znał otoczenie, przeprowadzał grupę, zainkasowawszy przedtem niezlą sumkę od osoby i przemycanego towaru. Przewodnicy graniczni zabierali potem innych ludzi ze sobą z powrotem. Większość przechodzących przez granicę prześlizgiwała się następnej nocy z powrotem do domu. Taki marsz przez granicę był naprawdę uciążliwy, trzeba było pokonać ok. 25 km z bagażem. Także ojciec pokonał tę trasę kilka razy.

Transport drogą wodną był możliwy jedynie w nocy. Używano do tego łodzi rybackich. Właściciele łodzi zarabiali na tym niezlą kasę. Pytanie, czy w przyszłości w ogóle ktoś mógł coś zrobić z tymi pieniędzmi, pozostało bez odpowiedzi. Ponieważ popyt na transporty łodzią był spory, trzeba było oprócz pieniędzy, mieć znajomości, aby w ogóle dostać zgodę.

Naszą osobą posiadającą kontakty był rzeźnik Haack z Wilhelmsdorf (Uniemyśla). W latach wojny tata pomagał u niego w wolnym czasie. Dzięki niemu mieliśmy możliwość zabrać dużą część naszego wyposażenia. Już na tygodnie przed właściwym wymarszem napełnialiśmy samodzielnie wykonane skrzynki naczyniami i sprzętami domowymi. Mama pakowała skrzynie tylko wtedy, kiedy taty nie było w domu. Przeważnie mówił: „Tego nie musisz pakować, co da wam talerz, jeżeli nie będziecie mieć nic do jedzenia! Będziemy się cieszyć, że możemy jeść z blaszanej miski. Głodować będziemy jeszcze przez długi czas. Zabieraliśmy jedzenie innym, teraz nasza kolej na głodowanie.”

Mama nalegała, aby zabrać maszynę do szycia. Rozebrano ją na części i spakowano. Ależ te skrzynki były ciężkie!

26 sierpnia 1946 r. Pożegnanie. Po tygodniach przygotowań na to „przymusowe odejście“ w końcu spakowaliśmy nasz dobytek. Kiedy zbudzono mnie rano, słońce świeciło już przez okno w kuchni. Siedzieliśmy przygnębieni przy śniadaniu. Potem rozebraliśmy ramy łóżek. Wóz konny czekał już na załadunek. Po bokach ułożyliśmy warstwami ramy łóżek i rozłożoną szafę ubraniową na pojeździe, potem kilka skrzynek, których prawie nie mogliśmy podnieść. Ojciec znowu: „Co tam popakowaliście?” Sofę, stół i krzesła też musieliśmy zabrać, maszyna do szycia była ważna i szafa kuchenna również.

Rozstanie z mieszkaniem nastąpiło względnie szybko. Na rowerach jechaliśmy jako eskorta powozu. Ostatnie spojrzenie na pola, drogi i zagrody. Szeroki krajobraz zawsze oferował miejsce zabaw dla nas dzieci. Tu nie było dla nas zakazów.

Droga z Wilhelmsdorf (Uniemyśla) nad brzeg strasznie się ciągnęła. Na początku znalazły się jabłonie, z których zrywałam niedojrzałe jabłka, bo dopadł mnie głód. W końcu osiągnęliśmy pierwszy etap. Późnym popołudniem, kiedy nasz załadunek stał w trawie na łące, mama stwierdziła przerażona, że zostawiliśmy wiszącą na piecu kaflowym wątrobiankę, którą teraz miałam przywieźć. Przejechałam rowerem 10 kilometrów jeszcze raz w tę i z powrotem. Było to dla mnie nieoczekiwane niczym prezent. Po drodze widziałam wiele szczegółów, jakich nigdy przedtem nie zauważyłam.

Przeszło mnie osobliwe uczucie, kiedy weszłam do naszego prawie pustego mieszkania. Szybko wzięłam kielbasę z mieszkania. Potem chciałam jednak skorzystać z tej niespodziewanej okazji, aby zabrać coś pięknego i wartościowego dla mnie. Obejrzałam sobie książki, pottrzymałam łyżwy mojej siostry w rękach, pogłaskałam pieszczotliwie moje zabawki i dotykałam niektóre znajome przedmioty. Długo wahałam się między tym a tamtym i w końcu zdecydowałam się... na drewniane karnisze od firanek.

Opuściłam mój jedyny dom - nigdy nie mieszkałam gdzie indziej.

Na podwórku spotkałam dziadków Irmy. Jako jedyni byli jeszcze w budynku, bo brakowało im kilku desek do zabicia skrzynek. Czy mogłam coś poradzić? Mogłam. U dziadka Franka

widziałam leżącą tarcicę. Szybko na rower i do dziadka Franka. Tu nikogo nie było w domu. Z deskami spieszyłam z zagrody. Potem jeszcze krótkie pożegnanie z dziadkami Rusch. Jeszcze tylko karnisze przywiązać do roweru i w drogę. Przejżdżając popatrzyłam w górę na mieszkanie Schauerów. Czy Ilsa jeszcze tam jest?

Chętnie zostałam tu dłużej, ale zbliżał się wieczór i wyobraziłam sobie, że wyjadą beze mnie - nie do pomysłenia! Pedałowałam tak szybko, jak mogłam, jednak przeszkadzały mi karnisze. Sznurek, którym przywiązałam karnisze do roweru, ciągle się luzował. To oznaczało, że trzeba było zsiąść i na nowo przymocować. Dlaczego musiałam wziąć akurat te uciążliwe rzeczy? Zmachana i całkiem wyczerpana dotarłam nad wodę. Przepęłniało mnie uczucie szczęścia: wszyscy jeszcze tam byli! Jednak moje górnotne poczucie zaraz zdławił ojciec: co robią tu te karnisze, czy jestem przy zdrowych zmysłach? Bolesne, w dodatku przy ludziach.

Potem była kolacja. Słońce zaszło za horyzont, komary latały w powietrzu, woda płynęła poruszana odrzańskim prądem. Bezgłośnie podpłynęła do naszej łodzi większa barka z nadbudówką kajutową. Pod kierownictwem szypra załadowano nasze bagaże. Wszystko odbywało się po cichu. Dopiero teraz skojarzyłam, że w ostatnich dniach nie widziałam żadnych Rosjan. To na pewno przypadek? Czyżby? Także tu na łąkach byliśmy tylko my, mała, różnobarwna społeczność około dwunastu osób. Zmierzchało. Weszliśmy na pokład. Szyper wskazał nam miejsca. Potem długo czekał z odjazdem. Uważał, że najlepszy czas, aby niepostrzeżenie przejść przez granicę, to północ.

W stosownym momencie dał znak do odbicia od brzegu. Z bijącym mocniej sercem opuszczaliśmy bezpieczną zatokę i podążaliśmy ku nieznanemu celowi. Najpierw jeszcze mogliśmy cicho szeptać, potem, jak to się mówi: ani jednego szmeru. Wszyscy stosowali się do poleceń. Wokół nas była czarna noc, woda bulgotała, rejestrowałam dźwięki, które były dla mnie obce i napędzały mi strachu. Wszyscy nasłuchiwali i patrzyli w wodę, można było usłyszeć bicie własnego serca. Wytężając wzrok widziałam zbliżające się do nas łódzie, co na szczęście okazało się tylko złudzeniem. Ta niema podróż trwała godzinę – sześćdziesiąt minut w strachu. Nagle szyper rzekł: „Ludzie, udało się!” W pierwszej godzinie doby minęliśmy wysokość Neuwarp (Nowego Warpna), miejsce, gdzie barki często były przechwytywane przez Polaków. Wtedy każdy był pozbawiany swego dobytku i musiał kilka tygodni spędzić w obozie kwarantanny. Jeżeli udawało się to bez obicia, można było czuć się zadowolonym. Poza tym byliśmy szczęśliwi, że udało się uratować tyle z naszych sprzętów domowych. Słońce wyłoniło się z mgły. Zobaczyliśmy leżący na horyzoncie brzeg, powoli płynęliśmy ku niemu.

Nasza podróż przebiegała dalej do Ueckermünde. Wczesnym popołudniem powinniśmy tam być - twierdził żeglarz. Wkrótce spoglądałam z ciekawością na leżące przed nami miasto. Widziałam plażę z domem zdrojowym i wejście do rzeki Uecker, dalej z tyłu wieżę kościelną i zamek. Na małej rzece panował ożywiony ruch. Łodzie rybackie wyływały na Stetiner Haff, inne wracały. Wkrótce przybiliśmy do brzegu w niewielkim porcie. Wszystko zostało natychmiast wyładowane. Nasza barka ponownie odbiła, szyper chciał zaryzykować rejs jeszcze raz.

Moja Jasenitz (Jasienica) była teraz daleko, bardzo daleko. Nawet, jeśli nie będę mogła już tam być: będę ją zawsze kochać.

Ale nie chcę myśleć jedynie o tym, co minęło, żyć mogę tylko myśląc o przyszłości.“

Hugo i Gisela opuścili swoją ojczyznę wraz z Rosjanami.

W Policach zakończył się czas demontażu fabryki.

Potrzeba było około czternastu miesięcy, aby rozebrać i odtransportować ten potężny zakład, fabrykę benzyny syntetycznej. Nikt sobie nie wyobrażał, że ten gigant przemysłowy zostanie kiedykolwiek gdziekolwiek w Rosji ponownie odbudowany.

Ponieważ potrzebna była specjalistyczna wiedza Hugona, rosyjskie dowództwo przydzieliło im pracę w fabryce benzyny w sowieckiej strefie okupacyjnej Niemiec. Wolno im było załadować swoje meble i wyposażenie domu do podstawionego wagonu towarowego. Zanim dotarli do sowieckiej strefy okupacyjnej, musieli przejechać jeszcze przez tereny polskie. Na ten odcinek ich wagon został zamknięty przez czerwonoarmistów, aby ochronić ich dobytek przed plądrowaniem i napaściami, ponieważ pociągi, przejeżdżające przez dworzec w Scheune (Gumieńcach), ciągle jeszcze były grabione przez wałęsające się bandy.

Oboje zdążyli znowu naprzeciw niepewnej przyszłości. Patrzyli na krainę, która przetaczała się obok, prawie jej nie zauważając. W zamyśleniu Hugo powiedział zgorzkniale: „I co dała wojna ludzkości? Wszyscy przegrali: Rosjanie, Polacy, Niemcy i tysiące cywilów, którzy byli zamieszani w działania wojenne w całej Europie.

A my? MY CIĄGLE JESZCZE JESTEŚMY RUCHOMYM PIASKIEM POŚRÓD BURZ HISTORII. Nikt nie wie, dokąd wiatr nas zaniesie!“

Epilog

Pół wieku później

Kiedy Niemcy rozproszyli się we wszystkie strony, często bywali myślami w swoich rodzinnych stronach. Ciągłe i ciągle powracały obrazy i przeżycia z pamięci, które kojarzyły się z pejzażami i ludźmi ich rodzinnego kraju. Wielu zajęło się kwestiami politycznymi i dążyło do tego, aby badać związki pomiędzy problemami światowymi. Przy tym ciągle pojawiało się pytanie: DLACZEGO? Dlaczego wojna? Wciąż jeszcze panował dawny sposób myślenia. Nadszedł czas, aby się po ludzku do siebie zbliżyć.

Odkąd łatwiej było przekroczyć granicę pomiędzy naszymi krajami, uzgodniłam z przedstawicielami gminy Police spotkanie pomiędzy Polakami i Niemcami.

Nasza kolumna pojazdów dotarła wreszcie do celu. W polickim lapidarium oczekiwał już na nas tłumek wystrojonych ludzi. Lapidarium składa się ze zbioru płyt nagrobnych, które zostały tu przyniesione z byłych niemieckich cmentarzy i ustawione na pamiątkę wcześniejszych mieszkańców miejscowości w parku miejskim. Ku ich pamięci Polacy i Niemcy złożyli wiązanki kwiatów.

Burmistrz, Władysław Diakun, wyraził słowa zadumy, a kierownik grupy niemieckiej wspominał 60. rocznicę napadu niemieckich sił zbrojnych na Polskę, który wyrządził wiele cierpienia ludziom wielu narodowości.

Odświętnie i bogato przystrojony kwiatami jasienicki kościół, w czasie ekumenicznego nabożeństwa, był wypełniony Polakami i Niemcami aż do ostatniego miejsca. Światło słoneczne przebijało się przez kolorowe szyby wysokich okien łukowych i nadawało kościelnej nawie odświętny i godny nastrój. Poprzez otwarty portal wejścia przeszedł przez wnętrze powiew łagodnego powietrza. Wokół ołtarza stali ministranci w biało-czerwonych komzach. Dwaj proboszczowie z Jasienicy i Trzebieży, dziekan z Polic, jak również ewangeliccy pastory Jochen i Paul Ziehte, urodzeni w Jasenitz (Jasienicy), celebrowali nabożeństwo. Duchowni wymienili pozdrowienie na znak pokoju w formie braterskiego pocałunku. Polacy i Niemcy wspólnie modlili się i śpiewali. Najbardziej poruszyło mnie śpiewane przez Polaków „Kyrie eleison”. Ta forma błagała na przyprowadzała mnie o gęsią skórkę, nawet teraz, kiedy tylko o tym myślę.

Łamanie chleba jest ważnym elementem wieczerzy. Chleb złożony na ołtarzu został połamany przez osobistości gminy na małe kawałki i ofiarowany przez katolickich i ewangelickich duchownych na tacy wszystkim osobom w kościele. Dla mnie był to symbol pokoju i wspólnoty. Dzięki tej ekumenicznej liturgii otrzymaliśmy, my - byli jasieniczanie, wgląd w liturgię Kościoła katolickiego i tym samym w polską kulturę. Dopiero wtedy, gdy znam kulturę jakiegoś narodu, mogę ją także zrozumieć.

Na placu kościelnym stał wcześniej jasienicki pałac, ale to, co teraz ujrzeliśmy nie było podobne do pałacu. W zawirowaniach czasów powojennych zmienił się. Nie było już konstrukcji dachu i białego tynku. Widoczna była pierwotna fasada klasztoru, poddana dalszemu rozpadowi ruina. W jakiś sposób wysokie okna w stylu późnego gotyku bardziej pasowały do stojącego

obok kościoła. Roznosił się zapach kwitnącej wody w Gunicy. Ponad wszystko dźwięczała melodia: „Im schönsten Wiesengrunde steht meiner Heimat Haus...“, grana przez pastora Jochena Ziehte.

Na drodze na boisko szkolne potworzyły się grupki wesołych ludzi. Mimowolnie nachodziły mnie obrazy z dzieła Goethego „Osterspaziergang” (Spacer wielkanocny), w którym pisze on o natłoku ludu. Szkoła obchodziła dodatkowo swój jubileusz. Przed pięćdziesięcioma laty została ponownie otwarta dla polskich uczniów. Z tej okazji gratulowałam nauczycielom i wyraziłam życzenie, aby przekazali uczniom szeroką wiedzę, która wystarczy, aby nie zamienić XXI wieku w stulecie wojen. My, starsi, byliśmy przygotowywani w tym budynku do życia. Dzisiaj szkoła była otwarta również dla nas. Wielu skorzystało z możliwości i odszukało swoją dawną salę lekcyjną, usiadło na swoich miejscach i wspominało swoich nauczycieli marzycielskimi, ale też krytycznymi słowami.

Na boisku szkolnym siedzieli kolorowo przemieszani Niemcy i Polacy. Trudności językowe nie przeszkadzały w rozmowach dawnym i dzisiejszym jasieniczanom. Pewnie, że nie mogły być zbyt głębokie, ale już przyjazne uśmiechy, podanie ręki, poklepanie po ramieniu - były znakami wzajemnego zaufania. Tłumacze byli tego dnia bardzo pożądanymi osobami.

Było wiele różnych przejawów aktywności. Żeński chór śpiewał wesołe piosenki, co można było poznać po melodiach i promiennych twarzach. Zobaczyłam katolickich duchownych w tłumie ludzi, dzieciaki biegały do woli dookoła. Ludzie z telewizji przeprowadzali liczne wywiady z uczestnikami rozmów. Kierownik galerii historycznej cieszył się z nowego materiału na wystawę. Wszystko naraz: to było prawdziwe święto ludu! Każdy rozkoszował się tą swobodną atmosferą.

Wszyscy niemieccy goście byli pod silnym wrażeniem. Było tylko słyhać słowa pochwały i wdzięczności gospodarzom. To był dzień pojednania, bogaty w miłosierdzie, dzień, który zapadł głęboko w serca uczestników. Jestem przekonana, że jeżeli będą istnieli ludzie tacy, jak burmistrz tej miejscowości, nie będzie więcej wojen.

Nastąpiło jeszcze wiele, wiele spotkań. Kilka spotkań było związanych ze zwiedzaniem kościoła. Jeszcze wielokrotnie bywaliśmy gośćmi w szkole. Poznaliśmy też nowo wybudowany dom kultury wraz ze wszystkimi jego pomieszczeniami.

Na terenie byłej hali w Mścięcinnie oglądaliśmy pozostałości baraków z filii obozu koncentracyjnego Stutthof.

Wrażenie zrobiło na nas także zwiedzanie wielkiego terenu przemysłowego tego regionu. Są to zakłady chemiczne między Policami a Jasienicą, które powstały obok dawnej fabryki benzyny. Produkuje się w nich nawozy. Pracuje tu większość ludzi z okolicy.

Nasze spotkania dalej się rozwijały, nie obciążone historią. Tu, w tym regionie wzrasta już w sposób widoczny i odczuwalny nowe poczucie europejskości jako jeszcze delikatna roślina. Do tego rozwoju przyczynia się przede wszystkim burmistrz Gminy Police, pan Władysław Diakun. On rozumie, w jaki sposób podchodzić do nas, ze swoim pełnym temperamentem urokiem. I to właśnie powoduje, że z tragedii wojny nie wyrośnie ponownie nieszczęście i żądza rewanżu, lecz powstanie coś nowego, przyszłościowego - zjednoczona bogactwem kulturalnym Europa.

Przy okazji imprezy w Policach, z powodu przyjęcia państwa polskiego do Unii Europejskiej, rozgorzały we mnie fajerwerki uczuć. Cóż za przeżycie! Tutaj uświadomiłam sobie, że przeszliśmy pierwsze kroki na europejskiej drodze.

Niezapomniany był dzień pamięci ofiar eksplozjiminy w końcu maja 1945 roku. Dwoma statkami polskiej jednostki ratunkowej udaliśmy się wspólnie z polskimi mieszkańcami z portu w Trzebieży w okolice przed kanałem Szczecin - Świnoujście, gdzie przed 61 laty holownik

wpłynął na minę. Wokół nas rozciągał się letni pejzaż jak z podręcznika, jednakże nasze serca zamarały. Na statku znajdowały się dwie mieszkanki Jasenitz (Jasienicy), które w swoim czasie, jako dzieci, przeżyły tę nieszczęsną podróż.

Statki zatoczyły koło. Jeszcze kilka słów upamiętniających setki ofiar tej eksplozji. Nikt nie potrafił wymienić ich nazwisk, ponieważ ich nie znaliśmy. Nie było dla nich uroczystego pochówku, zniknęli bez śladu, na wygnaniu. Tak po prostu. Każdy z nas rzucił długą białą różę do wody. Wyjące jednocześnie syreny statków podkreśliły symbolikę tego wydarzenia. Patrzyliśmy w wodę. Jawiły się nam obrazy. W myślach słyszeliśmy huk eksplozji, widzieliśmy, jak krew i kawałki ciał wystrzeliwały w tych, którzy przeżyli. Byliśmy poruszeni.

Wszyscy odczuliśmy wdzięczność wobec polskich organizatorów, ale także wobec naszego własnego losu. Zachowaliśmy nasze życie, czujemy słońce na naszej skórze, widzimy piękno krajobrazu, marszczącą się powierzchnię wody w jaskrawym świetle, łąki i pokój dookoła. Pokój, który chłoniemy wszystkimi naszymi zmysłami.

To, co pozostaje, to nienawiść do wojny.

Nalot bombowców 8 Floty Stanów Zjednoczonych

Był 29 maja 1944 r., kiedy 993 czterosilnikowe bombowce 8 floty amerykańskiej wystartowały z Anglii z zamiarem ataku na różne cele przemysłowe i lotniska w Niemczech. Dla ich ochrony towarzyszyły im setki myśliwców. Jedna z tych grup bombowców, nadlatując z kierunku Morza Północnego wzięła o 10.30 kurs na Schwerin. Nad Parchim jednostka podzieliła się. 224 bombowce B-24 „Liberator“ poleciały przez Tutow dalej na kurs wschodni, na cel: fabryka benzyny syntetycznej Pölitz.

Ponieważ bombowce amerykańskie nadleciały tak licznie, wyjątkowo chronione przez kilka myśliwców, zostały one przyjęte przez niemiecką obronę 120 niemieckimi myśliwcami. W czasie nalotu bombowego w przestrzeni Neubrandenburg – Strasburg – Pasewalk rozwinęła się gwałtowna batalia powietrzna.

Wzdłuż tego odcinka dla wielu mieszkańców widoczne były walki powietrzne prowadzone na dużych wysokościach. Smugi skondensowanych spalin, przebiegające wzdłuż i w poprzek na niebie, zwiastowały walki prowadzone z zacięciem. Na niebie pojawiły się spadochrony, na których ratowały się załogi trafionych bombowców. Wisiały one pomiędzy niebem a krainą wroga jako wytyczona tarcza do odstrzału. Kilka ostrzeliwanych bombowców zwolniło swój ładunek z bombami, aby uniknąć zagrażającej eksplozji. O ile to możliwe, zwracały do Anglii albo próbowały dostać się do neutralnej Szwecji, aby uniknąć uwięzienia w Niemczech. Kilka kilometrów na północ od Prenzlau zestrzelono cztery maszyny „Liberator“, a wiele uszkodzono. Dwa niemieckie myśliwce Me 109 zostały zniszczone. Pomimo ran jednemu z pilotów udało się przymusowe lądowanie. W sposób niezakłócony, mimo dalszych ataków myśliwców niemieckich, szwadron bombowców amerykańskich na wysokości 6000 do 7000 metrów zbliżał się do swojego celu - Pölitz.

Załącznik 2

Typy samolotów Dane techniczne

B 24 Liberator

Załoga: 10

Prędkość maksymalna 438 km/h na wysokości 10.500 m

Pułap operacyjny: 10.500 m

max. zasięg: 4.580 km

max. ładunek bomb: 5.800 kg

uzbrojenie: 10 karabinów maszynowych 12,7 mm

Me 109 F – 4

Załoga: 1

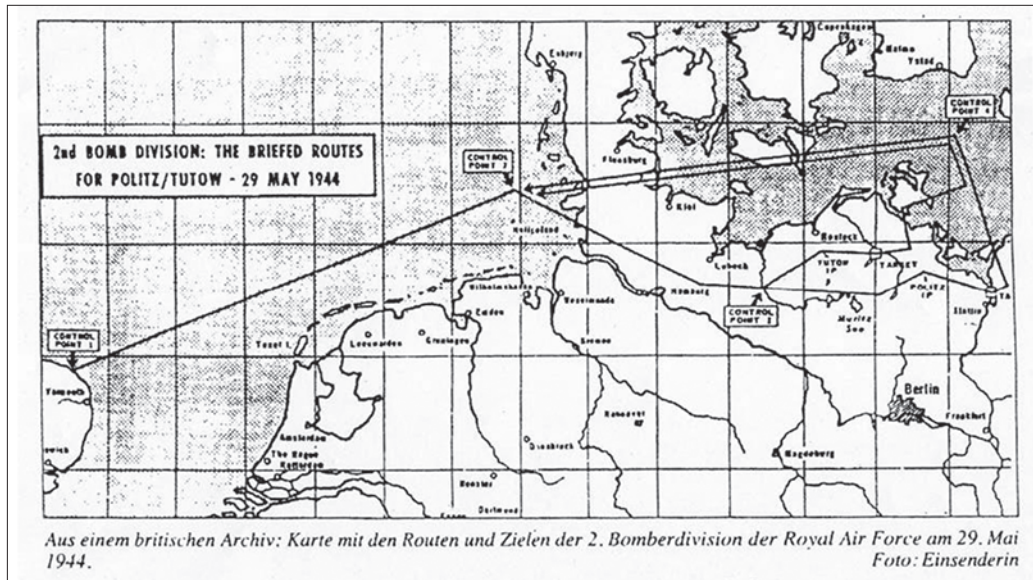
Prędkość maksymalna 628 km/h na wysokości 6.700 m

zasięg: 700 km

Uzbrojenie: 2 karabiny maszynowe 7,9 mm MG, 1 działo 20 mm

Załącznik 3

Trasa przelotu Air Force nad Niemcami



Z archiwum brytyjskiego: mapa z trasami i celami 2. Dywizji Bombowców Royal Air Force na dzień 29 maja 1944 r.

Załącznik 4

Nalot bombowy w dniu 29 maja 1944 r.

Franz-Rudolf Zilm w swojej książce „Geschichte der Festung und Garnison Stettin [Historia twierdzy i garnizonu Szczecin]”, Osnabrück 1988, wypowiada się następująco:

„... fabryka benzyny syntetycznej Police była celem bombowców alianckich w dniu 29 maja 1944 r. 224 bombowce udały się tego dnia w przestworza, aby zniszczyć zakłady paliwowe koło Szczecina. Niemcy posyłają 351 myśliwców i niszczycieli w powietrze, z których 208 ma kontakt z wrogiem. Dwa mustangi i cztery bombowce zostają zestrzelone przy nalocie. Zasłona dymna zakładu, gwałtowny ostrzał z dział przeciwlotniczych i udział myśliwców w czasie ostrzału przeciwlotniczego prowadzą do rozluźnienia formacji amerykańskiej. Na początku odwrotu odpada już 15 maszyn alianckich, przyłącza się do tego pięć kolejnych, ponieważ ich własna ochrona myśliwców nie wystarcza. Pięć liberatorów ląduje przymusowo w Szwecji, załogi zostają internowane. Mimo ciężkich warunków nalotu pilotom bombowców udaje się trafić fabrykę w Policach w takim stopniu, iż zostaje ona wyeliminowana w 100%. W Policach i Jasienicy było 98 ofiar śmiertelnych, 114 rannych i 400 osób bez dachu nad głową.“

Czy w trakcie nalotów alianci oszczędzali niektóre obiekty?

Wraz z atakami na Leuna i Police rodzi się kwestia oszczędzania pojedynczych obiektów przemysłowych przed atakami, zwłaszcza ze strony amerykańskich formacji bombowców.

Na ten temat informacji dostarczył David Irving:

Według wypowiedzi niemieckich fizyków, którzy w maju 1944 r. odwiedzili zakłady w Leuna, aby przedyskutować tam z szefem IG-Farben, panem Bütefisch, możliwości produkcji ciężkiej wody, było to tak: Ku zaskoczeniu uczestników dyrektor Bütefisch, IG Farben, wspomniał o dżentelmeńskiej umowie przemysłu ciężkiego. Miała ona zapewnić, że niemieckie fabryki benzyny syntetycznej, w które sporo zainwestowali także Anglosasi, nie zostaną zniszczone.

Tego typu uzgodnienia mogły istnieć z powodu powiązania kapitałowego. Dokumenty z USA jeszcze nie potwierdziły tej tezy. Możliwe, że było to przyczyną opóźnienia ataków powietrznych skierowanych przeciwko niemieckiemu przemysłowi naftowemu.

Wraz z atakami na Leuna, a zwłaszcza przeciw Policom, teoretycznie zaniechano ostatniego powodu do zatrzymania nalotów. Dotyczyło to zwłaszcza Polic, ponieważ zakład ten został zbudowany w roku 1938. Była to najnowocześniejsza i największa fabryka benzyny syntetycznej, sfinansowana przede wszystkim ze środków Standard Oil of New Jersey i brytyjskiej Royal Dutch Shell. Z powodu faszystowskiego ustawodawstwa dewizowego uzyskane w Niemczech profity nie mogły być transferowane za granicę. Zyski te zostały zainwestowane wspólnie z IG Farben w utworzenie „Norddeutsche Hydrierwerke AG“ (pod tą nazwą założono fabrykę benzyny syntetycznej).

Działania powietrzne od roku 1944 przyczyniły się jednak do przyspieszenia zakończenia wojny w Europie.

Fabryka benzyny syntetycznej: budowa, znaczenie, produkcja

Aby uwolnić niemiecką gospodarkę od importu benzyny z zagranicy, Hermann Göring, dowódca niemieckiej Luftwaffe, zarządza w ramach planu czteroletniego, budowę fabryki benzyny syntetycznej.

Gauleiter Pomorza, Franz Schwede-Coburg, starał się o osadzenie tej gałęzi przemysłu nad Odrą. Doszło do tego, że w roku 1938 zbudowano w Pölitz (Policach) największą niemiecką fabrykę paliw syntetycznych. Zakład rozciągał się od Pölitz (Polic) w kierunku północnym aż do oddalonej o pięć kilometrów Jasenitz (Jasienicy), na terenie 200 hektarów.¹

Jego budowa powodowała wrażenie, które dla mnie jako laika było niezrozumiałe. Kiedy patrzyłam z pociągu pomiędzy Pölitz a Jasenitz (Policami a Jasienicą), przejeżdżałam obok podzielonej i najczęściej leżącej pod gołym niebem sieci przewodów i rur. W zakładzie ułożono 25 kilometrów torów kolejowych i 260 kilometrów kabla silnoprądowego. Wewnątrz zakładu powstało 100 kilometrów ulic i dróg. Tak zwana Kammerstraße ze swymi 200-tonowymi dźwigami do wymiany różnych komór ciśnieniowych, ciągnąca się na długości 1,5 kilometra przez cały zakład, była chyba najbardziej imponująca, ale także najbardziej niebezpieczna. W oczy rzucały się gazometry i trzy 100-metrowej wysokości kominy. Dla porównania: wieża kościoła w Jasenitz (Jasienicy) miała 35 metrów wysokości.

Produkowane tutaj paliwa pozyskiwano poprzez proces syntezy. Pierwotnie przemysł chciał używać jako surowca importowanych, dotychczas nieużywalnych resztek oleju, tzw. kracku. Był to produkt uboczny i pochodził zza morza z Curacao i Aruby należących do wysp holenderskich, które należą do małych Antyli i leżą na Morzu Karaibskim. Wskutek wojny import kracku był niemożliwy. Wówczas producenci paliw zostali zmuszeni do przetwarzania trudniejszego do obróbki węgla kamiennego z Górnego Śląska. Używano również węgla brunatnego i smoły z węgla brunatnego jako materiału wyjściowego.

W pierwszej fazie procesu materiał wyjściowy jest pompowany razem z wodorem do komór reaktywnych. Pod wpływem wysokiego ciśnienia i podgrzania do temperatury 450 stopni Celsjusza następuje przemiana w olej średni.

Na drugim etapie olej średni, znowu pod wpływem wysokiego ciśnienia i temperatur, prowadzi się razem z wodorem przez pojemniki wysokociśnieniowe wypełnione masą kontaktową. Teraz olej zamienia się w benzynę (półprodukt do dalszej obróbki).

Pierwszy etap określa się także fazą kotłową, a drugi etap fazą gazową. W podłączonym dalej urządzeniu do destylacji powstają wówczas żądane produkty końcowe, jak oleje napędowe i benzyna samochodowa.

Metoda ta była wynikiem badań Bergiusa w roku 1913. W roku 1931 inż. Friedrich Bergius został za to wyróżniony nagrodą Nobla. W polickiej fabryce ta nowa metoda uwodornienia znalazła zastosowanie. Aby wyprodukować jedną tonę płynnego paliwa, potrzeba było siedmiu ton węgla. Z tego dwie tony potrzebne były do obróbki i uszlachetnienia, a pięć ton do uzyskania energii i pary. Metoda ta była opłacalna tylko w warunkach wojennych.

Około jeden procent całkowitej ilości wody rzeki Odry był doprowadzany ciągle dla celów chłodzenia. Zapotrzebowanie na wodę było także jednym z powodów budowy zakładu w

¹ Informacja o powierzchni rzędu 200 ha odnosi się do zwartej, głównej części zakładu, mieszczącej się w Policach. Cały teren fabryki miał 1500 ha.

Policach. Dodatkowo Odrę można było wykorzystywać jako wodną drogę do transportu towarów. Nazwa zakładu była wielokrotnie zmieniana. Ostateczna nazwa firmy brzmiała: Hydrierwerke Pölitz AG. Działo w nim wiele firm i zakładów, jak IG-Farben, Norddeutsche Motorenöle i inne. W roku 1938 rozpoczęto budowę zakładu, a 15.07.1940 r. rozpoczęto produkcję benzyny.

W zakładzie produkowano: benzynę VT (benzyna samolotowa), benzynę DHD (paliwo wysokiej wydajności), benzynę samochodową, olej napędowy, olej opałowy, gaz płynny i etylinę wysokooktanową ET 110.

Kierownikiem zakładu był Herdin Duden, wnuk twórcy niemieckiej ortografii. Dr Wissel pełnił funkcję dyrektora technicznego. Bezpieczeństwem zajmował się Hummel.

W potężnym zakładzie fabryki benzyny potrzeba było wielu ludzi. Ponieważ siły robocze z okolicy nie wystarczały, zostały sprowadzone z całych Niemiec, przede wszystkim specjaliści z IG-Farben z Ludwigshafen. Potrzeba było wielu kwater do ulokowania pracowników. Każdy wolny pokój, izba na poddaszu czy rozbudowana pralnia została wynajęta. To dało miejscowej ludności dodatkowe przychody, jednakże te kwatery same w sobie nie były wystarczające.

W zachodniej części Pölitz (Polic) za linią kolejową przy Zedlitzfelderstraße powstało osiedle na skraju miasta złożone z małych domków osadniczych. Nowe komfortowe domy wybudowano w lesie dla rodzin dyrektorów i pracowników zarządzających. Dla pracowników na obrzeżach zakładu ustawiono baraki, które z czasem zamieniły się w duże obozy.

Kierownictwo zakładu założyło linię autobusową przez Falkenwalde (Tanowo) do centrum Stettin (Szczecina). Inni pracownicy zakładu aby dostać się do pracy w Pölitz (Policach), korzystali z linii kolejowej Stettin - Ziegenort (Szczecin – Trzebież). Od powstania linii kolejowej, od roku 1900, nigdy jeszcze parowozy nie jeździły z taką częstotliwością, jak teraz, przy czym z każdego zatrzymującego się pociągu wylewała się potężna masa wysiadających robotników.

Pod koniec 1943 r. w zakładzie pracowało 10.435 osób. Razem z żołnierzami Wehrmachtu dawało to liczbę 12.002 osób.

Obok oficjalnych pracowników sprowadzono tam przymusowo ludzi z krajów okupowanych przez Hitlera. Od roku 1943 zaordynowano tam siły robocze z krajów sojuszniczych, jak faszystowskie Włochy i Węgry, mniej także z Belgii i Rumunii. Do oficjalnych robotników doszło około 18.000 osób z krajów zdobytych. Zostali oni zatrudnieni do najcięższych i najniebezpieczniejszych dla zdrowia prac. Ludzie ci świadczyli pracę niewolniczą bez zapłaty. Ta liczba 18.000 nie jest liczbą ustaloną, ponieważ tysiące zmarły i zostały zastąpione innymi.

Fabryka benzyny syntetycznej miała kluczowe znaczenie gospodarcze. Ten nowoczesny zakład produkcyjny zaopatrywał w benzynę front północny w Rosji. Od pierwszego dnia produkcji, produkowano benzynę samolotową. Dostarczano również olej dla łodzi podwodnych Kriegsmarine.

W roku 1943 osiągnięto najwyższe parametry w produkcji benzyny:

VT – 708 (benzyna samolotowa) - 296 822 t

Benzyna DHD -163 731 t

Benzyna samochodowa - 630 t

Olej napędowy – 457 t

Olej opałowy - 19 106 t

Gaz płynny - 79 276 t

Etylina wysokooktanowa 110 - 17 337 t

Nie dziwi fakt, że fabryka benzyny syntetycznej była ważnym celem anglo-amerykańskich formacji bombowców na dolnej Odrze. Amerykańskie bombowce startowały ze swoich stanowisk w południowej Anglii.

Na początku wojny nad terytorium zakładu przelatywały tylko pojedyncze samoloty zwiadowcze. Był to już powód do podenerwowania. W końcu ludzie przyzwyczaili się do tego. Później wrogie samoloty chciały dotrzeć do linii kolejowej Szczecin – Trzebież, na której chybili tylko o dziesięć do dwudziestu metrów.

W czasie nalotów w dzień bombowce trafiały w niektóre zbiorniki na obrzeżach zakładu. Sprawiało to pustoszące wrażenie! Czarne chmury dymu unosiły się do nieba i zakrywały słońce oraz część błękitu niebieskiego.

Kiedy szkody zostały usunięte, fabryka podjęła dalszą produkcję benzyny, znowu stała się pożądanym celem alianckich ataków powietrznych. Zawsze, kiedy zakład podejmował pełną produkcję, następował kolejny atak z powietrza. Ludność dziwiła się z tego powodu i uważała, że wróg był dobrze poinformowany, ale nie brała tego na poważnie. Po prostu nie mieściło się to w wyobraźni. Jednak rzeczywistość ciągle podtrzymywała prawdziwość tego założenia.

Aby chronić produkcję benzyny, stosowano kompletny system ochrony procesu.

Fabrykę benzyny zabezpieczało wiele dział przeciwlotniczych wszystkich kalibrów, które były rozstawione wokół zakładu. Te działa były na stałe wbudowane w wały ochrony przeciwo-dłankowej. W trakcie ataków powietrznych bombowce odbierały ciężkie rażenie ogniem dział przeciwlotniczych. W ten sposób straty ponosili również Amerykanie.

W dalszej kolejności ustawiono balony zaporowe w celu ochrony przed maszynami na niskim pułapie. Duża liczba balonów wypuszczanych w powietrze w razie niebezpieczeństwa miała uniemożliwić przenikanie pojedynczych samolotów. Wokół fabryki benzyny zastosowano około stu balonów zaporowych. Każdy balon był strzeżony przez kilku żołnierzy, którzy mieli swoje baraki w pobliżu. W razie niebezpieczeństwa balony zaporowe były napełniane wodorem i wypuszczane na linach w niebo. Miały one formę zeppelinów.

Do systemu ochronnego należały także moździerze chemiczne. W tym celu produkowano w zakładzie także chemikalia silnie wydzielające gaz, ładowane w duże beczki i ustawiane w stałych miejscach. Ich obsługę, poza żołnierzami w czarnych mundurach, powierzano także tak zwanym „Hi-Wis”, ochotnikom. Byli to rosyjscy jeńcy wojenni, którzy zgłosili się dobrowolnie do służby pomocniczej przy oddziałach niemieckich. Nosili swoje rosyjskie mundury bez oznaczenia stopni. Poprzez rozprowadzenie dookoła zakładu, mgła miała powstawać równocześnie. Te opary mgły, uzyskane sztucznie przez poszczególne moździerze, zlewały się razem i uniemożliwiały dobrą widoczność samolotom wroga. Było to niezwykle uczucie poruszać się w tej mgle: szczypała w twarz i uniemożliwiała oddychanie.

Na końcu były jeszcze „zakłady pozorne” do odwodzenia bombowców w przypadku nalotów nocnych. Rozstawiono je także dookoła fabryki benzyny, przede wszystkim na łąkach, ale także na polach, gdzie w przypadku zrzutu bomb nie mogły powstać żadne szkody. Zakłady pozorne składały się ze stelaży drewnianych, na których układano warstwami łatwopalne chemikalia i gałęzie drzew. Były one podpalane w czasie nalotów nocnych i miały zmylić pilotów w czasie zrzutów bomb, oraz odwieść ich od rzeczywistego celu.

Załącznik 7

Uwagi na temat wojny powietrznej sił alianckich

W Casablance w styczniu 1943 r. spotkali się szefowie rządów i przywódcy wojskowi zachodnich sił alianckich, aby wyznaczyć wytyczne wspólnego prowadzenia wojny.

Do najpilniejszych spraw zaliczało się między innymi zniszczenie przemysłu paliwowego. Na ten temat pośród aliantów były różne opinie. Anglicy preferowali rozległe bombardowania dywanowe, aby w ten sposób zniszczyć jednocześnie morale ludności. Amerykańskie siły powietrzne preferowały naloty dzienne, skierowane przeciw konkretnym celom. W Policach przeżywaliśmy nocne bombardowania i naloty dzienne. Wówczas nie wiedzieliśmy, dlaczego tak jest.

Ofensywa lotnicza wymierzona przeciwko produkcji paliw w całym Niemczech rozpoczęła się 12 maja 1944 r., jak też 28 i 29 maja 1944 r. Wskutek tego zmniejszyła się o jedną trzecią produkcja w całej Rzeszy. Niepohamowany spadek produkcji paliw zbiegł się z utratą pól naftowych w Ploesti w Rumunii na rzecz Rosjan.

W Rzeszy niemieckiej podjęto pod koniec roku 1943 i na przełomie 1944 wątpliwe wysiłki, aby całkiem nie utracić suwerenności w przestrzeni powietrznej. W kwietniu 1944 roku wyprodukowano wiele myśliwców. Te dodatkowo wyprodukowane samoloty myśliwskie nie mogły być jednak użyte, ponieważ nie było dla nich paliwa. W ten sposób najwyższe zasługi przemysłu nie mogły być spożytkowane do zwiększenia skuteczności bojowej.

Albert Speer wkracza do akcji

Atak w Zielone Świątki 1944 r. był przygrzywką do serii zrzutów bomb mających na celu zniszczenie strategicznej fabryki benzyny syntetycznej.

W wyniku tego nalotu zakład poważnie ucierpiał. Nie wyprodukowano ani kropli benzyny. Odbudowa ślimaczyła się. Ponieważ lokalne placówki nie mogły same przywrócić produkcji, pomoc nadeszła ze strony państwa. W Policach pojawił się inżynier Albert Speer, bliski zaufany Adolfa Hitlera. Speer włączył do odbudowy Organizację Todt.¹ Fritz Todt zginął w zagadkowych okolicznościach w roku 1942 w katastrofie lotniczej. Hitler mianował Speera na następcę Todta. W taki sposób Speer, mając 37 lat, został najmłodszym ministrem (ministrem Rzeszy ds. uzbrojenia i produkcji wojennej) w rządzie Hitlera.

Inżynier A. Speer wydawał rozkazy i zarządzenia. Resort gospodarki został zobowiązany do odesłania wykwalifikowanej kadry i niezbędnych materiałów. Wydział ds. wewnętrznych podlegał bezpośrednio Heinrichowi Himmlerowi. Na tej podstawie miał on wysłać do odbudowy jeńców z obozów koncentracyjnych.

W zakładzie wykorzystywano już tysiące robotników przymusowych w ośmiu obozach, położonych na terenie i wokół polickiej fabryki benzyny. Zatrudniano ich przy najcięższych i najniebezpieczniejszych pracach.

Od maja 1944 r. utworzono nowy obóz w Messenthin (Mścięcinnie).² Przeniesiono tu jeńców z obozu koncentracyjnego Stutthof i innych obozów. Obóz znajdował się na terenie obok hali leśnej restauracji (Waldhalle), która w czasach pokoju cieszyła się wielką popularnością jako cel wycieczek. W budynku restauracji rezydowała straż SS. Od strony lasu ustawiono 32 baraki, w których przebywało 7 tysięcy więźniów, pośród nich sto kobiet.³

W fabryce benzyny rozpoczęła się gorączkowa i pośpieszna naprawa. Robota wrzała w każdym miejscu. Ze wszystkich zakątków Niemiec przyjechali niezastąpieni rzemieślnicy i fachowcy, tysiące jeńców wojennych i więźniów wyładowywały cegły i rury z wagonów. Przyjechali

¹ Fritz Todt (*1891; † 1942), niemiecki inżynier budownictwa, w czasie socjalizmu narodowego w Niemczech – inspektor generalny ds. drogownictwa, SA-Obergruppenführer, od roku 1940 minister Rzeszy ds. uzbrojenia i amunicji. Kierował m.in. budową autostrad Rzeszy. Od jego nazwiska nazwano założony w roku 1938 zespół ds. budownictwa Organisation Todt o strukturze militarnej.

Organisation Todt podlegała od marca 1940 r. ministrowi Rzeszy ds. uzbrojenia i amunicji. Była wykorzystywana głównie do prowadzenia działań budowlanych na terenach zajętych przez Niemcy. Zajmowała się m.in. przenoszeniem zakładów przemysłowych pod powierzchnię ziemi.

^{2,3} Außenlager Stutthof - Pölitz bei Stettin powstał nie w maju, ale dopiero pod koniec czerwca 1944 roku. 25 VI 1944 do Polic przybyła obsługa więzienna (trzy kompanie wartownicze SS oraz 15 żołnierzy). 27 czerwca z głównego obozu w Stutthof wyruszył pierwszy transport - 800 więźniów. Ulokowano ich w tzw. Sommerlager - obozie letnim, blisko fabryki i obozu Hagerwelle. Do betonowych baraków w Mścięcinnie (Winterlager - obóz zimowy) więźniowie zostali przeniesieni 2 października 1944 r.

Dokładna liczba więźniów nie jest znana. Szacunki różnych autorów, obliczających stan osobowy wg teoretycznej "pojemności" baraków oscylują wokół 6-7 tys. osób. Przeczą temu jednak zeznania świadków, m.in. znanego kapo Waclawa Kozłowskiego, wskazujące na przeciętny stan osobowy rzędu 2800 więźniów w obozie męskim i taką wartość przyjmują współczesne, oficjalne źródła niemieckie. Liczba więźniarek umieszczonych w czterech wydzielonych barakach również nie jest znana, ale na pewno przekracza podaną przez Autorkę wartość (100 osób). Literatura przedmiotu szacuje, że można mówić o 400-800 uwięzionych.

transporty z maszynami, które zabrano z innych zakładów, jak taśmy montażowe, maszyny transportujące i dźwigi. Ogromnym wysiłkiem tysięcy ludzi rozpoczęła się odbudowa giganta przemysłowego.

Po 20 dniach instalacja do produkcji paliwa wysokiej jakości została w końcu uruchomiona.


Jednak zawsze, kiedy kominy znowu dymiły, ludność mogła liczyć się z nowym atakiem. I słusznie! Już 20 czerwca 1944 r. 400 bombowców przeleciało nad terenem zakładu. Z wysokości 7 tysięcy metrów Amerykanie zrzucili 3500 bomb o wadze 50 kg, 250 kg i 500 kg na powierzchnię 5 km². Nalot trwał około 2 godzin. W zakładzie powstały dotkliwe szkody.

Kolejne naloty nastąpiły 25.8.44 r., 7.10.1944 r., 21.12.44 r., 13.1.1945 r. i 8.2.1945 r.

W międzyczasie jeszcze raz poinformowano Speera o zniszczeniach. Na początku marca 1945 r. można było usłyszeć już grzmienie dział ze zbliżającego się frontu.

25 kwietnia 1945 r. ostatni pracownicy opuścili fabrykę benzyny syntetycznej. Jeszcze tego samego popołudnia została ona zajęta przez Rosjan.

Umowa ucznia zawodu

Eingetragen in die Lehrlingsrolle der Industrie- und Handelskammer zu Stettin unter Nr. <u>137/42</u> Stettin den <u>20. April 1942</u>	
	
<h1>Lehrvertrag</h1> <h2>für gewerbliche Lehrlinge</h2>	
Aufgestellt nach dem von der Reichsindustrie- und Handelskammer unter Mitwirkung der Deutschen Industrie- und Hitler-Jugend und des Reichsinstituts für Berufsausbildung in Handel und Gewerbe ausgearbeiteten Muster.	
Die Vertragsschließenden sind sich über folgendes als Vertragsgrundlage einig: Das Lehrverhältnis ist ein Erziehungsverhältnis auf der Grundlage gegenseitigen Vertrauens und gegenseitiger Treue zwischen einem älteren berufstätigen und zur Berufsausbildung befähigten und einem jüngeren lehrbegleitigen Berufsangehörigen. Das Lehrverhältnis erhält seinen besonderen Sinn durch Ausrichtung auf den Berufsstand: von ihm hat der Lehrherr das Amt der Ausbildung des Nachwuchses, der Lehrling die Aufgabe, sich zu einem tüchtigen deutschen Facharbeiter heranzubilden.	
Zwischen dem Lehrbetrieb <u>Hydrierwerke Pölitz Aktiengesellschaft</u>	
in <u>Stettin-Pölitz</u>	
und dem Facharbeiterlehrling <u>Arno Seeger</u>	
geboren am <u>31. März 1928</u> in <u>Puchow Krs. Uckermünde</u>	
vertreten durch seinen Vater Mutter — Wittwe <u>Ella Seeger</u>	
in <u>Jasenitz Krs. Uckermünde, Langestr. 8</u>	
wird folgender Lehrvertrag geschlossen.	

Załącznik 10

Żołnierze Własowa

- Na łąkach nad Papenwasser (Roztoką Odrzańską) żołnierze Własowa walczyli wspólnie z niemieckim Wehrmachtem przeciwko Armii Czerwonej.

- Żołnierze Własowa zostali zatrudnieni też przy demontażu fabryki benzyny syntetycznej w Policach w Enklawie rosyjskiej.

Kim był generał Własow?

Własow urodził się w roku 1901, jako najmłodsze z trzynastorga dzieci w rodzinie chłopskiej. W roku 1919 opuścił seminarium dla duchownych. W Armii Czerwonej wyróżnił się w czasie wojny domowej. Od roku 1930 członek Partii Komunistycznej.

W roku 1938 został szefem sztabu rosyjskiej misji wojskowej pod dowództwem Tschiang Kaischeka [Daleka od brzmienia oryginału polska pisownia nazwiska Czang Kaj-szek przyjęła się dzięki angielskiej (Chiang Kai-shek), a ta z kolei pochodzi z brzmienia nazwiska w dialektach południowych. - przypis redakcji]

W roku 1939 przejął na Ukrainie dowództwo nad dywizją, która służyła z braku dyscypliny. W ciągu roku pod dowództwem Własowa zmieniła się w najlepszą dywizję w Armii Czerwonej. Własow został wyróżniony orderem Lenina przez Stalina. Walczył w II wojnie światowej po stronie sowieckiej przeciwko Niemcom. W lipcu 1941 r. prowadził kontratak na czele 4. korpusu zmechanizowanego pod Berdyczewem.

We wrześniu 1941 r. dowodził 37. Armią pod Kijowem.

W styczniu 1942 r. zdobył ponownie w czasie ofensywy zimowej Sowietów miasto Sołniecznogorsk (w pobliżu Moskwy). Za to opiewał go w literaturze sowiecki poeta Ilja Ehrenburg.

W marcu 1942 r. został mianowany na głównodowodzącego 2. Armii Uderzeniowej. Walczył pod wodzą marszałka Związku Radzieckiego, Mereckowa, na froncie wołżańskim o oswobodzenie Leningradu. Tam został otoczony przez Wehrmacht. Dnia 12 lipca 1942 r. został pojmany.

W niemieckiej niewoli zainicjował on ruch oporu przeciwko Stalinowi. Pod nadzorem niemieckim w Pradze założono „Komitet Oswobodzenia Narodów Rosji“ (KONR).

14.11.1944 r. Własow opublikował w tzw. Manifestie swoje cele polityczne:

Chciał upadku bolszewizmu, ale nie powrotu do caratu. Proklamował ochronę jednostek przed samowolą, podstawowe prawa obywatelskie i ochronę nabytej własności prywatnej.

Własow był gotów stworzyć z 200 tysięcy słowiańskich ochotników armię wyzwolenczą (ROA). Wiosną 1945 r. utworzono pierwsze jednostki ROA. Miał nadzieję na zwycięstwo rosyjskiej armii wyzwolenczej nad Armią Czerwoną i obalenie Stalina.

10.2.1945 r. przejął w Schwäbische Alb główne dowództwo nad nową armią.

Po wyzwoleniu Pragi z niemieckiej okupacji Własow poddał się oddziałom amerykańskim.

Po zakończeniu wojny, 12 maja 1945 r. Sowietom udało się pojmać Własowa podczas jazdy samochodem. Nie wiadomo, czy przyczynili się do tego Amerykanie.

2 sierpnia 1946 r. Własow został powieszony w moskiewskim więzieniu Taganka.

Sowieci uważali Własowa za zdrajcę. W dzisiejszej Rosji jego rolę ocenia się bardziej przychylnie. Sołżenicyn porównuje go ze Stauffenbergiem.

Użycie oddziałów ROA na dolnej Odrze wiosną 1945 r.

Głównodowodzący 3. Armii Pancerniej, generał grupy pancerniej von Manteuffel, zaprojektował plan przeprowadzenia ataku dużymi siłami w celu zniszczenia wroga pod Szczecinem. Zamierzano przy tym - po pierwsze - zapewnić pracę ważnej fabryki benzyny syntetycznej w

Policach i - po drugie – umożliwić przywrócenie ruchu statków pomiędzy Szczecinem a Świnoujściem.

Głównodowodzący grupy armii Weichsel chciał, aby także nowo powstała dywizja rosyjska uczestniczyła w przewidzianym na 20 marca 1945 r. przedsięwzięciu, przyznając jej zadanie utworzenia na wschodnim brzegu Rostoki Odrzańskiej między Kopicami a Stepnicą „przyczółka jako punktu oparcia w razie ataku” i zapewnienia żeglugi na Odrze przy ujściu do Zalewu Szczecińskiego. Przedsięwzięcie musiało jednak upaść, kiedy Hitler rozkazał 15 marca 3. Armii Pancerniej, aby przeszła do obrony. Ze względu na zbliżającą się ofensywę sowiecką 1. Dywizja Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej została przerzucona z frontu na dolnej Odrze i użyta na południu do wzmocnienia 9. Armii pod Berlinem.

Załącznik 11

Rozkaz nr 1 Komendanta Wojskowego miasta Bergen

Bergen, dnia 10 maja 1945 r.

Z dniem dzisiejszym objąłem urząd komendanta wojskowego i rozkazuję:

1. Aby wszyscy mieszkańcy tubylczy wrócili do swojego miejsca zamieszkania.
2. Aby wszystkie przedsiębiorstwa i zakłady rzemieślnicze ponownie podjęły swoją działalność. Sklepy muszą wznowić działalność handlową. Zabrania się handlu napojami alkoholowymi do czasu dalszego rozkazu.
3. Osoby, które nie należą do ludności tubylczej lub do odpowiednich rodzin, nie mogą pozostać i zamieszkiwać w mieszkaniach miejskich ani w majątkach lub we wsiach. Bez mojego pozwolenia nie wolno kwaterować ani pojedynczych osób, ani grup, niezależnie od tego, czy chodzi o osoby cywilne czy wojskowe.
4. Zabrania się wszystkim mieszkańcom przebywania na ulicach od godziny 22.00 do 6.00 czasu moskiewskiego.
5. Cała ruchoma i nieruchoma własność wojskowa, jak też własność cywilna, która stała się niebezpieczna w wyniku działań wojennych Armii Czerwonej, musi zostać oddana komendanturze wojskowej.
6. Ludność, przedsiębiorstwa, stowarzyszenia i władze oddadzą w ciągu pięciu dni od opublikowania niniejszego rozkazu następujące przedmioty do komendantury: odbiorniki radiowe, maszyny do pisania, maszyny powielające (szapirografy, hektografy, powielacze itd.)
7. Należy natychmiast zdać broń palną, białą i sieczną będącą w posiadaniu ludności, władz i sklepów handlowych, w tym także broń myśliwską z gładką lufą. Osoby, które nie zastosują się do niniejszego punktu rozkazu, będą ścigane zgodnie z prawem wojennym.

Lokalne władze mają za zadanie poinformować całą ludność o niniejszym rozkazie i udzielać wyjaśnień.

Komendantura wojskowa znajduje się w Bergen, Markt Nr. 5.

Komendant wojskowy miasta Bergen / Rügen
podpisano: N. Rybaltshik

Załącznik 12

Odezwą administracji niemieckiej

Plakat DIN A 3 w dokumencie Rep. 5/115

Odbudowa miasta 1945 – 47

Rozkaz do wszystkich uchodźców!

Rozkazuję:

1. Aby wszyscy ci mieszkańcy, którzy nie zostali jeszcze zarejestrowani w biurze firmy Howitz, bezzwłocznie to nadrobili w poniedziałek, 4 czerwca i wtorek, 5 czerwca 1945.
2. Aby cała społeczność mieszkańców włącznie z obecnymi jeszcze uchodźcami posiadała zezwolenie na pobyt, wystawiane w biurze firmy Howitz. Bez tego zaświadczenia żaden mieszkaniec miasta nie otrzyma przydziału na artykuły żywnościowe.
3. Aby wszyscy uchodźcy i pozostali mieszkańcy, którzy nie otrzymali zezwolenia na pobyt i przybyli do Barth ze wschodu, **w ciągu 3 dni opuścili Barth**, ponieważ wszyscy są pilnie potrzebni do budowy swojej ojczyzny.
4. Aby uchodźcy pochodzący z zachodu czekali, dopóki nie zostaną wydane bliższe instrukcje dotyczące ich powrotu.
5. Aby mieszkańcy Barth **zgłaszali mi** od dnia 6 czerwca 1945 r. **wszystkie przypadki**, w których uchodźcy pozostają jeszcze w Barth **bez zezwolenia na pobyt**.
6. Wszystkich tych, których organy kontrolne zastaną bez zezwolenia na pobyt, ukarzę karą więzienia. Wszystkich autorów pogłosek proszę podać mi imiennie w interesie całej społeczności.
7. Rozkazuję, aby **wszelkie** wydane dotychczas przez urząd burmistrza i policję do wywieśzenia rozkazy, rozporządzenia i obwieszczenia zostały usunięte z witryn. Wszelkie rozkazy i obwieszczenia wydane przez rosyjskie władze okupacyjne pozostają nadal wywieszane.

Barth, dnia 4 czerwca 1945 r.

Szef policji miasta Barth

Wiest

Fragmenty listów

Stalsind, den 22.4.02

Liebe Frau Kliche!

Hierbei bekann ich die Ausgabe der
 "Pommerschen Zeitung" vom 6. April, in
 die Hände und las Ihren Artikel über
 den Untergang des Lastkahnens, der am
 7. August die Flüchtlinge wieder nach
 Stettin, bzw. Hinterpommern, zurück-
 bringen sollte. Ich bin auf diesem Land-

kahn gewesen und habe dank Gottes Gnade
 diese Tragödie überlebt. Der Untergang ereig-
 nete sich genau am 24. Mai 1945. Falls Sie
 einen genaueren Bericht über den ganzen
 Hergang wissen möchten, bin ich gerne bereit
 Ihnen zur Verfügung zu stehen.

Mit herzlichem Gruß!

Der Ansdeliner

erstellt als meine Erinnerung. Auch
 möchte ich Ihnen für den Ausstoß, der
 zu schreiben aus meiner Perspektive
 dankbar ist.

Mit freundlichen Grüßen

Treść pierwszego fragmentu (reprodukcja na stronie 96):

"Stralsund, 22.04.02

Droga Pani Kliche!

Dzisiaj otrzymałem do ręki wydanie „Gazety Pomorskiej” z 6 kwietnia i przeczytałam Pani artykuł o zatopieniu barki, która miała przywieźć z powrotem uchodźców z Zingst do Szczecina czy też na Pomorze Tyłne. Byłem na tej barce i dzięki bożej łasce przeżyłem tę tragedię. Zatonięcie barki wydarzyło się dokładnie w dniu 24 maja 1945. Jeżeli chciałaby Pani poznać dokładną relację o całym przebiegu, z chęcią jestem do Pani dyspozycji.

Pozdrawiam"

Poniżej:

[nieczytelne] "Dalej nastąpi jako moje wspomnienie. Chciałbym podziękować za motywację, która daje mi okazję opisać to z mojej perspektywy.

Z pozdrowieniami"

Auf dem Hinterdeck waren zwei zerfetzte Frauenleichen aufgeprallt, die mein Vater u. jemand anders ins Meer warfen. Unser Kahn hatte sich weit von der Unglücksstelle entfernt u. wir mußten 5 Std. dort vor Anker liegen, mit der Angst vor neuem Unglück. Auf dem 2. Kahn waren auch 2 bekannte Familien aus Odruumde 1. Mitter mußte auch ihr Leben lassen. Eine Tochter dieser Frau wohnt heute in Pasewalk. Auch die Nacht am Pöhliger Bollwerk erschreckte alle, und es war ein lautes Geschrei. Aber es waren Russische Soldaten die dort Wache hielten, u die darum die Leute beruhigten, es sei wieder eine Link auf eine Mine getreten. —

Ach noch was.

Es war ein eiserner Kahn der auf die Mine lief. Und es sollen über 900 Personen draufgewesen sein davon würden 250 uns gerettet.

Es blieben 2 1/2 Schritten stehen, der mittlere Teil würde zerfetzt, und der vordere Teil ging mit der Spitze zuerst in die Tiefe, mit allen Menschen die da drin waren. Es war schrecklich.

Drugi fragment (reprodukcja na stronie 97):

“W tylny pokład uderzyły dwa rozkawałkowane ciała kobiece, które mój ojciec i jeszcze ktoś wrzucili do Zalewu. Nasza barka mocno oddaliła się od miejsca wypadku i przez 5 godzin cumowaliśmy tam ze strachu przed nowym nieszczęściem. Na drugiej barce były 3 znajome rodziny z Odermünde. Jedna matka straciła życie. Córka tej kobiety mieszka dziś w Pasewalk. Także noc przy grobli w Policach przestraszyła wszystkich, był to głośny krzyk. Ale to byli rosyjscy żołnierze, którzy mieli wartę i uspokoili potem ludzi, że to krowa weszła na minę.

Barka, która wpłynęła na minę, była żelazna. I było na niej ponad 900 osób, z tego uratowano tylko 250.

Zostaje 2,5 [nieczytelne], środkowa część została rozerwana, a przednia część z fontanną poszła dopiero pod wodę z ludźmi, którzy na niej byli. To było potworne.”

Historischer Arbeitskreis Stettin
im Heimatkreis Stettin
Dr. Hans-Günter Cnotka

Die hinteren beiden Laderaume, wo ich mich befand, überstanden die Zerstörung und gingen nur langsam unter, so daß die dortigen Personen (darunter auch ich) auf die anderen beiden Kähne übersteigen konnten. Mir ist auch nicht bekannt, ob die Leichen der Ertrunkenen an Land gespült wurden und irgendwo beerdigt wurden.

Trzeci fragment (drukowany, reprodukcja powyżej).

Nagłówek:

“Historyczne Koło Robocze Szczecin
w Kole Ojczystym Szczecin”

Dr Hans-Günter Cnotka

Poniżej:

“Obie tylne ładownie, gdzie się znajdowałem, przetrwały zniszczenie i tonęły powoli, więc ludzie, którzy tam byli (między innymi ja) mogli przesiąść się na dwie inne barki. Nie wiem, czy zwłoki utopionych ofiar zostały wyrzucone na brzeg i gdzieś pochowane.”

Zmiana ustalenia zachodniej granicy Polski

Nowo ustalone granice odbiegają od dotychczasowego przebiegu granicy na Odrze i Nysie.

Granica przesuwana się dalej na zachód, dotyczy to obszaru od Świnoujścia do Gryfina, które leży na południe od Szczecina.

21 września 1945 r. następujący przedstawiciele rządu rosyjskiego i polskiego podpisali Traktat Graniczny w Schwerinie (Mecklenburg-Vorpommern):

pełnomocnik sowieckiej administracji wojskowej kraju związkowego Mecklenburg-Vorpommern generał dywizji [Generalleutnant] Chabarow i pełnomocnicy Rzeczypospolitej Polskiej, wojewoda Pomorza Zachodniego podpułkownik Borkowicz, jak też prezydent miasta Szczecin Zaremba.

Trzy protokoły i mapy w skali 1:100 000 otrzymali:

zastępca głównodowodzącego sowieckiej administracji wojskowej w Niemczech, generał [Generaloberst] Serov, rząd Rzeczypospolitej Polskiej, kierownik sowieckiej administracji wojskowej kraju związkowego Mecklenburg-Vorpommern generał [Generaloberst] Fedjuninskij.

Na terenie położonym na północ pomiędzy granicą państwa na zachodzie a granicą administracyjną miasta Szczecin aż do Zalewu Szczecińskiego powstaje powiat wielecki. Nazwa powstała od zachodniosłowiańskiego plemienia Wieleców.¹ Obecnie termin przekazania terenów na wschód od granicy [niemieckiej] polskiemu rządowi ustala się na dzień 4 października 1945.

¹ Wieleci, Wilcy to grupa plemienna Słowian połabskich, zamieszkujących od VI wieku tereny między dolną Odrą a Łabą, wywodząca się z Pomorza Przedodrzańskiego. W źródłach pisanych za czasów Karola Wielkiego nazywani również: Wiltzi, Vultzi, Welatabowie. Wieleci obok Obodryców i Serbów należeli do Słowian zachodnich.

Tłumaczenie tzw. Traktatu Granicznego, podpisanego przez rząd sowiecki i polski w dniu 21 września 1945 r. w Schwerinie

21 września 1945 r. pełnomocnik sowieckiej administracji wojskowej kraju związkowego Mecklenburg-Vorpommern, generał dywizji Chabarow i pełnomocnicy Rzeczypospolitej Polskiej, Wojewoda Pomorza Zachodniego, podpułkownik Borkowicz oraz prezydent miasta Szczecina Zaremba zapoznali się z przebiegiem zachodniej granicy państwa polskiego na odcinku Świnoujście - Gryfino. W związku z tym ustalono także ostatecznie granicę. Łącznie linia graniczna na odcinku Świnoujście - Gryfino, z wyjątkiem odcinków Altwarp i Stolec - Buk, odpowiada granicy naniesionej na mapie w skali 1:1 500 000. Uważamy za właściwe nie przeprowadzić linii prostej między miejscowościami Stolec i Buk, lecz zamiast tego pozostawić drogę pomiędzy tymi miejscowościami w całości po polskiej stronie. Natomiast Altwarp po niemieckiej stronie.

Termin przekazania terenów na wschód od granicy polskiemu rządowi ustala się na 4 października 1945.

Dokument i mapa w skali 1:100 000 zostały sporządzone w trzech egzemplarzach. Egzemplarz nr 1 dla zastępcy głównodowodzącego sowieckiej administracji wojskowej w Niemczech, generała Serowa, egzemplarz nr 2 dla rządu Rzeczypospolitej Polskiej, egzemplarz nr 3 dla kierownika sowieckiej administracji wojskowej kraju związkowego Mecklenburg-Vorpommern generała Fedjuninskiego.

Podpisali:

pełnomocnik sowieckiej administracji wojskowej kraju związkowego Mecklenburg-Vorpommern, generał dywizji Chabarow

pełnomocnicy rządu Rzeczypospolitej Polskiej: Wojewoda Pomorza Zachodniego, podpułkownik Borkowicz, prezydent miasta Szczecina Zaremba

21 września 1945 r.

Schwerin-Mecklenburg

Na podstawie tego traktatu powstał cypel szczeciński.

Z powodu zmiany granicy kraju meklemburski rząd kraju związkowego zarządził 5 października wydzielenie następujących gmin:

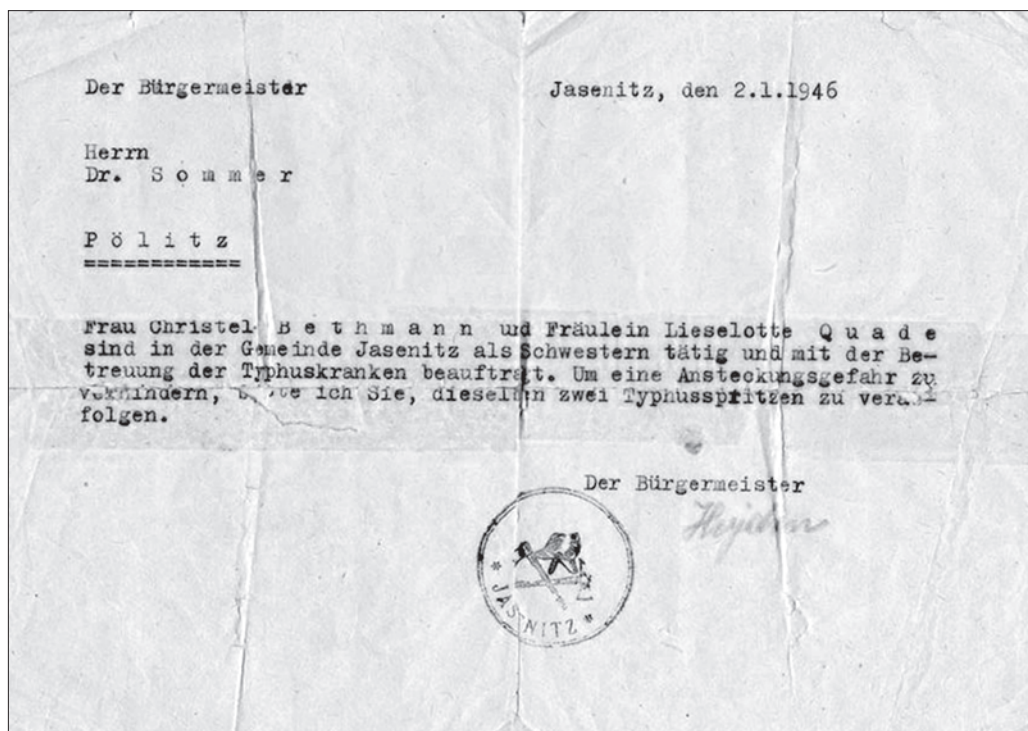
Dobiesław, Grzeczna, Bobolin, Dobra, Tanowo, Gunice, Tatynia, Drogoradz, Jasienica, Karpin, Łęgi, Lubieszyn, Myślibórz, Rzędziny, Dołuje, Nowe Warpno, Stolec, Trzeszczyn, Warnołka, Wąwelnica, Uniemyśl i Trzebież.

Obszar cypla szczecińskiego przeszedł 5 października pod zarząd polski. Na tym cyplu, na północ od Szczecina, Związek Radziecki zachował władzę na niewielkim terytorium. Na terenie wokół Polic powstała Enklawa rosyjska na czas demontażu fabryki benzyny syntetycznej.

(Według wspomnień prezydenta miasta Szczecina Piotra Zaremby)

Załącznik 16

Wezwanie niemieckiego burmistrza Fritza Heidena w czasie istnienia Enklawy



Treść dokumentu:

Dr Sommer

Police

Pani Christel Bethmann i Panna Lieselotte Quade pracują jako pielęgniarki w gminie Jasenitz (Jasienica) i zajmują się opieką nad chorymi na tyfus. Aby uniknąć niebezpieczeństwa zarażenia, proszę Pana o wydanie im dwóch zastrzyków przeciw tyfusowi.

Burmistrz

[podpisano:] Hayden

Transport listów w czasie istnienia Enklawy

Enklawa policka podlegała kontroli sowieckiej.

W odniesieniu do poczty dla ludności niemieckiej, obowiązywało powiązanie z czterema strefami okupacyjnymi w Niemczech. Urząd pocztowy w Policach posiadał filie w Jasienicy, Skolwinie i Trzebieży.

Wszystkie przesyłki pocztowe przechodziły przez urząd pocztowy w Löcknitz, leżące w rosyjskiej strefie okupacyjnej. Pojazdy sowieckich władz wojskowych transportowały pocztówki i listy do Löcknitz.

Listy ostemplowane w Jasienicy miały stempel okrągły. W górnej części mieścił się napis „Jasenitz (Pom)”, w środku - data.

Nie kasowano znaczków na listy. Wskazaniem na uiszczone porto był stempel w kolorze czerwonym: opłacono. Płacono markami Rzeszy.



Załącznik 18

Nadajnik

Im Hydrierwerk Pölitz bei Stettin war während des 2. Weltkrieges von 1939 - 1945 ein deutscher Ingenieur als Sicherheitsbeauftragter eingesetzt. Dieser Ingenieur stand im Range eines Sturmbannführers. Weil mehrere Bedienstete des Werkes Geheimnisträger waren, wurden sie auch von diesem Ingenieur auf Geheimhaltung vereidigt.

Nach Beendigung des Krieges 1945 wurde das Werk von russischen Soldaten besetzt. Das Kommando hatte der russische Oberst Jarchow, der in Bromberg geboren, aber nach dem Tode seiner jüdischen Frau nach Rußland emigriert war. Oberst Jarchow, der die Wohnung des ehem. Sicherheitsbeauftragten bezogen hatte ließ uns eines Tages kommen, und zeigte uns im Kamin der Wohnung gut getarnt, eine vollständige Empfangs - und Sendeanlage. Mit dieser hatte ^{der} deutsche Sicherheitsbeauftragte im Range eines Sturmbannführers die alliiert Luftangriffe auf unser Werk geleitet, das dadurch zu 85 % zerstört worden war.

Die noch brauchbaren Maschinen unseres Werkes wurden auf Befehl der Russen in Kisten verpackt und nach Stettin gebracht, wo sie per Schiff nach Rußland gebracht werden sollten.

Der sogenannte Sicherheitsoffizier hatte sich vor Ankunft der Russen heimlich abgesetzt.

Linijki maszynopisu napisał do mnie Hugo Heruth po tym, jak w roku 1983 odwiedziłam w Kilonii jego żonę Giselę, która w Jasienicy była moją sąsiadką. Załączył on te wersy w liście swej żony do mnie. Ponieważ kartka ta nie została przez niego podpisana, zleciłam potwierdzenie jego autentyczności jego szwagierce w lutym 2007 r.

Gisela i Hugo już nie żyją.¹

Autorka

¹ Treść listu została ujęta w tłumaczeniu książki, we wspomnieniach Hugona i Giseli Heruth.

Literatura źródłowa

Karl Gundelach: Der alliierte Luftkrieg gegen die deutsche Flugtreibstoffversorgung.

Olaf Groehler: Bombenkrieg gegen Deutschland. Akademie-Verlag Berlin.

Peter Wolfram Schreiber: IG Farben Die unschuldigen Kriegsplaner. Verlag Neuer Weg.

Wolfgang Heintzeler: Was war mit IG Farben? Verlag Busse Seewald.

Jens Ulrich Heine: Verstand & Schicksal. Verlag VCH.

Joseph Borkin: Die unheilige Allianz der IG Farben. Campus.

Stettin-Szczecin 1945-1946. Hinstoff-Verlag.

Franz-Rudolf Zilm: Geschichte der Festung und Garnison Stettin. Osnabrück 1988.

Die geheimen Tagesberichte der deutschen Wehrmachtsführung im zweiten Weltkrieg 1939-1945. Band 10. 1. März - 31. August.

Aus den Akten im Bundesarchiv/Militärarchiv. Freiburg i. Br. Biblio-Verlag.

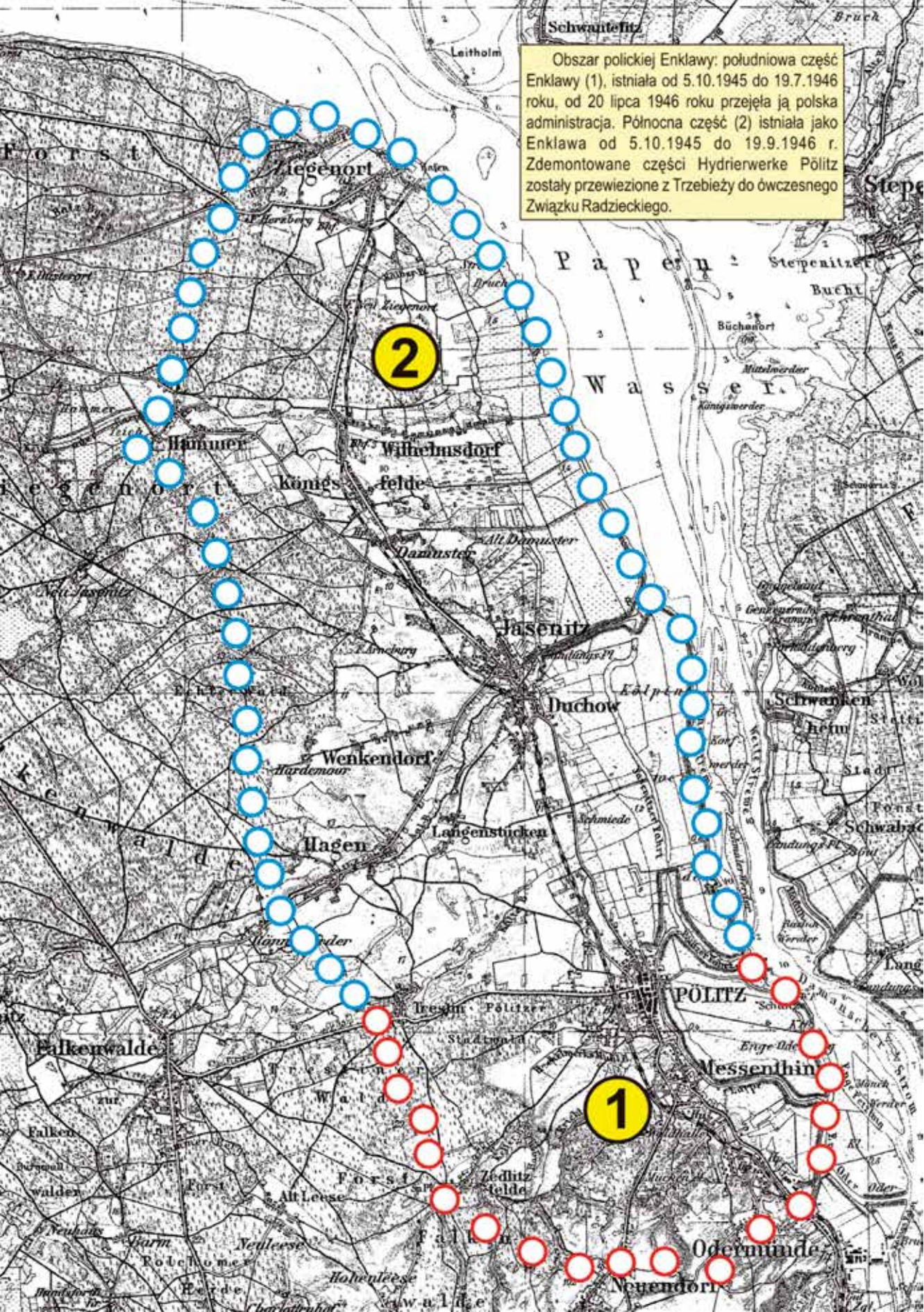
Dr Axel Klätte: Der Luftkrieg über der Uckermark. 1995 Prenzlau.

Märkische Oderzeitung: fünfteilige Serie „Von Teheran nach Potsdam“. September 2000.

Deutscher Bundestag/Protokolle.

Joachim Hoffmann: Die Tragödie der „Russischen Befreiungsarmee“ 1944/45.

Obszar polickiej Enklawy: południowa część Enklawy (1), istniała od 5.10.1945 do 19.7.1946 roku, od 20 lipca 1946 roku przejęła ją polska administracja. Północna część (2) istniała jako Enklawa od 5.10.1945 do 19.9.1946 r. Zdemontowane części Hydrierwerke Pölitz zostały przewiezione z Trzebieży do ówczesnego Związku Radzieckiego.





Hilde Kliche urodziła się w 1923 roku w Jasenitz (Jasienicy). W roku 1944, w wyniku działań wojennych, udaje się w Karkonosze. W swojej książce „Żyję, więc mam nadzieję” opisuje niezwykle przeżycie towarzyszące ucieczce, wraz mężem i pięciomiesięcznym synkiem.

W okresie 1946-1964 pracowała jako nauczycielka i dyrektorka szkoły w okręgu Glauchau, a w latach 1964-1983 w okręgu Angermünde i Schwedt.

Jest matką dwóch synów.

W roku 2005 została odznaczona złotą odznaką honorową Gryfa Zachodniopomorskiego.

Autorka relacjonuje nieznaną szerzej wypadki historyczne, które miały miejsce w latach 1945/46 na północ od Szczecina. Między innymi pisze o następujących zdarzeniach:

– W Jasienicy, jeszcze zanim Armia Czerwona przekroczyła Odrę, miało miejsce spotkanie rosyjskich parlamentarzystów z wysokiej rangi oficerami niemieckimi. Czy omawiano przekazanie Szczecina?

– Przed atakiem frontowym na Anklam, gauleiter Schwede-Coburg wstrzymał baręk z uciekinierami, aby uratować swoją, pełną zapasów. Były one dla niego ważniejsze niż życie ludzkie.

– Podczas demontażu fabryki benzyny syntetycznej, w byłym mieszkaniu Hummela, pełnomocnika oddziału SS ds. bezpieczeństwa, odkryto w kominku urządzenie nadawczo-odbiorcze. Z kim się kontaktował?

– Pod koniec maja 1945 r., już po zakończeniu wojny, eksplozja miny na Zalewie Szczecińskim, na którą natrafiła wypełniona ludźmi barka, spowodowała setki ofiar śmiertelnych. Tragiczne wydarzenie było dotąd niemal zupełnie nieznaną.

W ostatnim rozdziale książki mieszkańcy Enklawy Polickiej relacjonują wydarzenia tamtego okresu.

Na tle faktów historycznych, udokumentowanych w załącznikach, Hilde Kliche tworzy połączenie między lokalną historią a polityką światową. W epilogu buduje most do teraźniejszości.



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

POZYCJA ZOSTAŁA WYDANA NAKŁADEM GMINY POLICE
W RAMACH PROJEKTU „TREIBSAND - KONIEC WOJNY
W OCZACH BYŁYCH MIESZKAŃCÓW JASENITZ (JASIENICY)”
DOFINANSOWANEGO ZE ŚRODKÓW FUNDACJI
WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
NIEMIECKI PARTNER POLSKIEGO WNIOSKU:
GESCHICHTSWISSENSCHAFTLICHES INSTITUT EBERSWALDE